

Jean Hatzfeld

Sezon maczet

Une saison du machettes

Przełożył

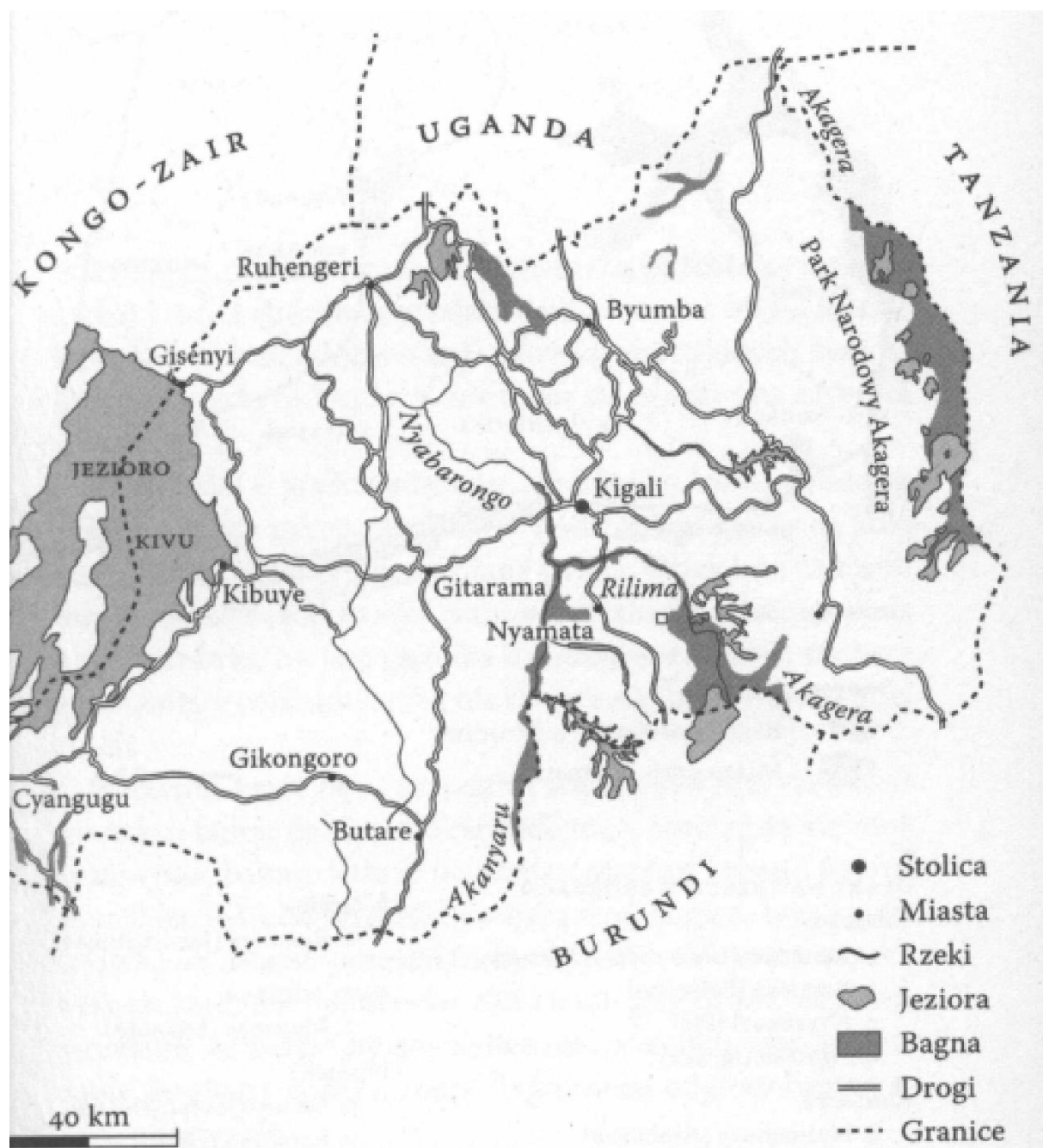
Jacek Giszczak



Spis treści

Spis treści	2
Wczesnym rankiem.....	6
Organizacja.....	10
Trzy wzgórza	15
Pierwszy raz.....	18
Paczka	23
Terminowanie	28
Grupowa więź.....	31
Smak i niesmak.....	35
Przejsie do czynu	39
Prace polowe	44
Ludobójstwo po sąsiedzku	48
Kary.....	52
Zakładanie blach.....	56
Grabieże	60
Za zamkniętymi drzwiami.....	64
Zabawa w miasteczku	68
Zanik sąsiedzkich więzi	72
Kobiety.....	79
W poszukiwaniu Sprawiedliwych	83
Znajomi	87
Mury więzienia	91
Cierpienia	94
Faceci w dobrej formie.....	98
A co z Bogiem?	102
Ławka pod akacją	107
Wyrzuty sumienia i żale	113
Joseph-Désiré Bitero	119
Dowódcy	127

Na tyłach <i>moudougoudou</i>	132
Życie powraca.....	137
Targi o przebaczenie	141
Akty przebaczenia.....	146
Wyniosła postawa.....	150
Nienawiść, Tutsi	156
Nadnaturalna rzeź	160
Słowa, by tego nie powiedzieć	163
Śmierć w oczach	169
<i>Biografie i wyroki</i>	176
<i>Słownik</i>	182
<i>Chronologia</i>	186



Prowincja Nyamata



OSADY NA TRZECH WZGÓRZACH

Kibungo

1. Ruhengeri (Panrace, Adalbert)
2. Kiganwa (Fulgence)
3. Nyarunazi (Pio)
4. Nganwa (Ignace)

Kanzenze

5. Nyamabuye (Alphonse)

N'tarama

6. Rugunga (Jean-Baptiste)

INNE MIEJSCA

7. Muyange (Léopold)

Nyamata

8. Gatare (Joseph-Désiré)
9. Karambo (Élie)

Wczesnym rankiem

W kwietniu, gdy kończą się nocne deszcze, pozostają często na niebie czarne chmury, przesłaniające pierwsze blaski słońca. Rose Kubwimana dobrze zna zjawisko spóźnionych świtów o tej porze roku na bagnach. Ale to nie szara poświata zaprzęta jej uwagę.

Rose siedzi w kucki nad ciemną sadzawką, bosą, z podciągniętą na udach przepaską, kładąc stwardniałe dłonie na kolanach. Ma na sobie gruby wełniany sweter. Obok leżą na ziemi dwa plastikowe kanistry. Co rano przychodzi czerpać wodę z tej sadzawki, bo jest głęboka i woda jest tu mniej mulista, a porośnięty palmami brzeg nie tak grząski jak w innych miejscach.

Sadzawka kryje się za gałęziami *umunyege*, rzędu karłowatych palm; dalej, jak okiem sięgnąć, rozciągają się inne rozlewiska, bajora, kałuże pomiędzy gęstymi kępami papirusów. Rose wdycha zatechłą, swojską woń bagien, tego ranka wyjątkowo mocno przesiąkniętą wilgocią. Czuje też zapach białych kwiatów nenufarów. Od chwili gdy tu przyszła, ma wrażenie, że dzieje się coś dziwnego, w końcu uświadamia sobie, że słyszy jakieś szmery. Tego ranka odgłosy bagien są inne niż zwykle.

Tak, słysząc krzyki ibisów, gwizdy makaków, ale bardzo daleko. Wydaje się, że w najbliższej okolicy mokradła zamilkły. Żaden raptowny szelest sitatungi ani zrzędlawe chrząkanie świń nie mącą jej spokoju; nie słysząc donośnego i miarowego *ko ko ko* zielonych turaków, zwykle tak ożywionych od rana na gałęziach figowców; może rozpierchły się jak inni poranni bywalcy bagien.

Rose Kubwimana jest starszą kobietą, chudą, wysoką i silną, ma siwiejące włosy. Mieszka o godzinę marszu stąd, w lesie. Od dwudziestu lat przychodzi tu czerpać wodę dla rodziny i nigdy dotąd nie spotkała się z taką ciszą, ani podczas okresów wielkiej suszy, kiedy muł twardnieje, ani w czasie ulewnych deszczów, które zatapiają bagna. Dobrze wie, że nie chodzi o aurę. Jest niespokojna, lecz właściwie nie zdziwiona.

Dzień wcześniej, schodząc do skrzyżowania, gdzie ludzie zatrzymują ciężarówki, przeszła obok kościoła w N'taramie; ujrzała obozowisko. Wie, że od trzech dni gromadzą się tam okoliczne rodziny Tutsi. Wie też, bo to widziała, że wielu Tutsi schroniło się nieco niżej, w szkole w Cyugaro, lub zeszło nad brzeg rzeki, żeby się tam ukryć, zapewne niezbyt daleko od jej sadzawki.

Później powie po prostu o tym poranku zawieszonym w czasie: „Myślałam, że tam na górze szykują się straszne rzezie i że życie zostanie wywrócone do góry nogami. Ale gdy chodzi o bagna, naprawdę nie sądziłam, że maczety i cały ten chaos dotrą nawet tutaj. Nie sądziłam, ale odgadłam” Doda jeszcze: „Gdy chodzi o te sprawy, już od pierwszego dnia czas wydawał się bardzo tajemniczy. Teraz wolę się trzymać z tyłu, za nim”

Ten pierwszy dzień to jedenasty kwietnia 1994 roku. Dla przypomnienia, 6 kwietnia, późnym wieczorem, dochodzi do zamachu na samolot prezydenta Republiki Rwandy Juvénala Habyarimany. Masakry zaczynają się tej samej nocy w Kigali, potem w miastach na prowincji, a w kilka dni później na wzgórzach, tak jak tu, w regionie Bugesera.

*

Rose napełnia kanistry, stawia jeden na głowie, podtrzymując go dłonią, bierze drugi w rękę i wspina się na wzniesienie poprzez gęszcz krzewów i lian. Na podwórzu z ubitej ziemi, w kolorze ochry jak ściany jej domu i pola, dostrzega Adalberta. Obudził się wcześniej niż zwykle i pali papierosa, siedząc na niziutkim taborecie.

Adalbert to najbardziej krzepki z jej synów. Jego imponująco szerokie barki zdają się przekazywać ramionom niespokojne impulsy. Nie boi się pracy, jest rozmowny i skory do śmiechu w „kabarecie”. Jeszcze nie znalazł sobie żony. Jest apodyktyczny i decyduje o wszystkim w domu. Tego ranka ma na stopach klapki, siedzi w bermudach i koszuli, a wokół talii zawiązał dziwną sakwę; to wskazuje, że nie wybiera się w pole.

Adalbert polewa wodą dłonie, przeciera twarz, pije i wypluwa. Wczoraj położył się późno, pijany. Nie je ani papki z sorgo, ani podgrzanej na ogniu fasoli, mówi coś tylko do brata i odchodzi. „Był taki przejęty” powie później Rose.

Ścieżka biegnie po zboczu wzgórza; w dole, po lewej, bagnista dolina rzeki Nyabarongo, dokąd jego matka wcześniej poszła czerpać wodę; w górze las eukaliptusów. Adalbert nie zauważa żadnego dziwnego milczenia, zbyt mu się spieszy. Kiedy dochodzi do domu Pancrace’a, wszystkie kobiety i dziewczęta z rodziny są już zajęte pracą; jedno na podwórzu, inne na plantacji. Zamienia z nimi kilka słów i rzuca parę żartów; Pancrace, z nagim torsem, wychodzi z domu i zaraz ruszają w drogę.

Następnym przystankiem na tej ścieżce biegnącej ponad rzeką i plantacjami bananowców jest dom Fulgence’a. Ten wychodzi w białych skórzanych sandałach, z którymi się nie rozstaje, pewnie dlatego, że w wolnych chwilach pomaga w kościele. Fulgence jest wątły, ma anemiczny głos. Przez krótką chwilę rozmawia z Adalbertem. O czym? Później to przypomni: „Dostrzegłem, że koza ma na nodze ropiejącą ranę. Jednak Adalbert powiedział, że trzeba z tym będzie poczekać do wieczora”.

Później przychodzą do domu Pio, nieco młodszego chłopca. Podobnie jak Adalberta rozpira go energia. Ale ma trochę łagodniejszy charakter. Pasjonuje się piłką. Jego matka podaje młodym ludziom naczynie z *urwagwą*, a ci piją długimi haustami, dziękując za poczęstunek. Tym razem grupka schodzi ze szlaku ponad rzeką, zostawiając za plecami dolinę, by wspinać się na szczyt w gąszczu usianych żółtymi kwiatami krępych drzew *kimbazi*. Ścieżka jest bardziej zatłoczona niż w targowe poranki w Nyamacie, choć w odróżnieniu od tych dni mijają tylko mężczyźni.

Jeszcze większy rozgardiasz panuje na górze, w Kibungo. Na dziedzińcu szkoły jest tłoczno jak w dniu rozpoczęcia roku, lecz są tam sami dorośli. Nieco dalej ludzie schodzą się na plac, przy którym stoją sklepiki - gliniane ściany barwy ochry, blaszane dachy. Rozmawiają o wczorajszych zdarzeniach; słysząc docinki, ale częściej żarty.

Grupa kieruje się w stronę „kabaretu” i zasiada na murku werandy. Kobiety krzątają się na tyłach budynku wokół ognia, skąd dochodzi zapach smażonego mięsa. Pancrace ruchem dłoni przywołuje jedną z nich i zamawia szaszłyki, które zaraz zjawiają się na tacy z ocynkowanej blachy, wraz z plasterkami banana, solą i ostrą papryką. Mężczyźni idą po butelki primusa, które otwierają jedna o drugą, jedzą i piją z wyraźnym apetytem. Alphonse, który tamtędy przechodzi, dostrzega grupę; klepie każdego w dłoń, siada między nimi na murku i bierze szaszłyk.

*

W tej samej chwili na zboczu przeciwległego wzgórza, w wiosce N'tarama, Jean-Baptiste wychodzi z domu. Ma na sobie bladozielony garnitur urzędnika. Rzuca komuś kilka wskazówek przez drzwi, na których, co dziwne, zawiesza kłódkę, jakby zamykał w środku swojego rozmówcę. Woła chłopca, który siedzi oparty o drzewo w ogrodzie, szepcze mu parę uwag na ucho, trzymając w dłoni zwinięty banknot, i rusza w stronę Kibungo.

Trzydzieści kilometrów stąd, o tej samej porze, Léopold i stary Élie wdrapują się na platformę ciężarówki, która przejeżdża przez Nyamatę. Na głównej ulicy roi się od żołnierzy, na placu targowym leży trup. Na drodze wiodącej do Kibungo ciężarówka mija przy dźwiękach klaksonu niekończący się orszak pieszych i jadących na rowerach mężczyzn.

Przemierzając Kibungo, kierowca burmistrza klaksonem nawołuje ludzi, by zgromadzili się na boisku. Adalbert i jego kumple kończą jeść szaszłyki, każdy chwytając butelkę piwa ze skrzynki i idą za całą resztą. Boisko to jedno z nielicznych płaskich miejsc w całym pejzażu, na owym stromym zboczu między Kibungo a N'taramą. Dostrzega się je w przesiece dzięki bramkom zbitym z pni eukaliptusów. Autobusy, wojskowe ciężarówki, furgonetki suną jedna za drugą i parkują dokoła. Z wolna zbiera się tu tłum mężczyzn. Na

środku boiska można rozpoznać silną sylwetkę Josepha-Désiré Bitero w uniformie koloru khaki, w otoczeniu kilku zaufanych ludzi z karabinami w ręku.

Grupa kolegów stoi nieco na uboczu i wrzawa nie pozwala im dosłyszeć przemówień, ledwie są w stanie rozpoznać kolejnych mówców, którzy wdrapują się na maskę ciężarówki. Opróżniają butelki, rzucają je na trawę, bez przerwy się z kimś witają, szczególnie ciepło z Ignace'em, który ich szukał. Kiedy tłum rusza z miejsca, Adalbert daje znak wszystkim, by trzymali się razem, potem by szli za nim; oddalają się ścieżką, która przecina las i zmierza do osady Nyarunazi.

Większość domów wydaje się już opustoszała. Jednak widzą Célestina, znanego uzdrowiciela, który siedzi na swojej werandzie. Przynosi im kolejną tacę z szaszłykami i naczynie pełne alkoholu z bananów z wetkniętym kawałkiem trzciny, przez którą piją po kolei; sam jednak wymawia się ważnymi sprawami, by im nie towarzyszyć. Jego wiek i *urwagwa* przekonują przybyłych, ruszają więc w drogę bez niego.

*

W dali rozlegają się odgłosy wystrzałów i dźwięki gwizdka. Grupa nie dołącza do reszty, która już przeszukuje zarośla i plantacje. Pancrace powie: „Wiedzieliśmy, że to strata czasu, że prawdziwa robota czeka nas tam, w dole”. Obeznani z bagnami, przeczuwają, że Tutsi już poszli szukać schronienia na mokradłach, dlatego docierają tam jako pierwsi. Rzęsisty deszcz rozproszył mgłę nad horyzontem i jak okiem sięgnąć, widać rozlewiska i kępy papirusów. Bez chwili wahania mężczyźni schodzą z wydeptanej ścieżki i grzęzną po kolana w mule; każdy w jednej ręce trzyma maczetę, a drugą rozgarnia liście.

W kwietniu 2000 roku napisałem książkę zawierającą relacje ocalałych z powiatu Nyamata, *Nagość życia. Opowieści z bagien Rwandy*. Zaczynała się tak:

W roku 1994, od godziny jedenastej w poniedziałek 11 kwietnia do czternastej w sobotę 14 maja, około pięćdziesięciu tysięcy z pięćdziesięciu dziewięciu tysięcy miejscowych Tutsi zginęło od maczety na wzgórzach powiatu Nyamata w Rwandzie z rąk bojówkarzy *interahamwe* i sąsiadów Hutu, którzy zabijali codziennie od godziny dziewiętej trzydzieści do godziny szesnastej. Oto punkt wyjścia tej książki.

Jest to także punkt wyjścia tej drugiej książki, z tą różnicą, że jej bohaterami są zabójcy krewnych owych ocalałych, ich sąsiedzi, a dokładniej zabójcy zamieszkujący trzy wzgórza, Kibungo, N'tarama i Kanzenze - które wznoszą się nad bagnami.

Organizacja

PANCRACE: W tym sezonie rzezi wstawaliśmy wcześniej niż zwykle, by najeść się mięsa do syta, i około dziewiątej, dziesiątej rano szliśmy na boisko. Dowódcy karcili spóźnialskich i ruszaliśmy do ataku. Zasadą numer jeden było zabijanie. Zasady numer dwa nie było. To była organizacja bez zbędnych komplikacji.

PIO: Budziliśmy się o szóstej. Jedliśmy szaszłyki i inne pożywne rzeczy, bo zaraz potem musieliśmy dużo biegać. Spotykaliśmy się przy hali targowej i gawędząc, zmierzaliśmy w stronę boiska. Tam udzielano nam wskazówek co do przebiegu rzezi i wykreślano marszrutę na kolejny dzień. Potem szliśmy na bagna, przetrząsając zarośla. Tworzyliśmy szpaler, żeby wejść między papirusy i w błoto. Potem dzieliliśmy się na małe grupki znajomych i przyjaciół.

Rozumieliśmy się bez trudu. Z wyjątkiem tych gorączkowych dni, gdy z sąsiednich sektorów przybywały zmotoryzowane posiłki *interahamwe*, by przeprowadzić wielkie operacje. Bo ci zapaleńcy psuli nam całą robotę.

FULGENCE: 11 kwietnia radca gminy Kibungo rozesłał posłańców, by wezwali wszystkich Hutu na górę. Przybyło całe mnóstwo *interahamwe* w ciężarówkach i autobusach, które przy dźwiękach klaksonów mijaly się na drogach. Było tam gwaro jak w mieście.

Radca ogłosił zebraniem, że od tej chwili nie mamy już nic innego do roboty jak tylko zabijać Tutsi. Zrozumieliśmy, że to program, który ma być doprowadzony do końca. Nastroje się zmieniły.

Tego dnia jacyś niedoinformowani ludzie przyszli na spotkanie bez maczet ani innych ostrych narzędzi. *Interahamwe* ich napomnieli; powiedzieli, że tym razem ujdzie im to na sucho, ale żeby to się nigdy więcej nie powtórzyło. Kazali im uzbroić się w gałęzie i kamienie, utworzyć szpaler na tyłach, by nie przepuścić żadnego uciekiniera. Później jedni szli na czele, inni z tyłu, ale nikt więcej nie zapomniał maczety.

PANCRACE: Pierwszego dnia wysłannik radcy gminy przeszedł się po domach i kazał nam natychmiast udać się na wiec. Tam radca oświadczył, że zebraliśmy się po to, by zabić wszystkich Tutsi bez wyjątku. To było powiedziane wprost, łatwo było zrozumieć.

Pytaliśmy tylko głośno o szczegóły i organizację. Na przykład od czego i kiedy powinniśmy zacząć, bo nie nawykliśmy do takiej pracy, a także w którym miejscu, gdyż Tutsi

zawsząp pouciekali. Niektórzy pytali nawet, czy są jakieś preferencje. Radca odpowiedział surowym tonem: „Nie ma co pytać, od czego macie zacząć, a cała organizacja to ruszać prosto przed siebie w busz, i to zaraz, zamiast tracić czas na pytania”.

ADALBERT: Dzieliliśmy się na grupy na boisku piłkarskim. Ta ekipa na górę, tamta ekipa na dół, inna ruszała w drogę do bardziej oddalonych bagien. Szczęśliwcy mogli wrócić i zająć się grabieżą. Na początku burmistrz, zastępca prefekta, radcy gminy wszystko nadzorowali, również emerytowani wojskowi i policjanci, bo mieli karabiny. W każdym razie ten, kto miał jakąś broń, choćby stary granat, od razu stawał na czele i miał przywileje.

Później to młodzi, najodważniejsi ludzie zostawali przywódcami. Ci, którzy bez wahania wydawali rozkazy i śmiało szli naprzód. Ja zostałem dowódcą mieszkańców Kibungo już pierwszego dnia. Wcześniej prowadziłem chór przy kościele, toteż zostałem ich autentycznym przywódcą, że się tak wyrażę. Sąsiedzi zgodzili się na to bez słowa sprzeciwu.

Dobrze się czuliśmy w naszej paczce, ustalaliśmy razem, co mamy dalej robić, sami decydowaliśmy, w którym miejscu będziemy pracować, wspieraliśmy się nawzajem jak prawdziwi kumple. Jeśli ktoś przedstawiał jakiś ważny powód, braliśmy na siebie część jego roboty. Nie była to jakaś skomplikowana organizacja, lecz każdy ją szanował i przestrzegał zasad.

ALPHONSE: Budziliśmy się, myli, jedli, załatwiali potrzeby. Wołało się sąsiadów i szło małą ekipą, spotykając innych po drodze. Nie zmienialiśmy naszych porannych wiejskich nawyków, najwyżej co do godziny, bo w zależności od przebiegu poprzedniego dnia raz mogło to być trochę wcześniej, innym razem później.

Rano nie urządało się jakiejś specjalnej uczty. Najczęściej jedliśmy posiłek przygotowany przez żony. Był, rzecz jasna, obfity. Wieczorem wszystko zależało od tego, jak skończył się dzień. Jeśli z sąsiednich wzgórz przybyło wsparcie, dowódcy korzystali z tego, by przeprowadzić bardziej owocne polowania, i osaczali uciekinierów ze wszystkich stron. Można powiedzieć, że było wtedy dwa razy więcej roboty. A wieczorem zbieraliśmy się w centrum miasta, żeby razem jeść mięso, zaprzyjaźnić się z *interahamwe*, spotkać dawno niewidzianych kolegów, słuchać ogłoszeń władz i rozdzielać łupy.

Ale w dni zwykłych ekspedycji nie zostawialiśmy tak długo w kabarecie w mieście, wcześniej wracaliśmy do rodzin, by w domowym zaciszu wychylić primusa. Korzystaliśmy z tych spokojniejszych chwil, by się odprężyć i trochę wypocząć.

Im większe było wsparcie, tym dalej ekspedycje zapuszczały się na głębokie grzędzawiska, tym częściej musieliśmy rozgarniać papirusy, tym dłużej biegać w błocie, z maczetą w ręku, i wracaliśmy tym bardziej strudzeni. Cali spoceni i ubabrani błotem. Posiłki

z zewnątrz, mimo ich dobrej woli, to był najbardziej wyczerpujący wymóg organizacji.

IGNACE: Zbieraliśmy się w tłumie tysiąca ludzi na boisku, szliśmy przez busz w grupie stu, dwustu myśliwych, prowadziło nas dwóch albo trzech panów z karabinami, wojskowych lub agitatorów. Na grząskim brzegu z pierwszymi rzędami papirusów dzieliliśmy się na mniejsze ekipy znajomych.

Ci, którzy chcieli gawędzić, gawędzili. Ci, którzy chcieli próżnować, próżnowali, pod warunkiem, że nikt tego nie zauważył. Ci, którzy chcieli śpiewać, śpiewali. Nie wybieraliśmy jakichś specjalnych piosenek, by dodać sobie odwagi, nie śpiewaliśmy żadnych patriotycznych pieśni, jakie słyszy się w radiu, żadnych złośliwych czy drwiących tekstów o Tutsi. Nie potrzebowaliśmy słów zachęty, całkiem zwyczajnie wybieraliśmy tradycyjne melodie, które się nam podobały. W sumie to były takie chóralne śpiewy do marszu.

Na bagnach wystarczyło tropić i zabijać do ostatniego gwizdka. Czasem strzał z karabinu zastępował gwizdek, to była jedyna nowość w ciągu dnia.

ÉLIE: Inspiratorzy planowali i zachęcali. Kupcy płacili i zapewniali transport. Rolnicy stali na straży i grabili. Ale gdy chodzi o rzezie, wszyscy musieli iść z maczetą w dłoni i w tym uczestniczyć, w każdym razie musieli się wykazać.

Ludzie złościли się tylko wtedy, gdy dowódcy ogłaszali przymusowe zbiórki pieniędzy na wynagrodzenie dla ochotników, którzy wyruszali w drogę, by wesprzeć sąsiednie sektory.

Szemrali zwłaszcza, gdy zbierano składki na rzecz *interahamwe* z okolicznych regionów.

My narzekaliśmy na te wielkie ekspedycje, myśleliśmy, że lepiej byłoby zostać w domu. Wiedzieliśmy, że ci, którzy przybyli z daleka, zjawiali się tu, by zabić jak najwięcej Tutsi. W gruncie rzeczy nie lubiliśmy ich, woleliśmy robić to we własnym gronie.

Gdy chodzi o robotę przy zabijaniu i wynagrodzenia, na różnych wzgórzach panowały różne zwyczaje.

LÉOPORD: Byłem młody i odpowiadałem za rzezie w komórce z Muyange. Dla mnie było to, rzecz jasna, coś nowego. Wstawałem więc wcześniej niż sąsiedzi, by wszystko dokładnie zaplanować. Dawałem gwizdkiem sygnał do zbiórki, popędzałem, upominałem tych, którzy zaspali, liczyłem, kogo brakuje, sprawdzałem powody nieobecności, wydawałem polecenia. Jeśli na zebraniu dowódców podjęto jakąś decyzję albo kazano ogłosić coś ludziom, przekazywałem to co do słowa. Dawałem znak do wymarszu.

Ludzie z Kibungo, z Kanzenze i N'taramy zbierali się na boisku w Kibungo. Ludzie z Muyange i Karambo zbierali się przed kościołem zielonoświątkowców w Maranyundo. Jeśli były szaszłyki, jedliśmy. Jeśli przychodziły jakieś polecenia, słuchaliśmy i ruszaliśmy w

drogę.

Zwykle musieliśmy iść pieszo przez busz, dlatego wstawaliśmy wcześniej niż koledzy z Kibungo. Jednak w tym okresie na drogach panował dosyć ożywiony ruch. Kierowcy byli usłużni i pozwalali nam zająć platformę, nie biorąc nic w zamian, niektórzy kupcy podwozili nas tam i z powrotem gratis. Można więc było znaleźć miejsce w furgonetce kupca albo w jakimś wojskowym autobusie. To zależało od szczęścia i od twojej pozycji.

ÉLIE: Musieliśmy działać szybko, nie przysługiwały nam dni wolne, nawet w niedzielę. Musieliśmy skończyć. Zniesiono wszystkie uroczystości. Wszyscy na równi byliśmy zatrudnieni do jednego dzieła - zabicia wszystkich karaluchów. Prowodrzy stawiali przed nami jeden cel i jeden sposób, żeby go osiągnąć. Kto dostrzegał jakąś anomalię, szeptał o tym drugiemu. Kto chciał być zwolniony - także. Nie wiem, jak było to zorganizowane w innych regionach, u nas to była podstawa.

JEAN-BAPTISTE: W gruncie rzeczy, powiedzieć, że zorganizowaliśmy się na wzgórzach, to duża przesada. Samolot rozbił się 6 kwietnia. Tylko niewielka liczba sąsiadów Hutu od razu zaczęła szukać odwetu. Większość odczekała cztery dni w swoich domach i najbliższych kabaretach. Słuchali radia, patrzyli na uciekających Tutsi, gawędzili i dowcipkowali, nie przygotowując niczego.

10 kwietnia burmistrz w wyprasowanym garniturze i wszyscy przedstawiciele władzy zwołali nas na zebranie. Napomnieli nas, z góry zagrozili tym, którzy chcieliby spaprać robotę, i rzezie zaczęły się bez dokładnych wytycznych. Jediną zasadą było nie ustawać do końca, zachować właściwy rytm, nie oszczędzać nikogo i grabić, co tylko się znajdzie. Tego nie dało się spartaczyć.

IGNACE: Po katastrofie samolotu nie zadawaliśmy już sobie pytania o to, kto słucha wskazówek partii prezydenckiej, a kto wskazówek rywalizującej z nią partii. Nie pamiętaliśmy już o sprzeczkach, o tym, kto z kim w przeszłości się wadził. Wszyscy mieliśmy w głowach tylko jedną myśl.

Już nie pytaliśmy, kto ćwiczył strzelanie z karabinu i miał okazję trenować w bojówkach albo kto nigdy nie wypuścił z rąk motyki. Dostaliśmy robotę i wykonywaliśmy ją jak najlepiej. Mieliśmy gdzieś, kto woli słuchać burmistrza, kto wykonywać rozkazy *interahamwe*, a kto woli być bezpośrednio pod dowództwem dobrze wszystkim znanego radcy gminy. Byliśmy posłuszni i zadowoleni.

Wszyscy Hutu nagle stali się braćmi i patriotami i nie było między nimi żadnych politycznych różnic. Nikt nie zonglował już politycznymi sloganami. Skończyły się czasy „każdy tylko dla siebie” Wykonywaliśmy robotę na zamówienie. Szliśmy na ślepo za dobrą

wolą wszystkich. Gromadziliśmy się na boisku w gronie znajomych i ruszaliśmy na polowanie w poczuciu bliskości.

Trzy wzgórza

Dwie szerokie rzeki i jezioro - płytkie i ukryte pod kobiercem papirusów, trzciny, nenufarów - wyznaczają granice regionu Bugesera. Rzeka Akanyaru od zachodu, rzeka Nyabarongo od północy, a później, za jej zakolem, od wschodu, jezioro Cyohoha od południa. Niegdyś jezioro o nazwie Północne Cyohoha przecinało ten region w poprzek, ale nie przetrwało niedawnych okresów suszy, miejscowych objawów meteorologicznego fenomenu El Niño. Usiany dziurami trakt biegnie z północy na południe, łącząc Kigali z granicą z Burundi w pięć-sześć godzin jazdy minibusem, którego amortyzatory jeden po drugim odmawiają posłuszeństwa, uginając się od nadmiaru pasażerów.

Choć region Bugesera otaczają mokradła i są tu dwie pory deszczowe w roku, sucha laterytowa gleba barwy ochry długo zniechęcała ludzi. Na tych pylistych i gliniastych ziemiach niezwykle rzadkie są bowiem źródła wody pitnej.

Gdy przejedziemy przez most na rzece Nyabarongo i znajdziemy się w tym regionie, pierwszy czysty strumień napotkamy dwadzieścia pięć kilometrów dalej. Nazywa się Rwaki-Birizi, wypływa ze zwierciadła wód podziemnych, z dala od gnijących bagien, i zasila gminę Nyamata. Dlatego przez cały rok, na długo przed świtem, tłum kobiet i dziewcząt - każda z kanistrem w ręku i drugim na głowie - oraz cyklistów, których taxi-rowery są przystosowane do przewożenia trzech czy czterech kanistrów, oblega strumień, by zaopatrzyć swe domy i domy swoich kochanek czy klientek.

*

Imigracja do regionu Bugesera zaczęła się w 1959 roku, w wyniku zamieszek, które poprzedziły utworzenie w Rwandzie pierwszej republiki, potem uzyskanie niepodległości. Tego roku, kiedy zniesiono władzę królów Tutsi i doszło do pogromów, uciekający Tutsi w pośpiechu wsiadają na drewniane platformy ciężarówek belgijskiej administracji i po trwającej całą noc podróży zostawia się ich samych sobie nad brzegiem tej rzeki.

Przechodzą przez wodę i wkraczają w krainę buszu i lasów, prawie niezaludnioną, gdzieś kryją się tylko wioski Pigmejów Twa oraz rolników Hutu i Tutsi, zamieszkujących te wzgórza od niepamiętnych czasów, żyjących w zbyt wielkim osamotnieniu, by - wobec stałego zagrożenia ze strony dzikiej fauny - przejmować się przynależnością etniczną. Starsi do dzisiaj opowiadają o krytych liśćmi chatach, których nocą

chroniły ogniska, na sawannie, gdzie królowały wielkie stada słoni i bawołów.

Innocent Rwililiza, nauczyciel, wspomina, że jeszcze znacznie później, w latach osiemdziesiątych, na drodze, którą co tydzień chodził z innymi studentami szkoły pedagogicznej w Rilimie, widywał od czasu do czasu pośród zarośli lwa, panterę albo pytona - zwierzęta, które na skutek karczowania ziemi z wolna zostały stąd wyparte w stronę górskiego parku Akagera lub zabite dzidą czy strzałą - stąd obecność tej broni podczas rzezi w okresie ludobójstwa.

*

Lądując na skraju bagien, gdzie roi się od much tse-tse i komarów, pionierzy Tutsi zmagają się ze śpiączką, malarią i tyfusem. Osiedlają się w okolicach źródła, karczują najpierw parcele w przesiekach, nadające się do hodowli krów rasy ankole, i rozwijają powoli miasteczko Nyamata, wokół kościoła i murowanego budynku administracji. Napływają kolejne fale Tutsi i Hutu, wypędzonych ze swoich regionów przez masakry lub biedę, i stopniowo zaludniają czternaście wzgórz powiatu Nyamata.

*

Na początku lat siedemdziesiątych wielki głód, który szerzy się na polach Gitaramy, zmusza do wędrówki kolonię rodzin Hutu. Omijają oni góry Mugina i docierają do zbiegu rzek Akanyaru i Nyabarongo. Przemierzają grząską równinę papirusów, lecz by ominąć ślady swych rodaków Tutsi, zapuszczają się w dziewiczy las i zatrzymują na pierwszych wzniesieniach.

*

Ten las pokrywa trzy wzgórza, które wznoszą się nad miejscem zbiegu rzek: nad rzeką Akanyaru - wzgórze o nazwie N'tarama, nad rzeką Nyabarongo - wzgórze Kanzenze, a pośrodku, w miejscu, gdzie spotykają się rzeki - wzgórze Kibungo.

Ówczesna miejscowa administracja, będąca w rękach urzędników i radnych Hutu - podobnie jak w całym kraju od chwili uzyskania niepodległości - pozwala tym nowym kolonistom Hutu wytyczyć sobie dowolnie parcele pośród lasu. Nowo przybyli budują szałas, a następnie mozolnie karczują busz aż do brzegów rzeki. Ci obdarzeni talentem rolnicy odkrywają gliniaste gleby, wyjątkowo żyzne i sprzyjające uprawie bananowców.

Z sezonu na sezon plantacje przerzedzają las na zboczach i coraz bardziej zbliżają się do brzegów rzeki. Dzięki swym pierwszym zbiorom rolnicy Hutu wznoszą solidne domy kryte beżową dachówką, charakterystyczne dla ich rodzinnych stron, stawiają kurniki, porządne, kryte dachem zagrody dla kóz i czarnych świń, zupełnie inne od tych, które budują dla swoich krów Tutsi - z wbitych w ziemię gałęzi porośniętych liśćmi, obszerne i pod gołym

niebem. Jeszcze dziś ci rolnicy Hutu, częściej zaś ich kobiety, każdego ranka idą od dwóch do trzech godzin, by dotrzeć do bagien i przynieść stamtąd na plecach kanistry mulistej wody, niezbędnej do prac domowych i kuchennych.

Ta późna fala migracji czyni wszelką dyskusję o prawo pierwszeństwa jednej z grup etnicznych zupełnie niedorzeczną. Wszyscy ci imigranci przybyli do Bugesery niemal w tym samym czasie, owładnięci strachem, że mogą nie znaleźć ziemi, żeby się wyżywić.

*

W przeddzień ludobójstwa populacja powiatu Nyamata wynosiła 119 tysięcy, w miasteczku i na czternastu okolicznych wzgórzach, na ogólnej powierzchni 398 kilometrów kwadratowych. Spośród tych czternastu wzgórz na trzech - Kibungo, Kanzenze, N'tarama - mieszkało 12675 ludzi na powierzchni 133 kilometrów kwadratowych. Po masakrach liczba mieszkańców powiatu spadła do 50,5 tysiąca, a na trzech wzgórzach do 5 tysięcy. W niespełna półtora miesiąca zginęło pięciu na sześciu Tutsi.

Pierwszy raz

FULGENCE: Najpierw jednym ciosem pałki roztrzaskałem głowę jakiejś starszej kobiecie. Ale że leżała na ziemi, już konając, nie poczułem śmierci na końcu ramienia. Wieczorem wróciłem do domu, nawet o tym nie myśląc.

Nazajutrz ścinałem żyjących, którzy jeszcze stali na nogach. To był dzień masakry w kościele, a więc dzień wyjątkowy. Pamiętam, że z powodu wielkiego hałasu zacząłem walić na oślep w co popadnie, że się tak wyrażę. Trudno się było poruszać w tym tłoku, tak że zderzaliśmy się łokciami.

W pewnej chwili ujrzałem strugę krwi, która zaczęła płynąć wprost na moich oczach. Plamiła skórę i ubranie jakiegoś człowieka, który nie chciał upaść. Mimo półmroku widziałem, że lała się strumieniami. Poczulem, że ścieka z mojej maczety, spojrzałem na nią, była cała mokra. Przestraszyłem się i zacząłem przedzierać do wyjścia, nie patrząc już na nikogo. Znalazłem się na zewnątrz, długo nie chciałem wracać, dosyć już zrobiłem. Ta osoba, którą uderzyłem maczetą, była kobietą, pomimo mroku poczułem obrzydzenie i nie mogłem jej dobić.

PANCRACE: Nie przypominam sobie pierwszej osoby, którą zabiłem, bo nie rozpoznałem jej w tłoku. Na szczęście na początku zabiłem wiele osób, nie patrząc im w twarz. Chcę powiedzieć, że uderzałem, słyszałem wrzask, ale ze wszystkich stron, więc było to pomieszanie ciosów i krzyków, rozdzielone na wszystkich.

Pamiętam jednak pierwszą osobę, która na mnie spojrzała w chwili krwawego ciosu. To było coś. Oczy tego, którego się zabija, są nieśmiertelne, jeśli napotkasz je w momencie śmierci. Mają straszliwy czarny kolor. Robią większe wrażenie niż strugi krwi i rżenie ofiar, nawet pośród wielkiej wrzawy śmierci. Dla zabójcy oczy zabitego są jego nieszczęściem, jeśli je zobaczy. Są jak klątwa rzucona przez tego, którego zabija.

ALPHONSE: To było przed decyzją o rzeziach na wielką skalę. Grupa Tutsi schroniła się w lesie Kintwi, żeby stawiać opór. Dojrzeliliśmy ich między drzewami, stali, trzymając kamienie, gałęzie i jakieś narzędzia. Któryś z dowódców rzucił granat. Zrobiło się zamieszanie. Tutsi rozbiegli się, ruszyliśmy za nimi. Jakiś starszy człowiek, już nie bardzo sprawny, przewrócił się, uciekając w popłochu. Upadł przede mną, wbiłem mu *inkotę* w plecy. Wyostrzony brzeszczot do zabijania bydła, który wziąłem rano.

Młody człowiek stanął tuż obok bez słowa, z maczetą w ręku, jakby to była jego ofiara. Gdy usłyszeliśmy, że stary oddaje ducha, mój młody kolega powiedział, że zna go od dawna. Jego dom stał na tym samym zboczach, trochę niżej. Powiedział, że czuje wielką ulgę. Było widać, że jest zadowolony. Ja znałem tego starego z nazwiska, ale niczego złego o nim nie słyszałem. Wieczorem opowiedziałem o tym żonie, słyszała na jego temat tylko jakieś nieważne szczegóły. Nie rozmawialiśmy o tym długo i zasnąłem.

To poszło gładko, nie musiałem walczyć. W gruncie rzeczy za pierwszym razem byłem bardzo zdziwiony, jak szybko przychodzi śmierć, jak niedbały był cios, że tak to określe. Nigdy jeszcze nie zadałem śmierci, nigdy nie brałem tego pod uwagę, nigdy nie spróbowałem tego na jakimś zwierzęciu. Ponieważ dobrze mi się wiodło, na wesele i Boże Narodzenie płaciłem chłopakowi, żeby zabijał kurczaki za domem; również by uniknąć poplamienia krwią.

JEAN-BAPTISTE: Wracaliśmy ścieżką z bagien. Jacyś młodzi ludzie przetrząsali dom pana o nazwisku Ababanganyingabo; byli rozgniewani, bo ten Hutu z Gisenyi stale zadawał się z rodzinami Tutsi i mógł ich popierać. Dowiedzieli się, że pomógł Tutsi ukryć krowy. Za swoim domem, w zagrodzie, jak mi się wydaje. Otoczyli tego człowieka tak, że stał bez ruchu. Usłyszałem swoje imię.

Zawołali mnie, bo wiedzieli, że mam żonę Tutsi. Wieść o sytuacji Ababanganyingabo rozchodziła się po okolicy, ludzie czekali. Byli rozjuszeni, bo zabili już parę osób. Ktoś powiedział tak, by wszyscy go słyszeli: „Jean-Baptiste, jeśli chcesz ocalić życie swojej żony, Spéciose Mukandahungi, musisz zaraz ściąć tego człowieka. To oszust, pokaż nam, że ty nie należysz do tego rodzaju ludzi”. Odwrócił się i rozkazał: „Przynieście mu maczetę”. Wybrałem żonę z miłości do jej urody, to postawna i bardzo usłużna kobieta, jest do mnie przywiązana, byłoby mi bardzo żal ją utracić.

Tłum się powiększał. Chwyciłem maczetę, zadałem pierwszy cios. Kiedy ujrzałem spienioną krew, podskoczyłem, cofnąłem się o krok. Ktoś z tyłu mnie zatrzymał i łokciem pchnął do przodu. W całym tym zgiełku zamknąłem oczy i uderzyłem drugi raz tak samo. Było po wszystkim, ludziom się podobało, byli zadowoleni i rozstąpili się. Usunąłem się na bok. Poszedłem usiąść na ławie w małym kabarecie, wziąłem coś do picia, starałem się nie patrzeć na boki. Później dowiedziałem się, że ten człowiek ruszał się jeszcze przez długie dwie godziny, nim skonał.

Z czasem przywykliśmy zabijać bez tyłu rozterek.

PIO: Zabijałem kurczaki, ale nigdy zwierzęcia wielkości człowieka, jak koza czy krowa. Z pierwszą osobą skończyłem bardzo szybko, nie myśląc nic szczególnego, chociaż to

był sąsiad, bardzo bliski, z mojego wzgórza.

Tak naprawdę dopiero później spostrzegłem, że odebrałem życie sąsiadowi. Chcę powiedzieć, że w tamtej chwili nie zdałem sobie sprawy, kim był przedtem, uderzyłem osobę, która nie była mi już ani bliska, ani obca. Nie był już do końca zwykłym człowiekiem, to znaczy takim, jakich spotyka się co dzień. Jego rysy przypominały rysy osoby, którą znałem, ale nic wyraźnie mi nie mówiło, że spotykałem ją od bardzo dawna.

Nie wiem, czy może pan to zrozumieć. Rozpoznałem kogoś, kogo nie znałem. To była pierwsza osoba, którą zabiłem. Mój wzrok i myśli całkiem się pogubiły.

ÉLIE: W dziewięćdziesiątym drugim roku, jako wojskowy na emeryturze, zabiłem już podczas manifestacji dwie cywilne osoby. Pierwsza była asystentką społeczną w sektorze Kanazi. Miała dobrą opinię i ludzie ją znali. Zabiłem ją z łuku. Widziałem, jak upada, ale nie słyszałem krzyków, bo była za daleko. Oddaliłem się szybkim krokiem w przeciwnym kierunku, nie patrzyłem, jak umiera. Później ukarano mnie grzywną. Słyszałem też o jakichś pretensjach ze strony jej rodziny i groźbach więzienia, jednak nie było zbyt przykrych konsekwencji.

W dziewięćdziesiątym czwartym podczas rzezi na bagnach miałem wielkie szczęście, gdyż mogłem zabijać za pomocą starego wojskowego karabinu. To jedna z naszych wojskowych tradycji, by pozostawiać starszym stopniem broń, gdy skończą karierę. Zabijać z karabinu to zabawa w porównaniu z zabijaniem maczetą, to robi znacznie mniejsze wrażenie.

ADALBERT: Pierwszego dnia nie zadałem sobie trudu, by samemu zabijać, gdyż moja praca polegała przede wszystkim na udzielaniu wskazówek i zachęcaniu ekipy. Byłem szefem. To tu, to tam rzucałem też granaty w całym tym zamieszaniu, ale nie widziałem śmiertelnych skutków, najwyżej słyszałem krzyki.

Nie pamiętam dokładnie, jak to było, kiedy zabiłem pierwszą osobę maczetą. Pomagałem kolegom w kościele. Uderzałem z rozmachem, stale w coś trafiałem, to był dla mnie wysiłek, w tym rozgardiaszu nie widziałem jednak śmierci ani nikogo cierpiącego. Dlatego dla mnie prawdziwy pierwszy raz, który mogę opowiedzieć jako trwałe wspomnienie, był wtedy, kiedy siedemnastego kwietnia zabiłem dwoje dzieci.

Tego ranka krążyliśmy po okolicy z misją przeszukania terenu i wytropienia Tutsi, którzy mogli się ukrywać na parcelach w Rugazi. Natknąłem się na dwójkę dzieci siedzących w kącie domu. Siedziały cicho jak myszy. Kazałem im wyjść; wstały, chciały pokazać, że są grzeczne. Postawiłem je na czele naszej grupy, by zaprowadzić do centrum Nyarunazi. To była godzina powrotu, zaczęliśmy iść, dyskutując o przebiegu dnia.

Jako dowódca, oprócz granatów miałem od niedawna prawo do karabinu. Po drodze,

nie mając żadnych konkretnych planów, chciałem go wypróbować. Ustawiłem dwójkę dzieci dwadzieścia metrów dalej, przystanąłem, dwa razy strzeliłem im w plecy. Pierwszy raz w życiu używałem karabinu, bo od kiedy w Bugeserze zniknęły dzikie zwierzęta, rzadko się już poluje. To było dla mnie ciekawe, zobaczyć, jak dzieci upadają bezgłośnie. To wyglądało nawet dość zabawnie.

Kontynuowałem marsz, nie nachyliwszy się, by sprawdzić, czy naprawdę nie żyją. Nawet nie wiem, czy ktoś usunął je z drogi i przykrył w jakimś bardziej odpowiednim miejscu.

Teraz zbyt często wraca do mnie wspomnienie tej dwójki dzieci, do których strzelałem jakby dla zabawy.

IGNACE: Przeszukiwaliśmy pole, gdy ktoś zawołał, że grupka Tutsi schowała się w sztolniach w Birombe. Była tam opuszczona kopalnia kasyterytu, na wzgórzu Rusekera. Ten wybieg nas rozzłościł i od razu wyruszyliśmy tam z ekspedycją. Otoczyliśmy ich. Ci z nas, którzy mieli granaty, zaczęli rzucać je w stronę Tutsi, żeby ich rozproszyć, ale część z nich ukryła się głęboko w sztolniach.

Wiedzieliśmy, że trzeba pół godziny, by przebiec tam i z powrotem głównym korytarzem. To było zbyt ryzykowne w ciemnościach, gdzie kryło się tylu nieprzyjaznych Tutsi. Toteż nacięliśmy gałęzi, pościągaliśmy wiązania dachów z opuszczonych domów. Zatkaliśmy wlot korytarza tym drewnem opałowym i podłożyliśmy ogień. Tutsi zginęli zaczadzeni albo spaleni w liczbie dwudziestu siedmiu osób. To było dwudziestego drugiego kwietnia, dobrze pamiętam. Była to moja pierwsza zabójcza i, z powodu widoku okropnych poparzeń, najbardziej godna pożałowania ekspedycja.

LÉOPORD: Od rana ludzie zaczęli nieśmiało zabijać na ulicach. Na szczycie wzgórza Kayumba słychać było wystrzały. To żołnierze zabijali grupę uciekinierów w kościele i miasteczku Nyamata. Było jasne, że dzień będzie gorący. Wziąłem maczetę, wyszedłem z domu i udałem się do centrum. Wszędzie wokół trwała już gonitwa.

Na placu targowym zobaczyłem mężczyznę, który biegł w moją stronę. Zbiegał ze zbocza Kayumby, był prawie bez tchu, bardzo wystraszony, uciekał w panice i nawet mnie nie dostrzegł. Szedłem pod górę. Gdy mnie mijał, zadałem mu cios maczetą w szyję, dokładnie w tętnicę. To przyszło całkiem zwyczajnie, o niczym nie myślałem. Łatwo było trafić, bo ten pan się nie bronił. Nie próbował się zasłonić, upadł bez krzyku, bez jęku. Nic nie poczułem, zostawiłem go. Rozejrzałem się, wokół trwało zabijanie; przez cały dzień ścigałem innych uciekinierów.

To było męczące i bardzo zajmujące, jak jakaś niespodziewana rozrywka. Nawet nie

liczyłem. Ani w trakcie, ani potem, gdyż wiedziałem, że to się zacznie od nowa. Nie mogę panu powiedzieć, tak szczerze, ilu zabiłem, bo z czasem zapomniałem.

Tego pana zabitego na placu targowym zapamiętałem dokładnie, bo był pierwszy. Jeśli chodzi o innych, mam mgliste wspomnienia, ich ślady zatarły się w mojej pamięci. Nie traktowałem ich poważnie; przy okazji tych morderstw nie dostrzegłem nawet tego czegoś, co miało zmienić mnie w zabójcę.

Paczka

Rodzina Ignace'a Rukiramacumu przybyła z pierwszą grupą Hutu, która w 1970 roku przemierzyła bagna i osiedliła się w głębi lasu Nganwa, nad rzeką Akanyaru. Ignace miał wówczas trzydzieści siedem lat. Pamięta więc dobrze królestwo Tutsi, gdyż miał dwadzieścia siedem lat w chwili śmierci Mutary Rudahigwy, ostatniego wielkiego władcy. Z tego powodu będzie przed ludobójstwem grał w grupie rolę starszego, odwetowca. Będzie jakby uosobieniem zgorzkniałej pamięci złych czasów.

Rodziny Adalberta Munzigury, Fulgence'a Bunani, Pio Mutungirehe i Pancrace'a Hakizamungili przybywają niedługo potem i osiedlają się w lasach Kiganwa, także nad rzeką Akanyaru. Alphonse Hitiyaremye dociera tu później, początkowo zatrudnia się na dniówkę na parcelach zamożnych hodowców Tutsi. Następnie nabywa i karczuje parcelę w lesie Nyamabuye, bliżej rzeki Nyabarongo.

Adalbert, Fulgence, Pio, Pancrace i inni dorastają razem, w tej samej gromadzie dzieciaków, w szkolnych ławkach, gdzie spotykają się naturalnie z rówieśnikami Tutsi. Nie żyli w dawnym systemie i w szkole nie dowiadują się niemal niczego o historii Rwandy.

W wieku dorastania opuszczają szkołę, by pomagać starszym w pracy na polach. Jak oni przez cały dzień trudzą się bez wytchnienia. W powszechnej opinii, także opinii wrogów, są bardzo dobrymi rolnikami. Mniej lub bardziej regularnie chodzą do kościoła, gromadzą się podczas wielkich tradycyjnych uroczystości, ślubów i pogrzebów. Przede wszystkim zaś codziennie pod wieczór spotykają się, by wspólnie pić *urwagwę* czy primusa, a w świąteczne dni jeść szaszłyki. Ich ulubiony kabaret znajduje się w Nyarunazi, osadzie położonej najbliżej ich zbrocza, ale bez wahania chodzą też do bardziej uczęszczanych barów w centrum Kibungo lub otwierają kanisterek na podwórzu tego czy innego sąsiada.

Gromada dzieci zmienia się z czasem w zgraną paczkę kumpli. Dołącza do niej Alphonse, a niekiedy Jean-Baptiste Murangira, który mieszka w Rugundze, na wzgórzu N'tarama, uzdrowiciel Célestin Mutungirehe oraz kilku innych.

Léopold Twagirayezu zbliżył się do Adalberta i Pio dzięki piłce nożnej; jest bardzo wysoki, tak samo dobrze zbudowany i pełen wigoru. Lecz jego rodzinna parcela znajduje się w Muyange, w odległości dwudziestu kilometrów od rzek, i z tej racji tylko sporadycznie spotyka się z całą paczką: by oglądać mecze, wałęsać się po targu czy bawić na weselach.

*

Élie Mizinge należy do starszego pokolenia, jak Ignace Rukiramacumu. Zapoznaje się z paczką podczas masakr i podczas exodusu do Konga, ale naprawdę zostaje do niej przyjęty dopiero w więzieniu. Élie i Ignace stanowią starszyzną grupy. Mają bardzo różne charaktery, niemal przeciwstawne. Élie, który niegdyś jako wojskowy, a potem policjant korzystał z wielu przywilejów, jest poruszony tym, co się zdarzyło. Ostatnie dziesięciolecie wyraźnie mu ciąży, o czym świadczą jego zgarbiona sylwetka i niepewny krok. Uskarża się na swój los, jest posłuszny, prawie służalczy, a jednak wkłada wiele wysiłku w to, by zrozumieć życiowy marazm, w którym nagle się znalazł, i stara się pokazać, że sytuacja go przerosła i postępował źle.

Również Ignace wie, że zszedł na manowce, podczas rozmowy przeżuwa swoją porażkę, choć nie wiadomo, co obwinia bardziej, samo przedsięwzięcie czy jego zakończenie. Jako rozmówca jest jednym z najbardziej przebiegłych. Robi krok do przodu, potem dwa do tyłu. Nazajutrz odwrotnie. Czasem okazuje całkowity brak wrażliwości na innych albo patrzy oskarżycielskim wzrokiem i wygłasza jakieś dziwaczne proroctwa.

Natomiast Joseph-Désiré Bitero nie jest jednym z kumpli, ponieważ należy do światka notabli z Nyamaty. Jako szef *interahamwe* w powiecie jest w bliskich stosunkach z kilkoma członkami paczki, zwłaszcza z Adalbertem oraz Léopordem, dwoma dynamicznymi aktywistami, których hołubi, i z Éliem, emerytowanym policjantem, z którym się konsultuje przed rozpoczęciem rzezi i podczas niej.

Rodzina Jeana Ndayambaje należy do tej samej grupy imigrantów przybywających z Gitaramy co Pio czy Adalbert. W czasie ludobójstwa miał dziesięć lat i był za młody, by należeć do paczki. Jednak po szkole pracował obok nich, na sąsiednich polach, kręcił się przy ich kabarecie i grał w piłkę na tym samym boisku. Dziś nie chce, by wymieniać jakiegokolwiek konkrety na temat jego działalności w czasie masakr. Opowiada jedynie o tym, jak został pojmany przez żołnierzy Tutsi z Patriotycznego Frontu Rwandy, w wiele miesięcy po ludobójstwie, wraz z całą hordą pariasów w łachmanach, uciekających w popłochu brzegiem rzeki, z których wszyscy byli członkami *interahamwe* i brali udział w polowaniach na ludzi i grabieżach. A także o swoim uwięzieniu w zakładzie dla nieletnich w Gitagacie, skąd trzy lata później, nie doczekawszy się procesu za popełnione czyny, został zwolniony na mocy amnestii obejmującej zatrzymanych, którzy w czasach masakry mieli poniżej czternastu lat.

Dzisiaj ten krępy chłopak, ubrany w szorty i T-shirt, które otrzymał w zakładzie, może mówić od rana do wieczora o wszystkim, co dotyczy jego rodzinnej parceli w Kibungo. Podejrzliwie i z enigmatycznym uśmiechem, który bywa szyderczy albo zblazowany, odnosi

się do wszystkich bliźnich i nie chce już mieszać się w sprawy tego świata, co najwyżej w sobotni wieczór opróżnia butelkę wina z bananów.

*

Clémentine Murebwayre nie ma żadnego związku z naszą paczką, tyle tylko że mieszka w domu z glinianymi ścianami na wzgórzu Kibungo. Jest to trzydziestoletnia kobieta o bardzo subtelnej twarzy, której uroku dodają maleńkie ciemne piegi. Jest Hutu, urodziła się w mieście, dzięki pośrednictwu wuja wyszła za Jeana-de-Dieu Ruzindanę, „bardzo dobrego Tutsi, pomimo wszystkich niedogodności życia na wsi, który sprowadził mnie do swojej rodziny w Kibungo”. Clémentine i jej mąż nie sympatyzują z członkami paczki i nie chodzą do tego samego kabaretu, ale znają ich dobrze, gdyż ich parcela sąsiadowała z parcelami Pancrace’a i Adalberta.

Wspomina: „To była grupa dobrze znana na wzgórzu z powodu pijatyk i różnych wyskoków. Ci goście nie wydawali się źli. Może prócz starego Ignace’a, który całymi dniami wyrzekał coś na Tutsi. Ale kiedy wypili, lubili wszczynać spory i zaczepiać ludzi w kabaretach. Mieli zwyczaj drwić z Tutsi i grozić im represjami, choć nie robili im krzywdy. Przewodził im Adalbert. Był najsilniejszy, najbardziej zuchwały, lubił kpić z ludzi, potrafił wadzić się o głupstwo. Mógł zaczepić każdego, nie tracąc dobrego humoru. Tak między nami, czuliśmy, że ta ekipa może się stać niebezpieczna”.

Innocent Rwililiza, ocalały, także pochodzący z Kibungo, potwierdza: „To byli ludzie bardzo pracowici, dobrzy rolnicy, którzy bywali niezwykle uprzejmi i uczynni. Jednak stopniowo narastały w nich frustracja i zazdrość wobec Tutsi, przejęte po rodzicach przybyłych z Gitaramy. Podczas masakr w 1992 roku gwałtownie zwrócili się przeciwko Tutsi i sytuacja była bardzo groźna. Te utarczki skończyły się w regionie bez większych konsekwencji dzięki mądrości radcy gminy. Od tej pory domyślaliśmy się, że przepelnia ich złość i przy byle okazji mogą zrobić fałszywy krok. Byli coraz bardziej nieprzyjaźni, zwłaszcza gdy rozchodziły się wieści o wojnie *inkotanyich*. Jednak nikt nie wyobrażał sobie, by któregoś dnia mogli zacząć zabijać, i to z takim zapalem”.

*

W chwili przeprowadzania wywiadów wszyscy członkowie paczki są jeszcze osadzeni w więzieniu w Rilimie. Oprócz Josepha-Désiré, który nie może opuścić oddziału skazanych na śmierć, reszta już o świcie spotyka się na dziedzińcu, by oddawać się obowiązkowym lub dobrowolnym zajęciom, nosić wodę, grać w piłkę, przyrządzać posiłki. Adalbert, odpowiedzialny za bezpieczeństwo w ich bloku, a wcześniej szef *interahamwe* w Kibungo, zachował swój autorytet i przejawia go w pełni podczas ich procesu; Fulgence, zawsze w

białych sandałach, pielęgnuje swą wiarę, Pio nie traci dobrego humoru, Élie pozuje na ofiarę losu, zaś Ignace odgrywa rolę zrzędy.

Léopord nie stara się już rywalizować z Adalbertem. Wydaje się wciąż pewny siebie, lecz trzyma się na uboczu. Jest, jak dotąd, jedynym, który do pewnego stopnia się złamał. Stało się to w obozie w Kongu, gdzie wciąż pełnił funkcję członka *interahamwe*. Któregoś dnia po zakończeniu mszy w plenerze odczuł potrzebę, by wszystko opowiedzieć, by oskarżyć samego siebie, pośród oniemiałych współników i rodaków, którzy uznali go za pomyłonego. Po powrocie do Nyamaty trwa w swoim postanowieniu i od razu oświadcza sędziom, zajmującym się jego sprawą, że wszystko wyjawি. Jest więc zarazem jednym z tych, którzy najczęściej używali maczety, i tym, którego zeznania na temat własnych czynów i czynów przełożonych są najdokładniejsze.

Także Jean-Baptiste, po powrocie z wygnania w 1996 roku, postanowił udać się do sądu i dobrowolnie zeznawać. Tej współpracy zawdzięcza życzliwość administracji więzienia, gdzie prowadzi stowarzyszenie osadzonych okazujących skruchę. Jean-Baptiste, o którym Innocent powiada, że jest „równie zły i zdecydowany w działaniu, co chytry i inteligentny” wyraża się precyzyjnie, lecz kalkuluje bardziej niż Léopord. Sprawia wrażenie człowieka obłudnego i lawiranta, choć nie wiadomo, czy mamy do czynienia z tchórzostwem, czy też zakłopotaniem.

W istocie jest osobą, która w większym stopniu niż inni uświadomiła sobie znaczenie popełnionych czynów i najlepiej pojmuje, w jaki sposób widzą ich ludzie z zewnątrz, w Rwandzie i za granicą.

Po latach milczenia, gdy zbliża się ich proces, większość członków paczki zaczyna przyznawać się, w mniejszym czy większym stopniu i z zachowaniem największej ostrożności, do udziału w ludobójstwie. Liczą na pობłażliwe wyroki. Zależy im też na tym, by nie wypaść z grupy, lecz by ją ocalić. Przyjaźń, która od dawna ich łączy, jest dla nich bardzo ważna, jak sami podkreślają.

*

PANCRACE: W więziennej społeczności powstają tarcia i ci, którzy nie chcą się do niczego przyznać, są odsuwani na bok. Ci, którzy nie chcą pisać nawet słówka o tym, co się stało, muszą trzymać się razem, nie mieszając się z resztą, grożąc i oskarżając innych.

Ale pośród tych, którzy godzą się zeznawać, chociaż trochę, tak jak w naszej paczce, przyjaźń pozostaje tak samo silna jak przed masakrami.

PIO: W więzieniu członkowie paczki nie śpią na łózkach obok siebie, ale w ciągu dnia spotykamy się i po przyjacielsku wymieniamy opinie. Czas kiedyś mocno nas związał,

zwłaszcza dzięki pracy na plantacjach. Chodziliśmy razem od jednej do drugiej, żeby przycinać bananowce i zbierać plony. Razem wyciskaliśmy banany. Zapraszaliśmy się nawzajem, by się dzielić *urwagwą*. Tych, którzy byli w gorszej sytuacji, także się zapraszało. Gdy komuś śmierć zabrała krewnego, odwiedzaliśmy go, by razem z nim dzielić smutek i trunki. Nie zapomnieliśmy niczego z tamtych dobrych chwil. Dlatego w więzieniu trzymamy się razem jak kiedyś.

LÉOPORD: W naszej paczce nie wszyscy podchodzą do zeznań tak samo, ale mimo różnicy zdań rozmawiamy z sobą jak przyjaciele. Wspieramy się. Z braku trunków i rozrywek dzielimy się solą i cukrem, żartujemy, gdy ktoś jest smutny, gramy w siatkówkę albo coś innego i nie ma najmniejszych spięć.

JEAN-BAPTISTE: Nie ma żadnych starć w grupie. Jedni są starsi, jedni młodszy, los nas nie rozdzielił. Ja staram się zachęcać do składania zeznań. Jednak każdy podchodzi do tego wedle swego uznania. Mimo straszliwej pracy podczas rzezi i ciężkiego życia w więzieniu w naszej grupie panuje dobra atmosfera. Niecierpliwie czekamy na chwilę, gdy nasze nieszczęścia się skończą. Zły los to, jak sądzę, nasz jedyny problem.

ADALBERT: Unikamy rozmów o przykrych wydarzeniach, wspomnień o życiu w obozach i o wyrzeczeniach. Śpiewamy w chórze albo gramy. Próbujemy przetrwać pomimo groźby epidemii. Dzielimy się nowinami o naszych parcelach i prowiantem, jeśli szczęśliwym trafem czyjś krewny przyjdzie w odwiedzinę. Od zawsze byliśmy przyjaciółmi, zawsze tak samo ze sobą związani, mimo życiowych nieszczęść, wygnania i więzienia. W każdej sytuacji zachowujemy się jak grupa przyjaciół.

Terminowanie

ADALBERT: Wielu rolników nie miało wprawy w zabijaniu, ale się starali. W każdym razie uczyli się zasad przez naśladownictwo. Powtarzanie w kółko tego samego pozwalało pozbyć się niezręczności. Odnosi się to, jak sądzę, do każdej pracy fizycznej.

PANCRAE: Bardzo wielu ludzi nie potrafiło zabijać, ale nie było to przeszkodą dzięki obecności *interahamwe*, którzy pomagali im zrobić pierwszy krok. W pierwszych dniach *interahamwe* jeździli autobusem po sąsiadujących wzgórzach, by udzielać wsparcia. Mieli większą wprawę, wykazywali większe opanowanie. Byli bardziej wyrobieni. Radzili, którądy chodzić, i objaśniali technikę zadawania ciosów. Przechodzili obok nas i wołali: „Rób tak jak ja, jeśli się czujesz niepewnie, wezwij kogoś na pomoc” Wykorzystywali swój wolny czas, by uczyć tych, którzy nie czuli się w tej pracy swobodnie.

Ta nauka odbywała się tylko w pierwszych dniach, później musieliśmy radzić sobie sami i doskonalić podstawowe umiejętności.

ALPHONSE: Na początku ścina się nieśmiało, później czas sprawia, że wchodzi to w nawyk. Są koledzy, którzy się nauczyli, jak dobrze uderzać: z boku szyi albo w tył głowy, żeby od razu zabić. Ale są też tacy, którzy pozostali niezręczni do końca. Nie mogli się odważyć, ich gesty były zbyt wolne, uderzali na przykład w ramię zamiast w szyję i oddalali się, krzycząc: „Już po nim, leży zabity”. Ale było wiadomo, że to nieprawda, wtedy musiał wkroczyć jakiś specjalista, żeby dopaść ofiarę i dokończyć dzieła.

ÉLIE: Pałka jest niebezpieczna, ale maczeta jest dla nas bardziej naturalna. Rwandyjczyk od dzieciństwa jest oswojony z maczetą. Każdego ranka bierzemy maczetę w dłoń. Ścinamy sorgo, przycinamy bananowce, karczujemy liany, zabijamy kurczaki. Nawet kobiety i małe dziewczynki używają maczety do drobnych prac domowych, jak cięcie drewna pod kocioł. Ten sam gest dla różnych celów, wykonywany bezbłędnie. Żelazu jest obojętne, czy używasz go, żeby ściąć gałąź, zwierzę czy człowieka.

W gruncie rzeczy człowiek jest jak zwierzę, tniesz go w głowę czy w szyję i zaraz upada. W pierwszych dniach ten, kto już zabijał kurczaki, a zwłaszcza kozy, miał przewagę, to rozumiałe. Później wszyscy przywykli do tej nowej pracy i nadrobili zaległości.

Tylko młodzi ludzie, bardzo silni i chętni, używali pałek. Z pałki nie ma żadnego pożytku w rolnictwie. Ale dzięki niej mogli się bardziej wyróżnić i popisywać w tłumie.

Podobnie było z dzidami i łukami: tych, którzy jeszcze je mieli, bawiło, że mogą się z nimi pokazać albo je komuś pożyczyć.

PIO: Byli tacy, którzy od początku zabijali z łatwością, i to oni wspierali kolegów w trudnych sytuacjach. Ale każdy mógł znaleźć własny sposób, zależnie od charakteru. Każdy zabijał, jak umiał, jak czuł, w swoim własnym tempie. Nie było żadnych wyraźnych wskazówek, jak należy to robić - byle nie ustawać.

Poza tym trzeba podkreślić istotny fakt, który nas ośmielał. Wielu Tutsi okazywało okropny strach przed śmiercią, zanim jeszcze zdążyliśmy któregoś uderzyć. Nagle przestawali chaotycznie gestykulować. Stawali nieruchomo albo kucali. Ta bojaźliwa postawa sprawiała, że łatwiej nam było uderzyć. Łatwiej jest, że tak powiem, zabić kozę, która meczy i drży, niż taką, która się szarpie i podskakuje.

FULGENCE: Ktoś szedł na wszelki wypadek za tymi niezręcznymi, żeby uniknąć bałaganu. *Interahamwe* jednym udzielali pochwał, a innych ganili. Czasem, gdy chcieli okazać surowość, trzeba było za karę dobijać rannego. Winowajca musiał doprowadzić robotę do końca. Najgorzej, gdy trzeba było to zrobić w obecności kolegów.

Tak było tylko w przypadku nielicznych, na samym początku. Nie trwało to długo dzięki naszej wprawie w posługiwaniu się maczetą na polach. To rzecz naturalna. Jeśli panu i mnie dadzą długopisy i każą coś napisać, pan z większą swobodą wykona to zadanie i wcale nie będę panu tego zazdrościł. Zaś my potrafiliśmy posługiwać się maczetą oraz ją naostrzyć. Nie kosztowała też władz tak dużo jak karabiny. Dlatego nauczyliśmy się roboty podstawowym narzędziem, które posiadamy.

JEAN-BAPTISTE: Jeżeli zbyt niezdarnie posługiwałeś się maczetą, mogłeś być pozbawiony korzyści, póki się nie poprawisz. Jeśli któregoś dnia koledzy cię wykpiłi, szybko zaczynałeś doskonalić technikę. Jeśli wróciłeś z pustymi rękami do domu, mogłeś się nawet spodziewać wymówek od żony czy dzieci.

Jednak każdy miał własny sposób zabijania. Ten, kto nie mógł przywyknąć do dobijania ofiar, mógł je zostawić lub poprosić o pomoc. Mógł liczyć na solidarność znajomego, który szedł z tyłu.

Żaden z kolegów nigdy się nie skarżył, że go poturbowano z powodu niezręczności. Kpiny i docinki, to mogło się zdarzyć, ale szykany nigdy.

LÉOPORD: Ja wziąłem tylko maczetę. Po pierwsze dlatego, że miałem ją w domu, po drugie - ponieważ umiem się nią posługiwać. Komuś, kto z wprawą używa jakiegoś narzędzia, łatwo jest zastosować je do najróżniejszych celów: do przycinania bananowców albo do zabijania na bagnach. Czas pozwalał każdemu doskonalić się na swój sposób.

Jedynym ważnym nakazem było przyjść na miejsce z dobrze naostrzoną maczetą. Ostrzyło się je przynajmniej dwa razy w tygodniu. Mamy w domach osełki i to nie był problem.

Gdy ktoś uderzał niezdarnie albo udawał, że zadaje cios, zachęcało się go, doradzało, by zrobił to lepiej; można też było go zmusić, by wziął na bok jakiegoś Tutsi, na bagnach czy przy domach, i kazać mu go zabić w obecności kolegów, by sprawdzić, czy dobrze pojął, o co chodzi.

JOSEPH-DÉSIRÉ: Zawsze zdarzały się niezdary, zwłaszcza jeśli chodzi o dobijanie rannych. Jeżeli byłś nieśmiały z charakteru, trudno to było zmienić w samym środku masakry na bagnach. Toteż ci, którzy czuli się swobodnie, wspomagali tych, którzy czuli się skrępowani. To nie miało znaczenia, o ile tylko praca posuwała się naprzód.

IGNACE: Jedni polowali jak baranki, inni jak drapieżniki. Byli tacy, którzy polowali powoli, gdyż byli wystraszeni, tacy, którzy polowali powoli, gdyż byli leniwi, tacy, którzy uderzali powoli z okrucieństwa, i tacy, którzy uderzali szybko, by skończyć pracę i wcześniej wrócić do domu, bo mieli inną robotę. To było bez znaczenia, każdy miał swoją technikę i swój własny charakter.

Ja, z racji wieku, byłem zwolniony z męczącego chodzenia po bagnach. Moim zadaniem było krążyć wolnym krokiem po okolicznych parcelach. Wybrałem metodę przodków - łuk i strzały, by celować w przypadkiem napotkanych Tutsi. To było polowanie z zasadzki, które znałem, jako starszy, od czasów dzieciństwa.

Jean: „Jest rwandyjskim zwyczajem, że mali chłopcy naśladują swych ojców i starszych braci, stając za ich plecami i powtarzając ich ruchy. W ten sposób od najmłodszych lat uczą się siać i przycinać gałęzie. Dlatego wielu z nich zaczęło chodzić za psami, by wykryć i wydać Tutsi. Dlatego niektóre dzieci zaczęły zabijać w okolicznym buszu. Ale nie w mule na bagnach. Tam, w dole, przy ich wzroście, trudno się było poruszać. Zresztą zakazywali tego dowódcy”

Clémentine: „Widziałam ojców, którzy uczyli swych synów, jak ścinać. Kazali im naśladować ruchy maczety. Pokazywali swoje umiejętności na martwych lub żywych, których schwyтали w ciągu dnia. Najczęściej chłopcy próbowali tego na dzieciach, z powodu podobnego wzrostu. Lecz większość nie chciała bezpośrednio mieszać dzieci w cały ten brud i krew. Rzecz jasna, mogły patrzeć”

Grupowa więź

Pierwsze, co odczuwam względem każdego z członków tej grupy, to nie niechęć ani pogarda, ani litość, nawet nie antypatia, ale nieufność: natychmiastowa i wzajemna. Na początku tych spotkań nie wiem jednego: że to uczucie nigdy całkiem się nie rozwieje, bez względu na szczególne relacje, jakie udaje mi się nawiązać z każdym z nich. Z biegiem czasu wrogość powoli zanika. Czasem zaskakuje mnie, że spędzam z nimi chwile w serdecznej atmosferze lub w atmosferze bez troski, gawędząc o tym i owym, choć ani przez sekundę nie uwalniam się od tej podejrzliwości. Wszystko w nich ją podsycza.

*

Nieufność ujawniała się też wyraźnie podczas moich pierwszych spotkań z ocalałymi w powiecie Nyamata, kiedy pisałem *Nagość życia*. Jednak była to nieufność jednostronna, tylko oni ją odczuwali, ja nigdy; a ich rezerwa była innego rodzaju.

Ocalali odnosili się podejrzliwie do cudzoziemca, którego rodacy nie wykonali najmniejszego gestu, żeby zapobiec ludobójstwu. Byli przeświadczeni, że tak czy owak jest już za późno, że samo przekazywanie świadectwa ludziom, którzy tolerowali masakry, nie ma już sensu - zatem tego rodzaju przedsięwzięcie jest wątpliwe. Co więcej, myśleli, że nikt im nie uwierzy, jeśli opowiedzą, co przeżyli i przeżywają od czasów ludobójstwa. Bali się też, że ich opowieści mogą potęgować ból. Toteż dochodzili do wniosku, że tracą czas z tym intruzem i że nie ma żadnego sensu ani powodu, by wypowiadać się poza wspólnotą tych, którzy to przeżyli.

Ta nieufność była więc żywa, ale jeśli zważało się na jej przyczyny, czas pomagał ją rozwiać. Ocalały przyjmuje postawę obronną wobec zewnętrznego świata, żyje jedynie w świecie ocalałych.

*

Zabójca nie obawia się, że ktoś mu nie uwierzy, przeciwnie. Boi się, by nie postawiono go w stan oskarżenia. Nawet jeśli możecie go przekonać, że jego słowa w niczym mu nie zaszkodzą, lęka się, bez względu na to, kto go słucha, czy też później czyta, że może mu to przysporzyć więcej kłopotów niż jego milczenie; żadna oparta na zaufaniu relacja nie może całkowicie rozproszyć tego niepokoju. Zabójca przyjmuje postawę obronną, bo czuje nad swoją głową groźbę kary.

*

Po publikacji książki *Nagość życia* czytelnicy pytali mnie, w jaki sposób wybrałem czternaście osób składających świadectwa. Odpowiedź jest prosta: nie wybierałem ich. Podczas wyprawy do regionu Bugesera poznałem pracownicę socjalną Sylvie Umubyeyi i towarzyszyłem jej w pracy. Jeździła po buszu w powiecie Nyamata, poszukując dzieci porzuconych i rozproszonych podczas masakr. Opowiedziała mi swoją historię, później zawiozła do Jeannette Ayinkamiye, ocalałej dziewczyny, która wraz z przyjaciółką i innymi osieroconymi dziećmi schroniła się w jakiejś ruderze, na skraju leżącej odlegość parceli, którą starały się uprawiać. Jeannette także opowiedziała mi swoją historię. Charyzma jednej, przygnębienie drugiej, ciepło, samotność i siła charakteru Sylvie i Jeannette sprawiły, że mogłem wejść w ich świat. Z tych dwóch historii zrodziła się myśl o napisaniu książki.

Następne dwanaście opowieści to historie dwunastu pierwszych osób, często spotkanych przypadkiem, które zgodziły się i spróbowały mówić. W rzeczywistości wybrały się same. Pomimo starych dziennikarskich odruchów przeczuwałem, że po czasach ludobójstwa kryteria społeczne, kulturowe, związane z wiekiem czy płcią nie mają żadnego sensu i że byłoby absurdem szukać reprezentatywnej próbki, dobierać tego czy innego ocalałego ze względu na to, że przed ludobójstwem był tym czy kimś innym. Kobiety uprawiające rolę są najliczniejszą grupą w tej czternastce po prostu z tego powodu, że godziły się na rozmowę bardziej spontanicznie niż mężczyźni i ludzie wykształceni.

Podczas późniejszych pobytów ci ostatni zarzucili mi, że nie dałem im okazji do przedstawienia ich odmiennej koncepcji wydarzeń, ich słowami, z intelektualnego dystansu. Odpowiedziałem, że ich początkowe wahania były znamienne, zrozumiałe, ale że byłoby czymś głupim i niestosownym zamieniać po czasie jedną narrację na inną, ponieważ każda była wyjątkowa.

Na szczęście nie uległem też pokusie - w trudnych chwilach niezrozumienia, odmowy, przygnębienia, przerwania dialogu z niektórymi z osób - by je zastąpić innymi, bardziej skorymi do rozmowy, chętnymi do współpracy czy posługującymi się francuskim. Z każdą z nich podtrzymywałem rozmowę, nie myśląc o upływającym czasie, do chwili, gdy okazało się, że dotarliśmy do końca pewnego etapu.

*

Przez cały ten okres spotkań z ocalałymi nie kontaktowałem się z „tamtymi”, z zabójcami. Nawet nie przyszło mi to na myśl. Byli mi obojętni. Nigdy nie zamierzałem kontynuować tego doświadczenia z nimi, a zwłaszcza zestawiać z sobą opowieści jednych i drugich. Byłoby to niemoralne, nie do zniesienia dla ocalałych, z pewnością także dla

czytelników; w dodatku nieinteresujące. Tu i ówdzie na wzgórzach spotykałem ludzi podejrzewanych o udział w rzeziach i widziałem ich wielu w 1994 roku. To wystarczyło, bym mógł ich sobie wyobrazić. Chęć, by udać się do więzienia, pojawiła się dopiero pod koniec rozmów z ocalałymi. Była to ciekawość dwuznaczna, wiążąca się z pewnymi opisami, szczegółami i szeregiem sprzeczności.

Ale zamiar, by podjąć dyskusję z zabójcami, zrodził się jeszcze później, za sprawą powracających pytań czytelników pierwszej książki. Ich ciekawość była zaraźliwa. Jeśli ludzie, których poruszały czy pasjonowały opowieści ocalałych, pragną się dowiedzieć, bynajmniej nie z troski o obiektywizm, co działo się w głowach zabójców, znaczy to, że próba postawienia im tego pytania ma sens.

Tyle tylko, że o ile nie miałem najmniejszych wątpliwości co do pierwszego projektu, o tyle w przypadku drugiego pojawiło się ich bardzo wiele. Podjąłem się tego z wielkim sceptycyzmem, a relacje, jakie próbowałem nawiązać z zabójcami, budziły na początku moją odrazę i miałem wrażenie, że do niczego to nie doprowadzi; były tak skrajnie różne od więzi, którą nawiązałem z ocalałymi i innymi ludźmi w powiecie Nyamata.

*

Ocalały, samotny wobec rzeczywistości ludobójstwa, decyduje się mówić, „kluczyć wokół prawdy” lub milczeć. Z własnego wyboru, przy całym pomieszaniu wspomnień, godzi się dyskutować i w każdej chwili stawiać wszystko pod znakiem zapytania.

Zabójca, w zderzeniu z rzeczywistością ludobójstwa, najpierw wybiera milczenie, potem kłamstwo. Może zmienić swoją decyzję, lecz o tym nie dyskutuje. Sam nie bierze na siebie żadnego ryzyka, tak jak nie brał go na siebie podczas rzezi. Nie można więc myśleć o bardziej osobistej rozmowie, o dobraniu szeregu rozmówców, którzy nie utrzymują relacji ze sobą.

Stąd po wielu niepowodzeniach, nieudanych spotkaniach i jałowych dyskusjach dojrzała we mnie myśl, by zwrócić się nie do jednostek, lecz do grupy osób, które dzięki przyjaźni i poczuciu wspólnoty będą się czuły mniej narażone na niebezpieczeństwo prawdy. Do kumpli, których uspokaja grupowa więź, zrodzona przed ludobójstwem - kiedy pomagali sobie nawzajem na polach, opróżniali butelki *urwagwy* w kabarecie - i wzmocniona w zamęcie masakr na bagnach, a później w więzieniu.

*

Mój wybór pada na tych dziesięciu kumpli z Kibungo z bardzo prostych powodów. Tworzą paczkę banalną i nieformalną zarazem, jakich wiele można spotkać na wsi. Nieopartą na jakichś szczególnych związkach, jakie mogłyby istnieć między członkami stowarzyszenia

religijnego, klubu sportowego, zorganizowanej milicji. Łączą ich bliskość parcel, wyprawy do kabaretu, podobna sytuacja życiowa i wspólne troski.

Mieszkają na tych samych wzgórzach co większość ocalałych występujących w *Nagości życia*. Brali udział w rzeziach na bagnach Nyamwiza, gdzie uciekinierzy kryli się pod liśćmi zanurzeni po szyję w mule.

Są rolnikami, tylko jeden z nich jest urzędnikiem, inny nauczycielem; tylko trzech należało do oddziałów *interahamwe* lub grup paramilitarnych. Oprócz Élego żaden nie nosił wojskowego czy policyjnego munduru. Żaden nigdy nie miał zatargów z sąsiadami Tutsi o ziemię, zbiory, szkody, cudzołóstwo.

*

Ponadto dobrze zna ich Innocent Rwililiza i oni dobrze go znają. Innocent, uczeń, a później nauczyciel w miejscowej szkole, w wolnych chwilach pisarz publiczny, urodzony społecznik, animator wielu stowarzyszeń, dusza towarzystwa i kpiarz znany w wielu kabaretach, jest popularny na wzgórzach, zwłaszcza na wzgórzu Kibungo, gdzie leży jego rodzinna parcela.

Jest nieodzownym pośrednikiem, później idealnym współpracownikiem i świetnym tłumaczem, gdy okazuje się to konieczne. Mówi o tej grupie:

„Znałem ich dużo wcześniej. Uczyłem niektórych z nich, na przykład Adalberta, Pancrace’a, Pio. Innych spotykałem na drodze i razem piliśmy w kabaretach.

Adalbert był bardzo inteligentny i zuchwały, to był chłopak złośliwy i krętacz. Pancrace był zamknięty w sobie i ponury, zawsze, od najmłodszych lat trzymał się Adalberta. Pio był naprawdę bardzo miłym chłopcem. Alphonse miał największą smykałkę do interesów, ale przy butelce był człowiekiem przyjaznym. Fulgence był ładnym chłopcem. Był nawet bardziej zadbany niż wielu Tutsi. Bardzo dużo się modlił.

Natomiast Léopord nie wyróżniał się niczym prócz wzrostu. A także tego, co później zrobił swoją maczetą. To rzecz nadzwyczajna. Ignace tyleż sterany życiem, co chytry, okazał się nagle wielkim wrogiem Tutsi: nie cierpiał ich i głosił to przy byle okazji, by wpłynąć na kolegów albo ich rozśmieszyć. On sam nigdy się nie śmiał. Żył w niezgodzie z wszystkimi, nawet z własną rodziną.

W gruncie rzeczy ci chłopcy nie wyróżniali się niczym spośród innych. Ale trzymali się razem. Ludzie widzieli, że pomagają sobie nawzajem przy pracach w polu i dzielą się trunkami w kabarecie. Wiem, że podczas ludobójstwa ta paczka ścinała ludzi od pierwszego do ostatniego dnia. Być może za przykładem Adalberta czy pod złym wpływem Ignace’a bardzo się przykładali”.

Smak i niesmak

IGNACE: Na początku byliśmy zbyt przejęci, żeby się zastanawiać. Później za bardzo do tego przywykliśmy. W tym stanie myśl, że ścinamy naszych sąsiadów do ostatniego, nie miała dla nas znaczenia. To było zrozumiałe samo przez się. Nie byli już naszymi dobrymi, starymi sąsiadami, tymi, którzy podawali nam naczynie z trunkiem w kabarecie, ponieważ nie powinno ich już tutaj być. Stali się ludźmi zbędnymi, że się tak wyrażę. Nie byli już tacy sami jak wcześniej, my także. Nie krępowali nas, tak samo jak przeszłość, gdyż nic nas nie krępowало.

ÉLIE: Trzeba było zostawić naszą życzliwość na skraju grzędawiska aż do gwizdka kończącego pracę. Żadne względy nie były też dopuszczalne na bagnach. Bagna nie zostawiały miejsca dla wyjątków. Zapominaliśmy o wątpliwościach, bo mieliśmy w sobie złość i żądzę zabijania i czekała na nas robota, to wszystko.

Niektórzy wskutek polowań zmieniali nawet kolor. Ich członki były pokryte błotem, ubrania poplamione, a twarze nie były już tak samo czarne jak przedtem. Stawali się jakby szarzy od tego, co robili. Szliśmy w oparze smrodu i było nam to obojętne.

PIO: Gdy chwytałyśmy Tutsi na bagnach, nie widzieliśmy już w nich ludzi. To znaczy ludzi podobnych do nas, którzy dzielą te same myśli i uczucia. To było dzikie polowanie, myśliwi byli dzicy, zwierzyna była dzika, umysły ogarniało zdziczenie.

Staliśmy się nie tylko zbrodniarzami, staliśmy się jakimś drapieżnym gatunkiem w barbarzyńskim świecie. To prawda, w którą nie uwierzy ktoś, kto nie poczuł jej w mięśniach. Nasze codzienne życie było nierzeczywiste i krwawe; i to nam odpowiadało.

Mogę zaproponować panu pewne wyjaśnienie: to było tak, jakbym pozwolił komuś innemu przybrać mój wygląd i skłonności serca, bez żadnych duchowych rozterek. Ten zabójca był mną, gdy chodzi o przewiny i o przelaną krew, lecz jego okrucieństwo jest mi obce. Przyznaję, że byłem wtedy posłuszny, przyznaję się do zabijania ofiar, przyznaję się do winy. Ale nie rozpoznaję złości tego, który na moich nogach uganiał się po bagnach, z moją maczetą w dłoni.

Ta złość była jakby złością innego ja o ciężkim sercu. Najpoważniejsze zmiany w mojej osobie zaszły w jej niewidzialnych częściach, jak dusza czy uczucia. Dlatego ja sam nie rozpoznaję się w tym człowieku. Ale być może jeśli ktoś pozostaje na zewnątrz tych

wydarzeń, jak pan, nie może pojąć tak dziwacznej myśli.

PANCRAE: Niektórzy zaczęli polowania z brawurą i skończyli z brawurą. Inni nigdy nie przejawiali brawury i zabijali z przymusu. Jeszcze inni z czasem nabrali brawury, żeby oddalić strach.

Bardzo wielu przystępowało z brawurą do pracy i okazywało strach, gdy tylko rzezie ustały. Po prostu nabierali animuszu w całym tym zamieszaniu.

Byli tacy, którzy omijali trupy, i inni, którzy mieli to gdzieś. Widok trupów porzucanych na bagnach mógł cię bardziej ośmielać albo przygnębiać i hamować. Ale najczęściej się z tym oswajałeś.

Bardzo trudno zdobyć się na odwagę, by zabić, jeśli sam musisz podjąć decyzję, by to zrobić, nawet gdy jest to zwierzę. Ale jeśli musisz słuchać poleceń władz, jeśli zostałeś właściwie zmotywowany, jeśli czujesz, że ktoś za ciebie decyduje; jeśli widzisz, że masakra będzie doprowadzona do końca i nie poniesiesz żadnych przykrych konsekwencji, czujesz pogodę ducha i spokój. Robisz to bez rozterek.

JEAN-BAPTISTE: Im więcej się zabijało, tym większy był apetyt, żeby kontynuować. Jeśli nikt cię nie skarci, apetyt nigdy cię nie opuści. Widać go było w naszych oczach wychodzących z orbit podczas rzezi. To było nawet niebezpieczne. Niektórzy sąsiedzi wracali w koszulach poplamionych krwią, wymachiwali maczetą, krzycząc jak szaleńcy. Mówili, że wszystko im się należy. Trzeba było ich jakoś udobruchać, trunkiem i miłym słowem, bo mogli okazać się groźni dla otoczenia.

ALPHONSE: Człowiek może przywyknąć do zabijania, jeśli zabija bez przerwy. Może zmienić się w zwierzę, nawet tego nie dostrzegając. Byli tacy, którzy grozili sobie nawzajem, kiedy nie mieli już Tutsi pod maczetą. Na ich twarzach widać było potrzebę zabijania.

Ale dla innych przeciwnie, zabicie kogoś było jak porcja strachu wsączona do serca. Na początku tego nie czuli, ale później nie dawało im to spokoju. Byli zalęknięci i zdeglustowani. Jedni czuli się tchórzami, bo nie dość zabijali, inni czuli się tchórzami, bo musieli zabijać, w efekcie byli tacy, którzy nadużywali trunków, by nie myśleć o swym tchórzostwie. Później przywykali do picia i tchórzostwa.

Ja nie bałem się śmierci. W jakiś sposób zapomniałem, że zabijam ludzi. Nie zważałem już na śmierć ani na życie. Ale to krew budziła we mnie lęk. Jej woń i to, że spływa.

Wieczorami myślałem: Cóż, jestem człowiekiem wypełnionym krwią, cała ta tryskająca krew przyniesie nieszczęście, przekleństwo. Śmierć mnie nie trwożyła, ale ten nadmiar krwi tak, i to bardzo.

Jean: „Jeśli brat albo ojciec brał z sobą do ekipy chłopaka, który miał dość sił w rękach, by utrzymać maczetę, ten go naśladował i uczył się zabijać. Wiek już mu nie przeszkadzał. Przywykał do krwi. To stawało się zwyczajnym zajęciem, ponieważ tak robili starsi z naszej rodziny i wszyscy wokół.

Nawet więcej, młody chłopiec mógł czuć się bardziej swobodnie niż doświadczony starzec, bo śmierć była dla niego czymś bardziej odległym. W tej nowej sytuacji i przy tak młodym wieku śmierć miała na niego jakby mniejszy wpływ, kojarzyła mu się ze starszym pokoleniem. Drwił sobie z jej grozy i była dla niego czymś w rodzaju rozrywki”

JOSEPH-DÉSIRÉ: To było szaleństwo, które napędzało się samo i nikt już nim nie kierował. Biegłeś prosto przed siebie lub usuwałeś się na bok, by ktoś cię nie potracił, ale trzymałeś się reszty.

Ten, kto pędził z maczetą w dłoni, nie słuchał już niczego. W pierwszej kolejności zapominał o swoim poziomie umysłowym. Powtarzane instrukcje zwalniały nas z myślenia o tym, co robimy. Szliśmy tam i wracaliśmy bez najmniejszej refleksji. Polowaliśmy, ponieważ taki był plan naszych dni, aż do końca. Nasze ramiona rozkazywały głowom, w każdym razie nasze głowy nie odzywały się słowem.

FULGENCE: Stawaliśmy się coraz bardziej źli, coraz bardziej spokojni, coraz bardziej żądni krwi. Ale nie widzieliśmy, że w coraz większym stopniu stajemy się mordercami. Im więcej ścinał się, tym bardziej ścinanie stawało się dla nas czymś zwyczajnym. Niektórzy rozkoszowali się tym, że tak powiem. Wieczorem mogłeś spotkać kolegę, który do ciebie wołał: „Przyjacielu, kup mi primusa albo rozetnę ci czaszkę, bo w tym zasmakowałem”.

Ale dla większości to był tylko długi dzień, który właśnie się skończył. Nie myśleliśmy już o obowiązkach ani o korzyściach, myśleliśmy tylko, by kontynuować to, cośmy zaczęli. W każdym razie myślenie o tym, jak to na nas wpływa, było zbyt uciążliwe.

ADALBERT: Na początku masakr działaliśmy szybko i skutecznie, gdyż byliśmy zawzięci. W środku tego okresu zabijaliśmy obojętnie. Czas i bliskie zwycięstwo skłaniały nas do opieszałości. Na początku mogłeś się czuć większym patriotą czy kimś zasłużonym, kiedy zdołałeś schwytać uciekinierów. Później porzuciliśmy tego rodzaju ideały. Nie słuchaliśmy już słów zachęty przez radio ani od naszych władz. Zabijaliśmy, by dokończyć robotę. Niektórzy okazywali zmęczenie tą krwawą harówką. Innych bawiło odpłacanie Tutsi za to, że musieli przez nich pocić się cały dzień.

Pod koniec rzezi wydano polecenie, by przyspieszyć tempo, nim przybędą *inkotanyi*. Ucieczka była już blisko, ale musieliśmy dokończyć masakrę. Przybyły posiłki i znów rozległy się reprimendy, byśmy postawili kropkę nad „i” w tej sprawie, dowódcy mówili o

ostatecznym natarciu na bagna. Strach podpowiadał nam, że trzeba uciekać, ale kończyliśmy to, cośmy zaczęli.

Później uciekaliśmy w panice poboczami dróg wiodących do Konga w głodzie i nędzy, ale nadal przetrząsaliśmy zdewastowane domy w poszukiwaniu zapomnianych Tutsi. Nawet wtedy nie czuliśmy przesytu.

LÉOPORD: Ponieważ często zabijałem, zaczynałem czuć, że jest mi to obojętne. Nie czerpałem z tego przyjemności, wiedziałem, że nie spotka mnie kara, zabijałem bez konsekwencji, przystosowałem się bez problemu. Wychodziłem rano bez żadnych rozterek, spieszo mi było iść, widziałem, że praca i jej rezultat są dla mnie korzystne, to wszystko.

Podczas masakr nie uważałem już osoby Tutsi za nic szczególnego, tyle że ma być zgładzona. Podkreślam, że nie żałowałem nikogo, od tego pierwszego pana, którego zabiłem, aż do ostatniego.

Przejście do czynu

Kiedy rozpatruje się już z późniejszą świadomością lata, które zniszczyły Europę, a w końcu także same Niemcy, chciałoby się mimo wahania opowiedzieć za jedną z dwu opinii: albo byliśmy świadkami racjonalnego przeprowadzenia nieludzkiego planu, albo na naszych oczach ujawniło się (jedyne jak dotąd w historii i do dziś niezrozumiałe) zbiorowe szaleństwo. Był to albo logiczny wybór zła, albo brak jakiegokolwiek logiki. Ale, jak to często dzieje się w sprawach ludzkich, takie alternatywy współistnieją ze sobą zgodnie.

Primo Levi, *Pogrążeni i ocaleni*¹

W którym momencie podjęto decyzję? Jaki był przebieg fatalnego zebrania? Kto jako pierwszy napomknął o całkowitej eksterminacji? Jakie były pierwsze reakcje uczestników? Te pytania wydają się zasadnicze i powracają bardziej uporczywie w przypadku ludobójstwa niż wtedy, gdy chodzi tylko o wojnę domową, choćby była najbardziej krwawa, dzika i okrutna.

Choć nie da się zrekonstruować tej niewyobrażalnej sceny, wiemy, że decyzja o ludobójstwie zrodziła się w sposób podobny do decyzji o Holokauście. To znaczy, że była punktem dojścia szeregu przygotowań i planów, w mniejszym czy większym stopniu sformułowanych i komplementarnych.

W Niemczech Hitler i grupa kacyków narodowego socjalizmu od chwili dojścia do władzy głosili, że wspólnota żydowska jest w kraju zbyteczna. Partia nazistowska, wspomagana przez rząd oraz administrację, stopniowo mnożyła inicjatywy, których celem było usunięcie owej wspólnoty, podobnie jak Cyganów, z niemieckiego społeczeństwa: zwolnienia z pracy, konfiskaty, akty agresji, antyżydowskie prawa, nakaz noszenia żółtej gwiazdy, wykluczenia, deportacje, pogromy, zamykanie w gettach, w obozach koncentracyjnych...

Każdego dnia, od 1933 do 1940 roku, ów reżim poświadczał w szalonych przemówieniach przywódców, dekretach czy poprzez zabójstwa swoją determinację, by wykluczyć żydowską wspólnotę ze społeczeństwa III Rzeszy. Jednak ostateczne rozwiązanie

¹ Primo Levi, *Pogrążeni i ocaleni*, przeł. Stanisław Kasprzysiak, Wydawnictwo literackie, Kraków 2007, s. 129, 138

stało się dla Hitlera i jego dwóch specjalistów, Himmlera i Heydricha, niezbędne zapewne dopiero w roku 1941; w następnych tygodniach zostało zakomunikowane sztabowi generalnemu i przyszłym wykonawcom planu.

To rezultat długiej drogi - czy można stwierdzić, kiedy podjęto formalną decyzję o przeprowadzeniu ludobójstwa?

Kiedy postanowiono, że Żydzi są podludźmi i należy wywozić ich masowo do gett i obozów koncentracyjnych? Podczas słynnego proroczego przemówienia Hitlera w Reichstagu w styczniu 1939 roku? Czy w tym samym roku, kiedy przetestowano technikę zabijania gazem na dziesiątkach tysięcy nieuleczalnie chorych i umyślowo upośledzonych, by ocenić jej skuteczność na wielką skalę?

Czy stało się to we wrześniu 1940 roku, kiedy upadły plany akcji o nazwie „Lublin i Madagaskar” tyleż ekstrawaganckie, co traktowane serio, które zakładały całkowitą deportację Żydów do tych dwóch miejsc na mapie? Czy może kiedy Himmler, przyszły główny fachowiec, został numerem dwa nazistowskiego reżimu? Lub w euforii początkowych tygodni inwazji na Związek Sowiecki, gdy na tyły niemieckich oddziałów w Rosji wysłano pierwsze *Einsatzgruppen* z misją metodycznego rozstrzeliwania żydowskiej ludności zamieszkującej podbite tereny, a zatem w czerwcu 1941 roku?

Albo w trzy miesiące później, kiedy sztab główny SS zatwierdził wyposażenie sześciu obozów w piece krematoryjne? Czy 12 grudnia tego samego roku, nazajutrz po wypowiedzeniu wojny Stanom Zjednoczonym, kiedy Hitler wzywa do siebie najważniejszych dygnitarzy, by im oznajmić, jak czytamy w dzienniku Goebbelsa: „[...] mamy wojnę światową. Zagłada Żydów będzie jej nieuchronną konsekwencją [...]”? Jeszcze dziś wielu historyków bada tę kwestię i dyskutuje nad datą, nad tajemnicą, która może zresztą wydawać się bardziej fascynująca niż naprawdę ważna.

*

W Rwandzie planowanie ludobójstwa w kolejnych etapach wykazuje zadziwiające podobieństwa do Holokaustu, wyjąwszy, rzecz jasna, jego genezę, którą spróbujemy podsumować w kilkunastu zdaniach.

W chwili uzyskania niepodległości, w 1962 roku, przywódcy Hutu doszli do władzy w wyniku gwałtownych i pełnych sprzeczności ruchów społecznych: rewolucji ludowej z 1959 roku. Ten bunt Hutu obalił arystokrację Tutsi i zniósł podległość tej stanowiącej większość grupy, która nie chciała dłużej nosić jarzma. Ale przywódcy Hutu, bez ideałów godnych owej rewolucji, wykorzystali ją, by zmarginalizować całą populację Tutsi, chłopów, urzędników, nauczycieli, spośród których wywodziła się owa arystokracja.

Wówczas, kiedy dawna uprzywilejowana warstwa wymieszała się z pracującymi w pocie czoła chłopami, populistyczna administracja napiętnowała Tutsi jako spiskowców, ludzi perfidnych, spekulantów, pasożytów w przeludnionym kraju. W 1973 roku wojskowy zamach stanu majora Juvénala Habyarimany wzmocnił ów reżim. By odizolować swych rodaków Tutsi oskarżanych o podstępne knowania, zarządził konfiskatę dóbr, przesiedlanie ludności, dyskryminujące prawa, wprowadzenie limitów w szkołach, zakazał zawierania mieszanych małżeństw (dekret pozostający w mocy do 1976 roku), a zwłaszcza sprzyjał powracającym falom pogromów...

W 1990 roku wojna wypowiedziana rwandyjskiej armii przez oddziały rebeliantów Tutsi, mające swą bazę w Ugandzie, wyznacza nowy etap.

Do wszystkich aktów ludobójstwa we współczesnej historii dochodzi w środku wojny. Nie dlatego, że są jej przyczyną czy konsekwencją, ale ponieważ wojna tworzy stan bezprawia, uprawomocnia śmierć, sankcjonuje barbarzyństwo, podsycza strach i fantasmagorie, wskrzesza stare demony, narusza normy moralne i humanistyczne idee. Osłabia ostatnie psychologiczne mechanizmy obronne u przyszłych aktorów ludobójstwa.

Na swój sposób podsumowuje to rolnik Alphonse Hitiyaremye: „Wojna to straszliwy bałagan, w którym mogą działać incognito sprawcy ludobójstwa”.

W 1991 roku, gdy rebelianci zdobywają teren, znaczną część przemówień na wiecach partii politycznych, także prezydenta Republiki i jego ministrów, stanowią groźby rzucane w stronę Tutsi.

W Butare, siedzibie państwowego uniwersytetu, profesorowie prześcigają się w publikowaniu historycznych elaboratów i diatrib przeciwko Tutsi. W programach popularnych stacji radiowych, takich jak Radio Rwanda czy Radio Tysiąca Wzgórz, Tutsi nazywa się „karaluchami” Spikerzy, w tym dwaj najślawniejsi, Simon Bikindi i Kantano Habimana, w skeczach i piosenkach otwarcie wzywają do zagłady Tutsi.

Innocent Rwililiza opowiada: „Ci panowie byli słynnymi artystami, wirtuozami komizmu. Ich słowa były tak wyczelowane i często powtarzane, że my, Tutsi, także lubiliśmy ich słuchać. Wzywali do masakry wszystkich karaluchów, lecz obracając to w żart. Nas, Tutsi, te żarty bawiły do łez. Słuchaliśmy piosenek, wzywających wszystkich Hutu, żeby się połączyli i zgładzili Tutsi - i śmialiśmy się z tego. Podobnie było z *Dziesięcioma Przykazaniami Hutu*, które zapowiadały nasz bliski koniec. Tak do tego przywykliśmy, że nie zwracaliśmy już uwagi na straszliwe groźby”

Zbrodnie popełnione na Tutsi zazwyczaj pozostawały bezkarne. Na przykład dwóch członków owej paczki z Kibungo dopuściło się morderstwa Tutsi jeszcze przed ludobójstwem

i nie zostało skazanych przez wymiar sprawiedliwości: Élie Mizinge, były wojskowy, który przyznaje się do zabicia pracownicy socjalnej podczas manifestacji w 1992 roku, i jeszcze jeden, który wypiera się zbrodni, choć wszystko wskazuje na jego udział, zwłaszcza zeznania kolegów.

Jednak mimo klimatu sprzyjającego zbrodniom na wielką skalę wydaje się, że eksterminację zaczęto planować dopiero w zimie 1993/1994, na kilka miesięcy przed eksplozją prezydenckiego samolotu, która przyspieszyła rozpoczęcie masakr.

Élie Mizinge wyjaśnia: „Sądzę, że idea ludobójstwa kiełkowała już w 1959 roku, gdy zaczęliśmy zabijać wielu Tutsi, nie ponosząc kary, i nigdy potem nie pogrzebaliśmy tej idei zbyt głęboko. Inspiratorzy i chłopcy pracujący motyką porozumieli się między sobą.

My mówiliśmy, że Tutsi stali się zbędni, ale nie przejmowaliśmy się tym ponad miarę. Rozmawialiśmy o tym, zapominaliśmy, czekali. Nikomu nie działa się krzywda za zabójstwo. Tak jak w pracach na roli, czekaliśmy na dobry sezon. Śmierć naszego prezydenta była sygnałem do wielkiego chaosu. Ale tak jak w przypadku zbiorów, ziarno zasiano wcześniej”.

*

Ucieczka na obczyznę klanu Habyarimany, fakt rozproszenia się jego notabli i wreszcie polityka obecnej administracji, zwana polityką narodowego pojednania, to dziś istotne przeszkody uniemożliwiające dokładną rekonstrukcję chwili, w której w sferach rządowych zapadła decyzja.

W powiecie Nyamata, prawdopodobnie pod koniec grudnia 1993 roku, burmistrz i zastępca prefekta, ich bliscy współpracownicy, bonzowie dwóch głównych partii Hutu, kilku oficerów z obozu wojskowego w Gako oraz dowódcy *interahamwe*, w sumie niespełna dwadzieścia osób z populacji liczącej sobie sto dwadzieścia tysięcy, otrzymali dokładne informacje ze stolicy, Kigali, o planie eksterminacji. W tym samym czasie dowiedziały się o tym kancelarie krajów zaangażowanych w regionie oraz sztab główny oddziałów ONZ. Na miesiąc przed rozpoczęciem rzezi wtajemniczono urzędników wyższego szczebla - dyrektorów szkoły i szpitala, radców gminy - oraz kupców, czyli niespełna sześćdziesiąt osób.

*

W Niemczech, bez względu na to, kiedy powzięto decyzję, armia, policja, administracja, różnorodne sektory życia społecznego - szkoły wyższe, koleje, izby handlowe, kościoły - już od dawna były gotowe ją wdrożyć. A ostatni etap eksterminacji Żydów został rozpoczęty bez najmniejszych przeszkód.

Tak samo było w Rwandzie. Kiedy w nocy z szóstego na siódмого kwietnia, w sześć czy siedem godzin po eksplozji samolotu, niewielka grupka ludzi dała zielone światło, armia,

policja, administracja były gotowe do działania. Wojsko było zmobilizowane, bojówki podekscytowane, było wystarczająco dużo nowych i używanych maczet, silnych rąk i posłusznych ludzi. W całym kraju wydano rozkazy. Rzezie zaczęły się z dnia na dzień, z różnym nasileniem w różnych regionach kraju, ale nigdzie nic nie powstrzymało masakr.

W Niemczech, tak jak w Rwandzie, ludobójstwo było planem totalitarnego reżimu, który rządził przez długie lata. Zagłada Żydów, Cyganów czy Tutsi pojawia się w politycznych programach od chwili dojścia totalitarnych polityków do władzy i powraca w oficjalnych wypowiedziach. Ludobójstwo jest planowane stopniowo i nabiera coraz większego znaczenia. Sprzyja temu fakt, że innym krajom trudno w to uwierzyć. Jest okresowo testowane na wybranych grupach populacji.

Na przykład w regionie Bugesera, jak opowiada Élie Mizinge: „Jeden rok był spokojny, w drugim było gorąco. I tak na zmianę, dwa sezony spokoju, jeden sezon gorący. To zależało od ataków *inkotanyich*, lecz mogło zależeć także od nas samych. Zwykle respektowano pewne priorytety: posiadacze dużych parcel i nauczyciele byli pierwsi na liście... Później zabijało się tu i ówdzie małą grupkę Tutsi w zależności od sytuacji w kraju. Na przykład w jednym roku wrzucono setki żywych Tutsi do sadzawki w Urwabaynandze; w innym przeprowadzono krwawe ekspedycje w szkołach. Bez wyraźnego powodu zostawiano parę ciał na skraju drogi, może tylko po to, żeby pokazać trupy i dać tym do myślenia. Rok 1992 był bardzo burzliwy, gdyż wzmożyły się wtedy ataki *inkotanyich*.

Te masakry nie były zaplanowane, nie ukrywano śladów, jednak nikt nigdy nie poniósł za nie kary. Były w pewnym sensie wskazówkami na przyszłość”.

*

W Niemczech i w Rwandzie skrupulatne przygotowania poprzedziły oficjalną decyzję o eksterminacji. Jakby była zbyt drastyczna, by można było wypowiedzieć ją głośno, zanim zostanie wprowadzona w życie.

*

Ignace Rukiramacumu na swój sposób opisuje, jak w końcu doszło do podjęcia tych decyzji: „Myślę, że ludobójstwo mogło się rozpocząć, gdyż długo na to czekano i wystarczyła iskra, jak upadek prezydenckiego samolotu, by wszystko ruszyło. Nigdy nie było potrzeby, byśmy między sobą o tym rozmawiali. Przezorność władz sprawiła, że to dojrzało w sposób naturalny; później ogłoszono nam te decyzje. Ponieważ to była jedyna propozycja i wydawało się, że wszystko rozwiąże, przyjęliśmy ją, bo nam odpowiadała. Dobrze wiedzieliśmy, co należy zrobić, i przystąpiliśmy ochoczo do dzieła, bo dostrzegaliśmy w tym raczej same korzyści”

Prace polowe

ALPHONSE: Dla kogoś, kto pnie się już po zboczach starości, ten okres masakr był bardziej wyczerpujący niż kopanie motyką, gdyż trzeba było wdrapywać się na wzgórza i biegać w błocie za uciekinierami. Zwłaszcza nogi cierpiały.

Na początku była to praca nie tak nużąca jak obsiewanie pola; cieszyła nas, że tak powiem. Później codziennie wyglądała tak samo. Najbardziej przeszkadzało nam to, że nie możemy w południe wrócić do domu na obiad. O tej porze często byliśmy bardzo daleko na bagnach, dlatego władze zakazywały nam wracać do domów, żeby coś zjeść i odpocząć.

JEAN-BAPTISTE: Nikt nie schodził już na parcelę. Po co gracować, gdy można zbierać bez pracy, gdy je się do syta, niczego nie uprawiając? Jediną pracą było zakopywanie bananów w dołach, na dowolnej opuszczonej plantacji, by sfermentowały i byśmy mieli *urwagę* na kolejne wieczory. Stawaliśmy się bardzo leniwi. Nie grzebaliśmy trupów, to był zbędny trud. Chyba że na nieszczęście jakiś Tutsi został zabity na twojej parceli, wtedy, rzecz jasna, tak, z powodu smrodu, psów i drapieżników.

ADALBERT: Piekliśmy kawał mięsa rano, piekliśmy kolejny kawałek wieczorem. Ktoś, kto wcześniej jadł mięso tylko na weselu, co dzień mógł się opychać.

Przedtem, kiedy wracaliśmy z pól, zdarzało się, że w garnkach nie było prawie nic, najwyżej trochę fasoli, jak zwykle, a czasem tylko papka z manioku. Kiedy wracaliśmy z bagien, w kabaretach w Kibungu rzucaliśmy się na pieczone kurczaki, krowie udźce, trunki, by wynagrodzić sobie trudy. Wszędzie widywało się dzieci i kobiety, które proponowały to wszystko za przystępną cenę. A także kozie szaszłyki i papierosy, jeśli ktoś chciał spróbować.

Przy tej nowej robocie czuliśmy, że żyjemy. Nie baliśmy się, że wyczerpią nas gonitwy na bagnach, a jeśli komuś w tej robocie dopisywało szczęście, był naprawdę radosny. Porzuciliśmy zasiewy, motyki i całą resztę. Nie rozmawialiśmy już z sobą o uprawach. Troski nas opuściły.

PANCRACE: Ścinanie kolb kukurydzy czy kiści bananów to taka sama praca. Ponieważ kukurydza i banany są do siebie podobne, nie stawiają żadnego oporu. Ścinanie na bagnach było coraz bardziej wyczerpujące, wie pan z czyjego powodu. To był podobny gest, ale całkiem inne wrażenie, bardziej ryzykowne. Trzeba się było uwijać.

Na początku Tutsi byli bardzo liczni i wystraszeni, nie byli zbyt ruchliwi, to ułatwiało

nam zadanie. Kiedy nie udawało się dogonić najzwinniejszych, dopadaliśmy słabeuszy. Ale pod koniec zostali już tylko przebiegli i silni i to stawało się zbyt uciążliwe. Tworzyli małe grupki, dobrze się ukrywając. Stosowali wszystkie wybiegi bagiennej zwierzyny. Przychodziliśmy, grzęźliśmy w błocie i zbyt często wracaliśmy z niczym. Nawet myśliwego mogło to zniechęcić.

W dodatku grzęzawisko gniło od trupów rozkładających się w mule. Było ich pełno i coraz bardziej śmierdziały, trzeba było uważać, żeby na nie nie stanąć.

Dlatego też niektórzy z kolegów zaczęli się lenić. Szli w jakimś innym kierunku i czekali na sygnał do powrotu. Szemrali, że żałują pracy na polu, ale nie było ich wielu. Zresztą żaden nawet na godzinkę nie poszedł plewić choćby skrawka parceli. Koledzy grymasili, ponieważ spieszno im było wychylić primusa. Byli spragnieni, ale nie tylko pracy. Bagna ich nudziły, bo zbyt dobrze się czuli. Zrządzili z lenistwa, nie z tęsknoty za polem.

LÉOPORD: Zabijanie było mniej męczące niż prace w polu. Na bagnach można było snuć się godzinami w poszukiwaniu kogoś, kogo można by zabić, i nie ponosiło się żadnej kary. Mogliśmy usiąść w cieniu i gawędzić, nie czując, że próżnujemy. Dzień nie dłużył się tak jak na parceli. Wracaliśmy o piętnastej, by mieć czas plądrować domy. Zasypialiśmy wieczorem w poczuciu bezpieczeństwa, nie troszcząc się o suszę. Zapominaliśmy o naszych rolniczych strapieniach. Jedliśmy obfite, pożywne posiłki.

Byli też wśród nas ludzie, którzy zasmakowali w ciastkach i słodyczach, takich jak cukierki, które jedli po raz pierwszy w życiu, gdyż zaopatrywaliśmy się, nie płacąc, w centrum Nyamaty, w sklepach, do których rolnicy nigdy nie wchodzili.

FULGENCE: Trudniej było polować na bagnach, niż przekopywać pole. Z powodu porannego zamieszania, krzyczących agitatorów, surowych *interahamwe*. Zwłaszcza dlatego, że trzeba było zmienić nawyki. Nasz prawdziwy zawód to rolnictwo, nie zabijanie. Na parcelach wiemy, jak zorganizować czas, w zależności od pór roku i zasiewów, każdy uprawia do woli to, co rodzi jego pole.

Na bagnach musieliśmy się przepychać, było nas zbyt wielu, zbyt dobrze nas pilnowano. Koledzy z innych sektorów zjawiali się czasem licznie i przeszkadzali nam w pracy. Gdy *interahamwe* dostrzegli, że ktoś się nie przyklada, to mogło być groźne. Krzyczeli: „Przybyliśmy z daleka, żeby wam tu pomóc, a wy ociągacie się wśród papirusów”. W złości mogli obrzucić cię obelgami i grozić.

Byliśmy zbyt daleko od domów. Nie przywykliśmy pracować na gwizdek, żeby zacząć czy skończyć.

Ale gdy chodzi o zmęczenie i różne korzyści, było znacznie lepiej. Jeśli jesteś

rolnikiem i leżysz w łóżku chory na malarię, twoja żona czy dzieci idą na pole, by przynieść coś do zjedzenia, i wracają strudzeni. Inaczej masz pusty brzuch i nie możesz zasnąć.

Podczas rzezi sąsiedzi przynosili ci więcej, niż mogłeś zmieścić w garnku, było tego aż nadto i nic cię nie kosztowało. Mięso stawało się codziennym pożywieniem jak maniok. Hutu nigdy nie lubili krów, bo nie potrafili ich hodować. Mówili, że nie są smaczne, ale tylko dlatego, że nie mogli skosztować ich mięsa. Dlatego podczas masakr zajadali się nimi od rana do wieczora.

IGNACE: Kiedyś wieczorem, zaraz na początku, wracaliśmy późno do domu. Przez cały dzień biegaliśmy za uciekinierami. Byliśmy zmęczeni.

Ale w drodze powrotnej wytropiliśmy jeszcze grupę dziewcząt i chłopców. Wzięliśmy ich jako jeńców i zaprowadziliśmy do radcy gminy. Rozkazał ścinać ich na miejscu jeszcze tej samej nocy. Nikt się nie sprzeciwiał, mimo znużenia po wyczerpującym dniu. Ale potem zaproponował nam ucztę i tradycyjną zabawę w miasteczku. To nam ulżyło.

PIO: Praca w polu jest prostsza, bo to nasze zajęcie od zawsze. Polowania były bardziej nieprzewidywalne. To było nawet bardziej męczące w dni wielkich operacji, gdy trzeba było patrolować z tyłu za *interahamwe*, przedzierać się kilometrami przez papirusy i roje komarów.

Ale nie można powiedzieć, byśmy żalowali pól. Lepiej czuliśmy się w tej pracy myśliwych, bo wystarczyło się schylić, by znaleźć pożywienie, blachę na dach i łupy. Zabijanie było bardziej brutalnym zajęciem, ale przynosiło też więcej korzyści. Dowód? Nikt nigdy nie prosił o pozwolenie, by mógł wrócić i wplewić parcelę, nawet na pół dnia.

ÉLIE: Ciężko nam było przez cały dzień przetrząsać papirusy, nie wracając, by zjeść coś w południe. Burczało nam w brzuchach i tkwiliśmy po łydki w błocie. Jednak rano mogliśmy najeść się mięsa, wieczorem porządnie napić. To wynagradzało trudy. Z łupów mieliśmy więcej pożytku niż ze zbiorów i wracaliśmy wcześniej do domu. Ta robota na bagnach odpowiadała młodemu, a jeszcze bardziej staroemu.

IGNACE: Podczas rzezi często czuleś pragnienie, zmęczenie, a nieraz odrazę. Jednak przynosiło to więcej korzyści niż uprawy. Zwłaszcza tym, którzy mieli małą parcelę czy nieurodzajną ziemię. Podczas rzezi każdy, kto miał silne ramiona, przynosił do domu tyle co zamożny kupiec. Nie liczyliśmy już gromadzonych arkuszy blachy. Poborcy o nas zapomnieli. Kobiety cieszyły się z tych nowych nabytków. Na nic się już nie skarżyły.

Prości rolnicy z chęcią zostawiali motykę na podwórzu. Wstawaliśmy bogaci, kładliśmy się najedzeni do syta, korzystaliśmy z życia. Grabieże są lepsze od zbiorów, gdyż wszyscy mogą korzystać z nich na równi.

Clémentine: „Mężczyźni wychodzili, nie wiedząc, jak ciężko będą pracować danego dnia. Jednak wiedzieli, co zgarną po drodze. Wracali ze zmęczonymi twarzami, ale roześmiani, żartowali między sobą jak w czasie zbiorów. Widać było po ich minach, że są pełni entuzjazmu.

A kobiety mogły przede wszystkim odpocząć. Porzuciły pola i targ. Nie trzeba już było sadzić, rozgniatać fasoli, chodzić na odległy targ. Wystarczyło poszperać, żeby coś znaleźć. Kiedy szeregi uciekinierów Hutu ruszyły do Konga, zostawiły za sobą zapuszczone parcele, na których busz zniweczył już wiele sezonów rolniczego trudu”.

ALPHONSE: To była brudna robota, ale bez trosk o suszę czy nieudane zbiory, można by powiedzieć. Rolnik nigdy nie jest pewien, co uda mu się zebrać na swojej parceli. W jednym sezonie będzie miał pełne worki, które jego żona zanieśie na targ, w drugim prawie puste. Będzie drżał na myśl o rozmowie z poborcą. Będzie niespokojny, czasem nawet chory.

Ale wiedzieliśmy, że w domach porzuconych przez Tutsi znajdziemy wiele dóbr. Zaczynaliśmy od blachy na dachu, potem braliśmy resztę.

Czas wyjątkowo nam sprzyjał, bo korzystaliśmy z wszystkiego, czego wcześniej nam brakowało. Primus każdego dnia, krowie mięso, rowery, odbiorniki radiowe, blachy, okna, wszystko. Mówiło się, że to szczęśliwy sezon i że drugiego takiego nie będzie.

Ludobójstwo po sąsiedzku

Rwanda, słynąca z tysięcy wzgórz, to przede wszystkim kraj niezliczonych wiosek. Na pięć rwandyjskich rodzin cztery żyją na wsi, a dziewięć na dziesięć z nich w mniejszym lub większym stopniu czerpie dochody z roli. Nie ma takiego lekarza, profesora czy miejskiego kupca, który nie posiadałby parceli na rodzinnym wzgórzu, uprawianej w wolnych chwilach lub powierzanej krewnemu. Nawet rozsiane na rozległej powierzchni Kigali przypomina bardziej skupisko osad, podzielonych pagórkami i nieużytkami, niż stolicę.

Po ludobójstwie wielu cudzoziemców stawiało sobie pytanie, w jaki sposób zabójcy, tak liczni, rozpoznawali ofiary w zamęcie masakr, skoro Rwandyjczycy z obu grup etnicznych mówią tym samym językiem bez żadnych lokalnych odmian, zamieszkują te same okolice, a różnice fizyczne, choć czasem dostrzegalne, są bardzo nieznaczące.

Odpowiedź jest prosta: zabójcy nie musieli rozpoznawać ofiar, ponieważ je znali. Ponieważ w wiosce wszyscy wszystko wiedzą.

*

Licząc się z tym, że taka konkluzja nie znajdzie aprobaty u historyków Holokaustu, można powiedzieć, że większość z nich, a zwłaszcza Raul Hilberg w swoim monumentalnym dziele *La Destruction des Juifs d'Europe* (Zagłada Żydów w Europie), wyróżnia jego cztery etapy. Najpierw etap poniżenia i upodlenia, potem wskazanie i napiętnowanie (opaski, żółte gwiazdy, napisy malowane na murach), następnie deportacja i koncentracja, wreszcie totalna eliminacja poprzez głód w gettach, egzekucje na terenach zajętych przez armię i zabijanie gazem w sześciu wyspecjalizowanych obozach.

Te etapy nie tyle następowały po sobie, ile zachodziły na siebie, łączone przez nieustające represje: pogromy i grabieże, wywłaszczenia, jakże ważne, by uzyskać poparcie decydującej części społeczeństwa.

Te etapy wiązały się z urbanizacją i uprzemysłowieniem krajów, w których rozgrywało się ludobójstwo, nawet jeśli społeczeństwa Niemiec, Francji, Polski, Rumunii czy Holandii różniły się kulturą.

*

Gdy społeczeństwo ma charakter miejski, ludobójstwo jest typu miejskiego; w społeczeństwie wiejskim ludobójstwo jest typu wiejskiego. W Rwandzie proces ludobójstwa

przeskakuje drugi i trzeci etap - piętnowanie i koncentrację - które nie są konieczne właśnie z powodu sąsiedzkich stosunków między mieszkańcami.

Ta uwaga ma wszakże charakter dość ogólny, istniało bowiem coś w rodzaju wskazywania ofiar, skoro od 1931 roku administracja zaznaczała przynależność etniczną każdego obywatela - Hutu, Tutsi i Twa - w dowodach tożsamości, podaniach o pracę i innych dokumentach. Te papiery służyły niekiedy bojówkom i wojsku czasów ludobójstwa podczas rewizji i w punktach kontrolnych, w miastach i na przejściach granicznych, ale ogromna większość zabójców z terenów wiejskich nie potrzebowała takiej identyfikacji.

W powiecie Nyamata mieszkańcy zgadzają się co do tego, że dokumenty były całkowicie zbędne. Przynależność etniczną 60 tysięcy Tutsi była znana ich sąsiadom, bez żadnych wyjątków. Nawet gdy chodzi o rodziny, które osiedliły się tu niedawno, o urzędników przybyłych tu na określony czas, włóczęgów czy pustelników, zamieszkujących rudery na odległych wzgórzach.

Ponadto wkrótce po ogłoszeniu wieści o zamachu na prezydenta Tutsi spontanicznie zaczęli się gromadzić w odruchu samoobrony. Najpierw przemieszczając się do osad zamieszkałych w większości przez Tutsi, na przykład na wzgórzu N'tarama; potem chroniąc się w kościołach; wreszcie, na początku masakr, uciekając na bagna i do lasów.

Jeszcze inna uwaga pomoże zrozumieć reakcje tej w większości wiejskiej rwandyjskiej społeczności. Przez dwadzieścia lat prezydencki klan prowadził politykę, która nie tolerowała najmniejszego oporu, wymagała całkowitego podporządkowania od wszystkich notabli, bez różnicy, Hutu i Tutsi. Spowodowało to exodus intelektualistów i osłabiło warstwę, którą nazywa się miejską klasą średnią. Tymczasem to w łonie tej właśnie klasy średniej dojrzeła refleksja i kontestacja w okresach szczególnie gwałtownych społecznych napięć.

Następstwa tego były dramatyczne. Już po pierwszych rzeziach w owej klasie średniej - mającej z jednej strony dyktatorski, klanowy reżim, a z drugiej wszechobecne chłopstwo - osłabionej atmosferą wojny, zastraszonej mordami osobistości reprezentujących humanistyczne ideały, Hutu i Tutsi - doszło do spektakularnego rozłamu. A inteligencja Hutu, zamiast pociągnąć za hamulec bezpieczeństwa, stanęła w większości w pierwszym szeregu zabójców, by poświadczyć swoje istnienie w tej nowej epoce.

*

Jak opowiada Jean-Baptiste Munyankore, nauczyciel z N'taramy, ocalały z bagien: „Dyrektor szkoły i szkolny wizytator z mojego sektora brali udział w rzeziach, posługując się pałkami nabitymi gwoździami. Dwaj koledzy profesorowie, z którymi wcześniej piliśmy

piwo i wymienialiśmy uwagi na temat uczniów, przyłożyli do tego rękę, że się tak wyrażę. Także ksiądz, burmistrz, zastępca prefekta, lekarz zabijali własnymi rękami... Nosili bawełniane spodnie z kantem, mieli dość czasu wolnego, jeździli samochodami lub na motorowerach... Ci wykształceni ludzie byli spokojni z usposobienia i naraz zakasali rękawy, by chwycić maczetę. Więc dla kogoś, kto jak ja przez całe życie nauczał przedmiotów humanistycznych, ci zbrodniarze stanowią straszliwą tajemnicę”

*

Można też zauważyć, że ta wiejska społeczność, która nie zna maszyn i nowoczesnych technik uprawy, nie zrobiła niczego, by jakoś zmodernizować sposoby zabijania. Nie stosowano żadnych przemysłowych rozwiązań, jak komory gazowe, żadnych naukowych, medycznych, antropologicznych eksperymentów; nie pojawiła się też żadna genialna idea, by oszczędzać siły. Nie użyto na przykład helikopterów, czołgów ani granatników, będących w wyposażeniu armii; w niewielkim stopniu sięgano po lżejszą broń, jak karabiny maszynowe czy granaty, i to tylko jako taktyczne czy psychologiczne wsparcie.

Na polach każdy pracował własnymi rękami. Rzezie na bagnach były więc naturalną kolejną rzeczą. Odbywały się w rytmie sezonowych prac.

Alphonse Hitiyaremye mówi w pewnym momencie: „Spieszyliśmy się, bo sezon rzezi się kończył. Dzięki niemu uniknęliśmy pracy przy zbiorach, ale tylko tym razem. Wiedzieliśmy, że w kolejnym sezonie będziemy musieli znowu wziąć maczety i wykonywać bardziej tradycyjne prace”.

*

Ostatnia uwaga świadczy o rozbijającej prostocie, która nieustannie powraca w rozmowach na temat ziemi. Członkowie paczki oraz inni podkreślają bowiem, że skoro Hutu mają lepsze zbiory niż Tutsi, których stada niszczą w dodatku plantacje, jest czymś normalnym, by ci pierwsi uprawiali parcele zamiast drugich.

Stąd zresztą wyjątkowo skromna liczba mieszanych małżeństw w regionie, w którym ludzie już od dziesięcioleci pracują, jedzą i modlą się razem. Innocent Rwililiza wyjaśnia to tak: „Nie znam żadnego przypadku mieszanego małżeństwa rolników urodzonych na wzgórzu Kibungu. W Rwandzie mieszane małżeństwa były, można powiedzieć, przywilejem bogatych i ludzi z miasta. Na przykład bogaty Hutu żenił się z wysoką i dobrze wykształconą Tutsi lub bogaty Tutsi brał za żonę kobietę Hutu, by zyskać względy władz. To był przywilej oficerów i wysokich urzędników Hutu lub kupców Tutsi. Ale rolnicy nie widzieli w tym żadnych korzyści, raczej komplikacje. Wiedzieliśmy, że nie ma między nami możliwości porozumienia, z powodu podziału parcel i szkód wyrządzanych przez krowy. Tego rodzaju

spory o ziemię były zbyt niebezpieczne, co najwyżej takie pary przybywały na wzgórze z sąsiednich prefektur”

*

W kraju filozofii, jakim były Niemcy, ludobójstwo miało na celu oczyszczenie bytu i myśli. W kraju wiejskim, jakim była Rwanda, ludobójstwo miało na celu oczyszczenie ziemi, pozbycie się rolników karaluchów.

Ludobójstwo Tutsi jest więc zarazem ludobójstwem po sąsiedzku i ludobójstwem o charakterze wiejskim. Niemniej, mimo prostej organizacji i prymitywnych narzędzi, okazało się niezwykle skuteczne. Osiągnięta wydajność znacznie przekroczyła wyniki uzyskane podczas ludobójstwa Żydów i Cyganów, jako że w trzy miesiące zabito około 800 tysięcy Tutsi. W 1942 roku, w najgorętszym okresie masowych egzekucji i wywózek, nazistowski reżim i jego pilna administracja, jego przemysł chemiczny, armia i policja, wyposażone w nowoczesny sprzęt i posługujące się przemysłową techniką (ciężkie karabiny maszynowe, infrastruktura kolejowa, kartoteki, ciężarówki, w których zabijało się tlenkiem węgla, i komory gazowe...), nigdy nie osiągnęły równie krwawych rezultatów na całym terenie Niemiec i w piętnastu okupowanych krajach.

Kary

IGNACE: Pierwszego dnia radca gminy wysłał do nas dwie ekipy złożone z młodych ludzi, by sprawdzić, czy wszyscy mężczyźni usłyszeli, że mają się stawić na miejscu zgromadzenia. Pozamykano domy tych, którzy się opierali. Pogrożono im grzywną, zaprowadzono ich do Kibungu. Dostali publiczną naganę. Tych, którzy się uchylali, łapano i wskazywano im właściwą drogę. Poszliśmy prosto na miejsce zbiórki.

Tak zaczęło się polowanie. To powtarzało się każdego dnia. Przywykliśmy do wykonywania planu. Tyle że później ekipy nadzorujące już nie przychodziły, bo nikt się nie opierał i nie było takiej potrzeby.

PANCRACE: To było obowiązkowe. Była specjalna ekipa młodych zapaleńców, których zadaniem było dewastowanie domów tych, co chcieli się wymigać. Bardziej baliśmy się gniewu władz niż przelewanej krwi. Lecz w gruncie rzeczy nie baliśmy się niczego.

Zaraz to wyjaśnię. Kiedy dostajesz jakiś nowy rozkaz, wahasz się, ale go wykonujesz, żeby nie ryzykować. Kiedy cię nastraszone jak trzeba przez radio i na zebraniach, łatwiej być posłusznym, nawet jeśli każą ci zabijać sąsiadów. Zadaniem dobrego dowódcy jest uwolnić cię od wahań, kiedy wydaje ci rozkaz.

Na przykład gdy dowódca wykazuje ci, że akcja będzie doprowadzona do końca i nikt żywy nie poniesie żadnych przykrych konsekwencji, nie martwisz się o nic i jesteś posłuszny. Zapominasz o wszystkich lękach i możliwych karach. Robisz to z własnej woli.

ALPHONSE: O szóstej byliśmy liczeni. Jeśli ktoś chciał wyciskać banany, mógł poprosić o pozwolenie, jeśli ktoś był chory, prosił o zwolnienie. Później nawet ten, kto musiał naprawić zagrodę, mógł się spóźnić. Ale inni szli. Mogłeś ociągać się w drodze i odpoczywać, ale musiałeś iść. Nie miałeś chęci pracować, ale szedłeś. Codziennie bez wyjątku musiałeś wypełnić obowiązek.

Nie ma nikogo na wzgórzu, kto mógłby zamknąć oczy i powiedzieć Bogu, że nigdy nie poszedł na ekspedycję.

Jeśli kogoś przyłapano na oszukiwaniu, to mogło być groźne, musiał zapłacić grzywnę, którą nakładał dowódca. Wysoką grzywnę za większe oszustwo lub gdy się powtarzały. Grzywnę pieniężną, na przykład dwa tysiące franków, a nawet więcej. Mogła to być zapłata w naturze, trunek, blacha, to można było negocjować.

FULGENCE: Wszyscy gromadzili się na boisku w Kibungo. Ludzie z Kanzenze, z Kibungo, z N'taramy, a czasami przyjeżdżali *interahamwe* z Butamwy czy jeszcze dalszych stron. Gdy ktoś schował się za domem, sąsiad mógł go wydać i karano go grzywną. Zwłaszcza na początku, gdy jeszcze nie weszło to w nawyk.

Później szedłeś śmiało, jeśli pociągały cię rzezie; ociągałeś się, jeśli interesowały cię tylko grabieże. Jeśli niedomagaleś, musiałeś przyjść i się usprawiedliwić. Jeśli prosiłeś o wolny dzień, żeby wycisnąć *urwagwę*, musiałeś dostarczyć kilka pojemników. Jeśli czuleś się po prostu słabo, bo wypileś za dużo w nocy, to mogło ująć na sucho, wszyscy to rozumieli, tylko nie wolno było stale tego powtarzać. Ale biada ci, jeśli korzystałeś z okazji, by wałęsać się w ciągu dnia po hali targowej. Gdy ktoś cię tam złapał, piorunem wracałeś do oddziału.

W dniu wielkich operacji polowanie było bardzo uciążliwe, trzeba było przetrząsać papiirusy pod czujnym okiem *interahamwe* i żołnierzy. Z tymi gośćmi to było prawdziwe utrapienie. W te dni nikt się nie uchylał z powodu ciężkich kar. W inne dni, gdy polowaliśmy sami, było więcej luzu.

PIO: Przychodziliśmy codziennie na boisko, potem decydowano. Dla rolników to było obowiązkowe. Jeżeli kogoś złapano, karano go grzywną. Zwykle wynosiła dwa tysiące franków, ale to zależało od przewinienia. Jeśli nie mogłeś zapłacić, dawałeś kanister *urwagwy* lub dobry arkusz blachy. Niektórzy musieli nawet oddać kozę. Starzec, który nie mógł pracować z powodu zmęczenia, nie płacił nic, jeśli mógł wysłać zamiast siebie syna. Niektórzy całkiem zdrowi i silni mężczyźni wysyłali nawet w zastępstwie żonę na dzień ekspedycji. Jednak zdarzało się to tylko wyjątkowo, bo to nie było odpowiednie zastępstwo.

ADALBERT: W pierwszym okresie masakry były bardzo dobrze zorganizowane, ale później nie było już takiego rygoru. Kiedy ktoś czuł się zmęczony albo wolał zająć się czym innym, jak plądrowanie domów, składanie blach, handel albo naprawa domu, mógł prosić o pozwolenie i zapłacić tym, którzy wykonywali pracę za niego. Albo okazywałeś się w jakiś sposób pożyteczny podczas rzezi, albo płaciłeś. Jednak nie musiałeś już zabijać, tak jak w pierwszych dniach.

Jeśli tylko praca przebiegała jak trzeba, jeżeli głośno nie protestowałeś, władze podchodziły do tego swobodniej.

Grzywny zależały od wagi wykroczenia, ale też od możliwości każdego. To było tysiąc lub dwa tysiące franków za zwykłe uchybienie, ale mogło też sięgać pięciu tysięcy, jeśli przesadziłeś. Na początku były bardzo uciążliwe dla biednego rolnika. Później, gdy ludzie wzbogacili się dzięki grabieżom, stały się łatwiejsze do zniesienia. Zwłaszcza jeśli tym, którzy nakładali grzywny, zdarzyło się o nich zapomnieć.

Marie-Chantal: „Rolnicy nie byli dość bogaci, by kupić sobie spokój i nie musieć zabijać, jak zamożni ludzie z miasta. Na przykład lekarze czy profesorowie z Kigali płacili służącym albo podwładnym, żeby nie brudzić sobie rąk.

Na wzgórzach wielu zabijało tylko dlatego, że uciekali przed biedą. Jeśli brali udział w rzeziach, nie narażali się na grzywny i w dodatku mogli coś przynieść do domu. Jeśli komuś los dawał w darze blachę na dach, nie mógł się wahać”.

IGNACE: Gdy sąsiad zauważył, że się wymigujesz, mógł przyjść do ciebie wieczorem i zażądać niewielkiej sumki pod groźbą, że nazajutrz wyda cię radcy gminy i będziesz musiał zapłacić znacznie większą oficjalną grzywnę. Jeśli zachowywał się po koleżeńsku, lepiej było się z nim dogadać. Dlatego w naszej paczce dogadywaliśmy się między sobą i kryliśmy się nawzajem.

JEAN-BAPTISTE: Na początku to było obowiązkowe, potem się przywykało. Stawaliśmy się źli w naturalny sposób. Nie potrzebowaliśmy już zachęt albo kar pieniężnych, żeby zabijać, ani nawet wskazówek czy rad. Dyscyplina się rozluźniła, bo nie była już konieczna.

Nie znam nikogo, kto by oberwał za to, że nie chciał zabijać. Znam jeden przypadek ukarania śmiercią, bardzo szczególny, przypadek pewnej kobiety. Młodzi ludzie ścięli ją, by ukarać jej męża, który odmówił zabijania. Ale to była kobieta Tutsi. Później ten pan dołączył bez szemrania. Nawet więcej, był jednym z najbardziej gorliwych na bagnach.

Kiedy rano czułeś się zmęczony, proponowałeś w zamian trunki, a nazajutrz szedłeś. Mogłeś też zamienić rzezie na inne pożyteczne zajęcia, jak szykowanie posiłków dla przejezdnych *interahamwe* lub zabijanie na mięso krów rozproszonych w buszu. A kiedy zapał powracał, brałeś narzędzie i szedłeś na mokrada.

FULGENCE: Poza grzywnami czy przymusowym dostarczaniem trunków nie słyszałem o innych karach, jak bicie kijem czy ścięcie maczetą za nieposłuszeństwo. Mogłeś się bardziej narazić tylko wtedy, gdy odmówiłeś zapłacenia grzywny, ale to nigdy się nie zdarzało dzięki pieniądzom ofiar i grabieżom.

Człowiek bogaty przyjmuje nałożoną grzywnę z większą beztroską, nieraz to wtedy widziałem.

IGNACE: Pewnego wieczoru skazali jakąś kobietę Hutu na karę śmierci i wykonali ją publicznie, dla przykładu. Ale to dlatego, że bezczelnie upominała się o krowy jej męża Tutsi, którego zabito. Oprócz niej nikogo nie ścięto za karę w Kibungo. Nawet nie pobito.

PANCRACE: Mówiło się o ludziach poturbowanych za to, że chcieli się wymigać, ale osobiście nie znam żadnego takiego przypadku na naszym wzgórzu. Myślę, że tych ludzi

poturbowano podczas sporów o łupy. Zdarzali się źli koledzy, którzy oskarżali sąsiadów. Tylko dlatego, że chcieli coś na tym zyskać, na przykład parcelę.

ÉLIE: Wieczorem trzeba było opowiedzieć dowódcy, ilu się zabiło. Wielu się przechwalało, bojąc się drwin i złych spojrzeń. Także z tego powodu nie grzebaliśmy trupów: gdy kogoś podejrzewano o kłamstwo, musiał poprowadzić nadzorców i udowodnić, że mówi prawdę.

Ale nikt cię nie bił, jeżeli w ciągu dnia okazywałeś słabość. Wymagania nie były aż tak surowe. Tylko źle cię wynagradzano i to było przykre.

LÉOPORD: Rano sprawdzałem, czy wszyscy są obecni. Ktoś mógł się nie stawić, bo nadużył trunku, i to się tolerowało, gdyż była to częsta przyczyna. Ktoś mógł też przedstawić jakiś ważny powód, jak choroba czy pilny interes. Jednak jeśli powód nie był wystarczająco ważny, taka osoba musiała zapłacić grzywnę lub przynieść kanister *urwagwy*, w wyjątkowych przypadkach mogła to być nawet cała skrzynka primusa. Byli i tacy, którzy dostawali kijem, ale tylko wtedy, gdy bezwstydnie kłamali.

PIO: Ten, kto nie chciał zabijać danego dnia, bez trudu mógł się zwolnić. Ale kto wcale nie chciał zabijać, nie mógł tego wyjawiać, bo jego by zabito, i to na oczach wszystkich.

Głośne wyrażenie niezgody spotykało się z natychmiastową reakcją. Więc trudno stwierdzić, czy komuś przyszło to do głowy.

Mogłeś udawać, ociągać się, kombinować, płacić, ale przede wszystkim nie wolno ci było na głos się sprzeciwiać. To była pewna śmierć, jeśli wyraziłeś kategoriyczny sprzeciw, nawet po cichu, w obecności sąsiada.

Twoja pozycja i majątek nie mogły ocalić ci życia, jeśli zdarzyło ci się powiedzieć coś dobrego o Tutsi przed nieznanymi ci ludźmi. Dobre słowa o Tutsi były dla nas bardziej zabójcze niż niemrawe gesty.

Zakładanie blach

Miasto Bukavu w Kongu, na brzegu jeziora Kiwu, dwa kroki od granicy z Rwandą, zachwycało niegdyś prowincjonalnym wdziękiem, który był dumą jego mieszkańców i cieszył bawiących tu przejazdem cudzoziemców. Lecz tego lata wesoły gwar na tarasach barów i urzekające pieśni rybaków na jeziorze umilkły, gdy pojawił się tu niezmierny tłum obdartych uchodźców.

Jest koniec lipca 1994 roku, minęły cztery miesiące od pierwszych uderzeń maczety, miesiąc od pierwszych ucieczek na wygnanie. Kiedy przybyłem do tego miasta, najbardziej uderzył mnie widok stosów arkuszy blachy, wzdłuż drogi, w wioskach i wokół obozów. Później widziałem jeszcze wyższe stosy na targowisku, przy ścieżce wiodącej nad rzekę, do przejścia granicznego, którego strzegą zawadiacy z kongijskiej armii, w przyciemnianych ray banach, radośni i żywiołowi.

Setki tysięcy uchodźców nieprzerwaną kolumną napływają do regionu Kiwu. Najbardziej wycieńczeni lokują się gdzie popadnie, na ugorach, najsilniejsi zmierzają do obozów w regionie wulkanów, najsprytniejsi i najbardziej zasobni instalują się w mieście. Jedni niosą na plecach tobołki, przytroczone dzieci; inni krzesła, miednice albo worki z ziarnem; najbardziej krzepcy zginają się wpół pod ciężarem blachy. Oplacają nią prawo przejścia przez granicę, wymieniają na worki ziarna, miejsce na ciężarówce czy pole.

Kiedy przebywszy rzekę, wjechałem do Rwandy i skierowałem się do miasta Cyangugu, najbardziej uderzającym widokiem był ten niekończący się, surrealistyczny orszak ludzi dźwigających blachy. Przemycane rzeką na pirogach i łodziach, wiezione na taczkach, złożone na ciężarówkach pełnych pasażerów, niesione przez jedną czy dwie osoby, rozrzucone wokół namiotów i prowizorycznych chat, ułożone w stosy dookoła obozów, przy drogach, na zapuszczonych plantacjach bananów, w głębi lasu, blachy widziało się jak okiem sięgnąć na biwakach i w tłumie uciekinierów.

W owym czasie cudzoziemiec, wstrząśnięty ludobójstwem, które właśnie się zakończyło, zaszokowany widokiem tłumu, mógł złożyć to dziwactwo na karb zbiorowego szaleństwa, jakiegoś traumatyzmu, który później postara się zrozumieć. Powodem była nieznajomość historii tych blach.

Blachy pojawiły się w Rwandzie wraz z Belgami, tuż po zakończeniu pierwszej wojny światowej, nie bez powodu, miały bowiem pokryć dachy kolonialnych budowli. Dachówki kładziono na domach kolonizatorów, liście na domostwach Rwandyjczyków, blachy zaś były przeznaczone dla budynków publicznych, gdzie jedni i drudzy musieli się spotykać.

Były to czasy, gdy wytwarzano stalową blachę grubości centymetra, która miała przetrwać pół wieku, zatem aż do chwili uzyskania niepodległości. W miarę upływu lat i rosnącej emancypacji ludu blacha była coraz cieńsza i rozprzestrzeniała się w miastach, na przedmieściach, a z wolna także na wzgórzach, by pokryć niemal wszystkie domostwa, nawet najskromniejsze, które nazywa się zresztą domami z gliny i blachy. Odtąd blacha stała się miarą powierzchni mieszkalnej. Nie mówi się: „Ten i ten wybudował dom o powierzchni tylu a tylu metrów kwadratowych” ale „...dom o tylu blachach”.

Mają różną trwałość, w zależności od tego, czy sprowadzono je z Europy (górną półką), Ugandy (najsolidniejsze), Kenii (najtwardsze), czy też wyprodukowano na miejscu, w zakładach Tolirwa w Kigando, nieopodal Kigali. Miejscowe blachy są najcieńsze (trzy milimetry), najtańsze i najmniej trwałe. Wytrzymują około piętnastu lat, podobnie jak gliniane mury wiejskich domów.

Po ludobójstwie niektóre organizacje humanitarne zaczęły rozdawać pokrycia dachów ze sprasowanych liści papirusów, ale ich trwałość, ograniczająca się do kilku miesięcy, nie pozostawiała złudzeń co do użyteczności tego materiału czy dobrej woli darczyńców.

Blacha dość późno pojawiła się w regionie Bugesera, ale szybko pokryła domy pierwszej fali uchodźców z początku lat sześćdziesiątych. Lekka, łatwa w transporcie i tania jest prawdziwym skarbem w tej wyjątkowo deszczowej krainie, w której brakuje słomy, by kryć domy strzechą.

Blachę można kupić nową albo używaną, nieprzemakalną albo przemakalną, inaczej mówiąc, dziurawą. Najpierw służy za ściany, zanim postawi się mury, potem za dach, ale sposoby jej zastosowania na tym się nie kończą. Po ściągnięciu jej z dachu, kiedy się zużyje lub gdy osuną się ściany, służy jeszcze do wzniesienia kuchennej przybudówki, toalety, postawienia zagrody czy komórki na podwórzu. Przydaje się też do wyrobu drzwi, okiennic, budowy werandy przy kabarecie, robi się z niej skrzynie i trumny dla najbiedniejszych.

Ze wszystkich elementów domu - jak ściany, wiązania dachu, meble, sprzęty domowe - blacha jest jedynym, którego wieśniacy nie mogą wytworzyć własnymi rękami, stąd jej rynkowa wartość. „Przed wojną w Kibungu ludzie urządzali loterie - opowiada Innocent. - Każdy przynosił nowy arkusz blachy, krążyły butelki *urwagwy*, robiło się losowanie i szczęśliwy zwycięzca odchodził z nowym pokryciem dachu. Można też było uczynić z niej

cenny prezent, dać ją w posagu przed ślubem”

Kożę wymienia się za dwie blachy, krowa ankole jest warta co najmniej dwadzieścia. Jedną blachą można uregulować rachunek za piętnaście butelek primusa. Jej cena w rwandyjskich frankach zależy od jakości, a zwłaszcza od pory roku. „Podczas wyjątkowo uciążliwej suszy chłopcy mają skłonność zdejmować blachy, by je sprzedać i zastąpić foliowymi płachtami. Wówczas ceny drastycznie spadają - ciągnie Innocent. - Potem, jeśli zbiory są dobre, znów kupują blachy, nowe lub używane. I ceny idą w górę”

Także inne czynniki, niezależne od suszy, mogą ożywiać handel z drugiej ręki, wśród nich kradzieże. „Bardzo zręczni chłopcy potrafią wspiąć się na dach i zdjąć blachy, nie budząc domowników dzięki mokrym szmatom założonym na stopy, potem uciec do buszu, zwłaszcza gdy wiedzą, że właściciele w przeddzień świętowali”. Zabawy i alkohol często są powodem tego rodzaju straty - nie będę tu wymieniał nazwiska jednego z przyjaciół z Nyamaty, który w barze sprzedał jedną po drugiej wszystkie swoje blachy, żeby wreszcie wypić ostatniego na drogę i skończyć pod gołym niebem.

Jednak najpoważniejszą przyczyną tej wymiany jest wojna, która zubaża ludzi i skazuje ich na wygnanie.

*

Blacha, będąca jedynym elementem domu, którego właściciel nie może na miejscu wytworzyć, jest też jedynym, który da się łatwo transportować: kilka ruchów śrubokrętem i już leży obok tobołków na ziemi. Jej standardowe wymiary sprawiają, że nadaje się do zastosowania w całym regionie Wielkich Jezior. To w roku 1973 pierwsze blachy powędrowały z Bugesery wraz z ich właścicielami. Tak się składa, że już wtedy byli to uciekający do Burundi Tutsi. Potem wygnańcy Hutu z Burundi, którzy uciekali przed armią Tutsi i zamachami stanu, przynieśli blachy do swych obozów w Rwandzie. Ten ruch wahadłowy przyspieszył na początku lat dziewięćdziesiątych, wraz z nasileniem się walk obu stron na granicy z Burundi. Niemniej nic nie zapowiadało tego, co miało się stać wiosną 1994 roku.

Trzynastego maja w powiecie Nyamata, kiedy rozległy się pierwsze karabinowe wystrzały oddziałów Frontu Patriotycznego, większość mężczyzn porzuciła maczety, by pościagać to, co zostało na dachach, i nazajutrz zabrać z sobą w drogę przez kraj, podczas ucieczki do Bukavu czy Gomy w Kongu.

Rzecz jasna, jesienią 1996 roku podczas wielkiego powrotu uciekinierów Hutu, blachy już im nie towarzyszyły, porzucone czy sprzedane po drodze lub w obozach, skonfiskowane lub zrabowane na granicy albo podczas ucieczki. Jednak dziś na wzgórzach Kibungu,

Kanzenze czy N'tarama zamieszkane domy znów są pokryte dachami dzięki repatriantom, którzy wrócili do kraju w ślad za zwycięskimi oddziałami Frontu Patriotycznego, dzięki zagranicznym darczyńcom, a zwłaszcza dzięki przedsiębiorczości miejscowych.

W istocie bowiem wszystkie blachy nie wywędrowały, przeciwnie. Wielu Hutu, co świadczy o ich optymizmie, przed ucieczką umieściło blachy na swoich dachach. A część porzuciła je w panice o parę kilometrów dalej, zaś ocalali zebrali je pod koniec rzezi.

Jeszcze inni, bardziej przebiegli, zdążyli zakopać na plantacjach bananów arkusze blachy z własnych dachów lub zdobyte dzięki grabieżom. W Nyamacie ludzie mówią, że pierwszą rzeczą, jaką robią niektórzy więźniowie po zwolnieniu z zakładu w Rilimie, jest odkopywanie bezksiężycową nocą tego nieco pordzewiałego, pofalowanego, ocynkowanego skarbu.

Czasem zbyt późno, jak opowiada Innocent, gdyż „zdarza się, że rolnik uderzy motyką w coś twardego w ziemi i zaraz szeroki uśmiech rozjaśnia mu twarz. Wie, że natrafił na blachę, a więc na okrągłą sumkę”.

Grabieże

Marie-Chantal: „Na ścieżce poniżej parceli przez cały dzień widać było szeregi zbieraczy, uginających się pod ciężarem tego, co zdołali złupić. Szli jak kolumna mrówek ze swoją zdobyczą”

ÉLIE: Wieczorem po masakrach spotykaliśmy się w wesołym gronie, spędzaliśmy czas wśród przyjaciół. Opowiadaliśmy sobie, jak minął dzień, dzieliliśmy się trunkami, jedliśmy. Nie liczyliśmy już, ilu kto z nas zabił, tylko myśleliśmy, jak na tym skorzystamy. Rzezie sprawiały, że byliśmy rozmowni i zachłanni. Spieraliśmy się wyłącznie o podział łupów, zwłaszcza o parcele, o plantacje bananów. Trzeba było wykazać wielką czujność, gdy szło o urodzajne plantacje nad rzeką Akanyaru.

ALPHONSE: Po pewnym czasie często urządzano uczy. W dni wielkich operacji *interahamwe* i żołnierze z sąsiednich powiatów rościli sobie prawo pierwszeństwa do grabieży. Gromadzili nowe odbiorniki radiowe, dorodne krowy, wygodne fotele, pierwszorzędne blachy. Miejscowi dzielili się tym, co zostało. Dni mniejszych operacji były dla nas bardziej korzystne, gdyż wybieraliśmy jako pierwsi. Kiedy nasza paczka plądrowała razem, dużo się zyskiwało. Obfitość dóbr sprawiała, że zapominaliśmy o sporach. Czasem trzeba było opłacić ciężarówkę, żeby to wszystko zabrać.

Było wielu takich, którzy nagle się wzbogacili, stawali się tak bogaci, że nawet już nie liczyli. Na drodze wołali zabójców, wracających z grabieży, zapraszali ich po przyjacielsku do siebie, bez wahania stawiali im primusa, dzielili się mięsem, rozdawali radia, by zyskać przychylność tych ludzi, którzy otwierali szeroko oczy na widok tylu nowych nabytków.

Bogaci najlepiej znali się na interesach, bo to był wcześniej ich zawód. Gromadzili blachy i inne dobra z myślą o przyszłym handlu.

My byliśmy beztroscy i syci. Nie wdawaliśmy się w targi. Nie płaciliśmy taks poborcom. Piliśmy do woli dzięki pieniądzom, które się zdobywało. Jedliśmy najsmaczniejsze kawałki mięsa z krów, które się zabijało. Cieszyły nas nowe blachy, któreśmy znosili. Spaliśmy spokojnie dzięki dobremu jedzeniu i ciężkiej pracy w dzień.

IGNACE: Pierwszego wieczoru dowódca zgromadził nas w Kibungo. Kazał nam stanąć kręgiem. Powiedział, żebyśmy jeden po drugim położyli na środku wszystkie pieniądze, które zabraliśmy ofiarom. „Tylko bez oszukaństwa”, dodał.

Kiedy zobaczył nasze zniechęcone miny, zastanowił się i przemówił do nas innym tonem. Wyjaśnił, że za pierwszym razem trzeba zrobić zbiórkę, by kupić trunki i razem to uczcić, ale że później każdy będzie mógł odkładać wszystko dla siebie. Tę obietnicę przyjęliśmy z zadowoleniem. Wychylaliśmy kolejne butelki, żeby poczuć ulgę.

ADALBERT: Zabójcy maruderzy oddalali się od grupy gorliwych zabójców, by wcześniej się obłowić, ale nie stawali się przez to bogatsi. Wieczorami gorliwi zabójcy dobrze sobie radzili i zabierali wszystko, co przeoczyli tamci. Wierzyli w swoje siły.

W gruncie rzeczy nie przejmowaliśmy się wcale tym, co robiliśmy na bagnach; jedynie tym, co mogło nam przynieść korzyści: gromadzone arkusze blachy, schwytane krowy, stopy okien i wszystkie inne dobra. Gdy widzieliśmy sąsiada na nowym rowerze czy z radiem w ręku, budziła się w nas pożądlivość. Idąc drogą, uważnie przyglądaliśmy się dachom. Czasem czuliśmy złość, słysząc, że ktoś za naszymi plecami przywłaszczył już sobie jakąś żyzną parcelę. To była złość większa niż na bagnach, nawet jeśli nie wyciągaliśmy maczet. Ja mam to szczęście, że jestem silny i energiczny, zostałem dowódcą. To była dobra pozycja, gdy chodzi o grabieże.

PANCRACE: Po pracy liczyliśmy zyski. Pieniądze, które Tutsi, umierając, próbowali zabrać ze sobą schowane pod ubraniem. Pieniądze tych, którzy dobrowolnie je oddawali, z nadzieją, że nie będą cierpieć. Pieniądze otrzymywane w drodze powrotnej za blachy czy sprzęty, które mogliśmy od razu sprzedać, nawet za śmieszłą cenę. Chowaliśmy w kieszeniach rulony banknotów.

Na przykład jeśli zabrałeś skądś dwa rowery, nie zastanawiałeś się długo, żeby jeden spieniężyć. Sprzedawałeś go za zanizoną cenę, a potem spokojnie kupowałeś trunki.

Piliśmy tak dużo, że cena alkoholu wzrosła trzykrotnie, w pewnych momentach nawet pięciokrotnie. Ale dzięki zrabowanym pieniądząom dla pijącego to było już bez znaczenia.

Zdarzali się nawet rolnicy, którzy ukrywali znajomych Tutsi za pieniądze. Później, kiedy Tutsi wyłożyli już wszystkie oszczędności, zostawiali ich w ramionach śmierci, rzecz jasna, niczego nie oddając. To były nieuczciwe transakcje.

JOSEPH-DÉSIRÉ: Władze nie były już w stanie wszystkiego planować, dobrze zorganizować. Byliśmy na wszystko głusi. To się zmieniło w niesamowite masakry, którymi nie rządził już rozum.

Najbardziej zapalczywi zabijali i zabierali dobra zabitych. Chcieli mieć wszystko od razu, nie tracąc nawet czasu, by ich dobić. Grabieże dość ich podniecały i nie potrzebowali żadnych rad ani słów zachęty. Ich zachłanność zarażała innych, którzy szli ich śladem i sami stawali się szaleńcami.

Najbiedniejszych podniecały łupy, najbogatszych także, gdyż mieli dość pieniędzy, by je od tamtych odkupić i gromadzić zapasy. Wszyscy byli solidarni podczas tych masakr, które przynosiły zyski.

Clémentine: „Biedacy, którzy wcześniej nie mieli niczego, nagle stawali się właścicielami blaszanego dachu, ubrań, kuchennych sprzętów. Czasem nawet opuszczonej parceli, jeśli byli zaradni. Dobrobyt był na wyciągnięcie ręki.

Nawet włóczędzy przestawali wałęsać się po okolicy. Nagle okazywało się, że ich ramiona są równie sprawne co ramiona rolników. Stawali się bogaci, nie wiedząc, jak się zachować w tej nowej sytuacji. Korzystali z nagromadzonych łupów, by wybrać sobie kobietę, do której nigdy wcześniej nie śmieliby się zbliżyć. Dzięki rzeziom stawali się nagle atrakcyjni dla kobiet”.

Valérie: „Po upadku samolotu *interahamwe* zaczęli kręcić się z maczetami w rękach wokół zakładu Świętej Marty. W pierwszym dniu rzezi zjawili się żołnierze. Oświadczyli: »Jeśli nam dacie pieniądze, nie pozwolimy im wejść«. Żądali sumy dwustu tysięcy franków. Nie mieliśmy już wcale pieniędzy, gdyż białe siostry zabrały z sobą wszystkie oszczędności, gdy wyjechały pancernymi wozami *Minuaru*. Ale było tam wiele kobiet. Rodzące, akuszerki i matki, które przyszły się schronić na oddziale położniczym. Zrobiliśmy zbiórkę, zgromadziłyśmy całą sumę, zapłaciłyśmy. Nazajutrz wrócili, zażądali takiego samego okupu. Niektórzy domagali się nawet szwajcarskich pieniędzy. Zapłaciłyśmy dzięki kobietom, które ukryły zwiłki banknotów w ubraniach.

Trzeciego dnia nie mogliśmy już zapłacić takiej sumy. Żołnierze powiedzieli, że to bez znaczenia, bo nic nie mogą już dla nas zrobić. Zaraz po ich odejściu weszli *interahamwe*. Było ich bardzo dużo, bo wiedzieli, że ten szwajcarski zakład jest dobrze wyposażony: w worki ziarna, materace na sprężynach, destylowaną wodę i różne lekarstwa. Najpierw zebrali, co tylko zdołali znaleźć, nie zostawiając niczego; potem zabili wszystkich, na których się natknęli, nikogo nie oszczędzając; w końcu przeszukali trupy dobrze ubranych kobiet, by mieć pewność, że niczego nie przeoczyli”.

LÉOPORD: Zaczynaliśmy dzień od zabijania, kończyliśmy dzień, plądrując. To było regułą, najpierw zabijanie, potem - w drodze powrotnej - grabieże. Zabijaliśmy całą ekipą, ale każdy grabił dla siebie lub w małych grupkach przyjaciół. Chyba że chodziło o trunki i krowy, którymi wszyscy chętnie się dzielili. Oraz, rzecz jasna, o grunty, o których trzeba było rozmawiać z dowódcami. Ja, jako dowódca sektora, otrzymałem dużą żyzną parcelę i zamierzałem ją obsiać, kiedy wszystko się skończy.

Ci, którzy dużo zabijali, mieli mniej czasu, by grabić; ale że się ich bano, siłą i tak

dochodzili swego. Nikt nie był uprzywilejowany, nikogo nie okradziono.

Ten, kto nie mógł plądrować, bo miał do załatwienia jakąś ważną sprawę albo czuł się zbyt przemęczony pracą, mógł wysłać swoją żonę. Widywało się kobiety szperające po domach. Zapuszczały się nawet na bagna, by rozwiązywać przepaski na biodrach zabitych nieszczęśnic. Brały wszystko: miednice, tkaniny, dzbany, święte obrazki, ślubne zdjęcia - wszędzie, w domach, w szkołach, z martwych ciał.

Grzebały w zakrwawionych ubraniach, nie bojąc się ubrudzić rąk. Grzebały w majtkach, szukając ukrytych pieniędzy. Tylko nie w kościele, bo od pierwszego dnia masakr gniły tam zapomniane trupy.

ALPHONSE: Niektórzy zabójcy brali sobie na bagnach dziewczyny; to im sprawiało przyjemność i pozwalało zapomnieć o gromadzeniu łupów. Myśleli, że następnego dnia nadrobią zaległości.

Gdy chodzi o pieniądze, nie liczyliśmy się już z nimi tak bardzo jak kiedyś. Nie było poważnych targów, podawano ceny w wesołej atmosferze. Dostatek uwalniał nas od drobnych życiowych problemów. Starsi szemrali, że te grabieże mieszają nam w głowach. Że przyszłość może nie być tak wesoła. Ale wokół było tyle nęcących obietnic, że kto by chciał ich słuchać?

ADALBERT: W hali targowej opowiadaliśmy sobie o wydarzeniach dnia. Niektórzy podawali przesadzoną liczbę zabitych z nadzieją, że później zostaną nagrodzeni bardziej żyznym polem lub zyskają lepszą pozycję. Szczególnie gorąco robiło się wtedy, gdy wspomniano o leżących odłogiem parcelach zabitych. Gdy tylko udało się zidentyfikować z nazwiska ściętego na bagnach rolnika, zaczynaliśmy wieczorem rozprawiać o jego ziemi. Ożywiała nas wielka żądza posiadania.

Nawet jeśli już nie uprawialiśmy roli, nadal troszczyliśmy się o przyszłość naszych rodzin.

JEAN-BAPTISTE: Gdyby *inkotanyi* nie zajęli kraju i nie zmusili nas do ucieczki, pozabijalibyśmy się nawzajem po śmierci ostatniego Tutsi, tak bardzo oszaleliśmy na punkcie podziału ich parcel. Nie mogliśmy już przestać wymachiwać maczetą, tak to się nam opłacało.

Widać było, że po zwycięstwie życie zupełnie się zmieni. Prości ludzie, słuchający rozkazów, nie będą już ulegli wobec władz jak przedtem, jeśli chodzi o normalny podział bogactwa i biedy. Zasmakowali w dobrobycie i dostatku. Czuli się nasyceni, nabrali wigoru. Rozpierały ich nowe siły, stali się zuchwali. Odrzucili pokorę i niedogodności biedy. Wszyscy zaraziliśmy się chciwością.

Za zamkniętymi drzwiami

Afryka jest wielką sceną odwiecznych migracji, które często przesuwają granice krajów i regionów. Rwanda i Burundi, od wieków pozostające raczej na uboczu, to dwa z nielicznych wyjątków na tym kontynencie. Żadne bogactwo naturalne, żadna metropolia nie ściągała tu wędrownych ludów, nie ma tu też żadnego celu pielgrzymek. Ponadto gęstość zaludnienia wzgórz Rwandy, jedna z największych na świecie, nie sprzyjała imigracji, sąsiedztwu odmiennych języków i kultur, z czym mamy do czynienia we wszystkich ościennych krajach; zarówno w jałowym regionie Bugesera, jak w całej reszcie kraju.

Piszę to, by podkreślić godną ubolewania nieobecność innych afrykańskich wspólnot, innych kultur, innych grup etnicznych, w chwili gdy doszło do tych wydarzeń.

*

W dwa dni po eksplozji prezydenckiego samolotu szalone masakry pustoszą już niektóre miasta, ale w powiecie Nyamata jeszcze się nie zaczęły. W miasteczku pojawia się oddział błękitnych hełmów w trzech wozach opancerzonych. Kolumna kieruje się w stronę kościoła, potem do misji, oddziału położniczego oraz do szpitala. Z każdego z tych miejsc zabiera białych, pięciu księży i trzy siostry. Po wykonaniu zadania zawraca i znika z głównej ulicy, nie zwalniając ani na chwilę.

Valérie Nyirarudodo, pielęgniarka i akuszerka na oddziale położniczym Świętej Marty, wspomina: „Zatrzymali się przed bramą, poprosili trzy białe siostry, by natychmiast się spakowały. Powiedzieli: »Nie ma co tracić czasu na pożegnania, zaraz odjeżdżamy«. Te szwajcarskie kobiety spytały, czy ich koleżanki Tutsi noszące białe habity mogą im towarzyszyć. Żołnierze odpowiedzieli: »Nie, są Rwandyjkami, ich miejsce jest tutaj, lepiej będzie zostawić je z ich braćmi i siostrami«. Konwój odjechał, a za nim ciężarówka rozśpiewanych *interahamwe*. Oczywiście później te siostry Tutsi zostały ścięte tak samo jak inni”

Innocent, który także widział przejeżdżające pojazdy opancerzone, dodaje: „Wzbudzili wielką panikę wśród *interahamwe*, którzy już kręcili się po ulicach i dodawali sobie animuszu, strzelając z nienaacka. Niektórzy z nich wołali: »Biali są w mieście, potem przyjadą inni, mają straszną broń, będzie z nami krucho«. Gdy zobaczyli, że konwój znika w tumanach kurzu, a żołnierze nie zatrzymują się ani na moment, choćby z ciekawości czy żeby

się napić w barze przy głównej ulicy, zaczęli stukać się butelkami primusa i na znak ulgi strzelać z karabinów. Było widać, że poczuli się nagle swobodnie. Pozbyli się ostatnich natrętów, że się tak wyrażę”

W tym samym czasie w Kigali biali opuszczają ambasady, biura, klasztory, uniwersytety i udają się na lotnisko w Kanombe, by skorzystać z mostu powietrznego, lub drogą lądową wyjeżdżają do jednego z sąsiednich krajów. Bardzo nieliczni cudzoziemcy chronią się w pilnie strzeżonych willach, ale w Nyamacie nie pozostaje ani jeden biały.

Żaden ksiądz, kooperant, dyplomata, pracownik organizacji humanitarnej nie jest w stanie wyjaśnić w przekonujący sposób, dlaczego w pierwszych godzinach rzezi doszło do tej nagłej i dziwnej ucieczki. W każdym razie ani zagrożenie, ani panika nie tłumaczą takiego pośpiechu.

Najbardziej trafna uwaga, jaką do dziś słyszałem i którą warto poddać pod refleksję tym, którzy po każdej wielkiej tragedii pytają o pożytek płynący z informacji i ludzkiego świadectwa, to wypowiedź Claudine Kayitesi, ocalałej chłopki ze wzgórza N'tarama, która mówi, odwracając sens znanego powiedzenia: „Biali nie chcą widzieć tego, w co nie mogą uwierzyć, i nie mogli uwierzyć w ludobójstwo, bo ta rzeź przerasta wszystkich, ich także”. Toteż wyjechali.

Claudine, wówczas w wieku dwudziestu jeden lat, formułuje też zresztą zadziwiającą definicję wszystkich tych wydarzeń: „Myślę, że nikt nigdy nie napisze całej prawdy o tej tajemniczej tragedii - ani profesorowie z Kigali i Europy, ani ludzie z kręgów intelektualnych czy politycy. Wszelka próba wyjaśnienia będzie się chwiała z jednej czy drugiej strony jak stół na nierównych nogach. Ludobójstwo to nie jakiś krzak, który wyrasta z dwóch czy trzech korzeni, ale splot korzeni, które gnily pod ziemią i nikt tego nie zauważył”

*

Te trzy wozy opancerzone, które przybyły, by ewakuować cudzoziemców z Nyamaty, zabierają zatem ostatnich świadków, białych księży i siostry, tak wpływowych w lokalnej pobożnej społeczności. Kilka godzin później dochodzi do pierwszych zabójstw, niejako przy drzwiach zamkniętych, i słychać już tylko echo głosów z Radia Rwanda i Radia Tysiąca Wzgórz, wyraźnie uradowanych, bo między przemówienia, porady, satyry wplecione są piosenki, a nawet puszczane z taśmy kantyczki.

W tym miejscu zwróćmy uwagę na zasadniczą rolę radia podczas ludobójstwa w Niemczech i w Rwandzie, w społecznościach i kulturach tak bardzo od siebie różnych. Niektórzy powiedzą, że niemiecka III Rzesza i Rwanda z czasów II Republiki Habyarimany nie żyły jeszcze w erze telewizji, a tym bardziej w erze internetu, z czego logicznie wynika

decydujący wpływ radia.

Jednak ten argument nie wyjaśnia wszystkiego. Dlatego zacytuję z pamięci, chociaż dość dokładnie, pewną refleksję Serge'a Daneya, krytyka i eseisty, wypowiedzianą podczas wojny w Zatoce, gdy specjaliści od mediów debatowali na temat kolosalnego wpływu obrazów na realne zdarzenia. Idąc pod prąd obowiązujących w owym czasie idei, Serge Daney wyjaśniał: „Jednak to radio jest zdecydowanie najgroźniejszym z mediów. Posiada wyjątkową władzę, nieporównywalną z niczym innym i straszliwą, gdy państwo czy jego instytucje się walą. Usuwa wszystko, co może łagodzić czy osłabiać siłę słów. W sytuacji chaosu radio może okazać się najbardziej skutecznym narzędziem, zarówno wtedy, gdy chce się głosić hasła demokracji, jak i idee rewolucji czy propagować faszyzm, ponieważ bez żadnych przeszkód wkrada się w głęboką intymność jednostek, w dowolnym miejscu i chwili, usuwając czas i krytyczny dystans, niezbędne podczas lektury tekstu czy percepcji obrazu”

*

W tym samym dniu, w którym wyjechały pojazdy opancerzone, ludzie burmistrza zamykają świątynie wszystkich wyznań, oprócz dwóch kościołów, w Nyamacie i N'taramie, które okupuje tłum. Zamyka się budynek sądu i otwiera powiatowy areszt. Burmistrz i jego zbiry, uwolnieni od oskarżycielskich spojrzeń cudzoziemców, oddalają w ten sposób swych podwładnych Hutu od miejsc, w których o wszystkim decydują moralność i sumienie. Masakry szerzą się w centrum miasta, potem na wzgórzach; trzy dni później dochodzi do rzezi w obydwu kościołach: w każdym ginie prawie po pięć tysięcy ludzi w ciągu jednego dnia.

*

Adalbert Munzigura opowiada o atmosferze swoistej intymności, która poprzedzała masakry: „Władze dobrze nas przygotowały. Czuliśmy, że jesteśmy wśród swoich. Nigdy ani przez chwilę nie myśleliśmy, że możemy mieć problemy albo że poniesiemy karę. Kiedy samolot upadł, w radiu skandowano: »Cudzoziemcy wyjeżdżają. Mieli materialne dowody na to, co zamierzamy zrobić, i opuszczają Kigali. Tym razem nie obchodzi ich już los Tutsi...«. Widzieliśmy na własne oczy tę ucieczkę wozów pancernych główną ulicą. Nie słyszeliśmy już nawet najmniejszych wyrzutów. Po raz pierwszy w życiu nie czuliśmy nad sobą natrętnej kontroli białych. Padały kolejne słowa zachęty, upewniając nas, że mamy pełną swobodę, by wykonać dzieło. Mówiliśmy sobie: Cóż, to prawda, błękitne hełmy nic nie zrobiły w Nyamacie, tylko zawróciły, by dać nam święty spokój. Dlaczego mieliby wracać przed zakończeniem sprawy? Ruszyliśmy na dany znak.

Byliśmy pewni, że zabijemy wszystkich i nikt krzywo na nas nie spojrzy. Że żaden

biały czy ksiądz nie będzie niczego nam wypominał. Drwiliśmy sobie z tego, zamiast wykorzystać okazję. Czuliśmy się zbyt swobodnie w tej niecodziennej pracy, która tak dobrze się zapowiadała. Ale czas i lenistwo spletały nam przykrego figła. W gruncie rzeczy staliśmy się zbyt pewni siebie i zaczęliśmy się ociągać. Ta zbyt wielka beztroska okazała się dla nas zgubna”.

Zabawa w miasteczku

ALPHONSE: Pierwszego wieczoru, gdy wróciliśmy po masakrze w kościele, dowódcy zorganizowali nam wspaniałe przyjęcie. Zebraliśmy się wszyscy na boisku, jak rano. Strzelano z karabinów w powietrze, słychać było gwizdki i instrumenty muzyczne.

Dzieci spędziły na boisko wszystkie krowy, jakie udało im się zgromadzić w ciągu dnia. Burmistrz Bernard ofiarował *interahamwe* czterdzieści najbardziej dorodnych, żeby im podziękować. Inne krowy rozdał mieszkańcom, aby ich zachęcić. Spędziliśmy wieczór, zabijając krowy, śpiewając i gawędząc o kolejnych obiecujących dniach. To była świetna zabawa.

JEAN-BAPTISTE: Wieczorem nasza paczka spotykała się w kabarecie. W Nyarunazi albo w Kibungu, to zależało. Czasem odwiedzaliśmy się też w domach. Zamawialiśmy skrzynki primusa, piliśmy i żartowali, żeby odpocząć po pracy.

Niektórzy nie spali przez całą noc, opróżniali butelki i tak nabierali jeszcze większej ochoty. Inni się uspokajali i wracali do domów. Byli też napaleńcy, którzy po zakończeniu rzezi zabijali krowy, gdyż nie mogli się rozstać z maczetą. To dlatego nie można było zebrać krów w stada z myślą o przyszłości i trzeba było od razu zabijać je i zjadać.

Ja bratem udział we wszystkich tych rozrywkach, udając uśmiech i cały czas nadstawiając ucha. Opłaciłem chłopaka, żeby kręcił się wokół mojego domu, ale żyłem z duszą na ramieniu. Bałem się o życie mojej żony Tutsi, zwłaszcza podczas pijatyk.

FULGENCE: W kabarecie przechwalaliśmy się i urządzali konkursy. Wielu zawyżało liczbę zabitych, by zwiększyć swój udział w łupach. Inni ją zaniżali, bo krępowało ich opowiadanie o przelanej krwi i nie chcieli się tym chełpić. Jedni i drudzy oszukiwali i kpiliśmy z tych, którzy wyraźnie przesadzali. Jest jednak człowiek - poznaliśmy go w więzieniu - który chwali się, że w dniu wielkiej obławy zabił ponad trzydziestu, i nikt nigdy nie zarzucił mu kłamstwa.

PANCRACE: Wieczorem panował wesoły nastrój. Jednak niektórzy skakali sobie do oczu z zaciśniętymi pięściami albo z brudnymi jeszcze maczetami w ręku z powodu niewłaściwego rozdziału parcel. Gdy chodzi o parcele, toczono o nie twarde negocjacje. A że wielu piło primusa bez opamiętania, to mogło niepokoić.

Nocą dowódcy oddalali się i nie było już żadnego autorytetu. W hali targowej nikt nie

kontrolował sytuacji jak w ciągu dnia na bagnach. Było tam naprawdę gorąco i niebezpiecznie. Dlatego żony przychodziły po mężów i zabierały ich do domu, gdy usłyszały, że są w złym towarzystwie.

ADALBERT: Były włóczące się samopas dzieci - dzieci z ulic Nyamaty, dzieci porzucone wskutek jakiegoś nieszczęścia, które przychodziły na bagna. Małe dranie, że się tak wyrażę. Ale porządne dzieci rolników nie mogły tam chodzić. Co najwyżej uczestniczyły w grabieżach i bawiły się na wzgórzach.

ALPHONSE: Podczas rzezi nie słyszeliśmy o żadnym ślubie, żadnym chrzcie, żadnym meczu piłkarskim, żadnej mszy na Wielkanoc. Nie ciekawiły nas już tego typu uroczystości. Mieliśmy gdzieś świętowanie w niedzielę. Każdy miał pełne ręce roboty, każdy gromadził majątek, bawiliśmy się bez zbędnych ceregieli, piliśmy, ile kto chciał. Niektórzy popadali w pijaństwo.

Jeśli ktoś odczuwał smutek, bo kogoś zamordował, musiał uważać na słowa i ukrywać żal, by nie uznano go za współnika ofiar i by nie poniósł przykrych konsekwencji. Niektórzy pili i stawali się agresywni, bo w ciągu dnia nie zdołali nikogo zabić, inni wpadali w złość, bo zabili zbyt wielu. Musiałeś wszystkim pokazać, że się dobrze bawisz, bo inaczej mogłeś mieć kłopoty.

Clémentine: „Wieczorem rodziny słuchały muzyki, pieśni ludowych. Melodii z Rwandy albo Burundi. Dzięki wielkiej liczbie zrabowanych radiomagnetofonów we wszystkich domach rodziny mogły się cieszyć muzyką. Wszyscy czuli się bogatsi, na równi, nie było zazdrości czy rozpuszczania plotek i wszyscy sobie nawzajem winszowali. Mężczyźni śpiewali, wszyscy pili, kobiety zmieniały suknie trzy razy w ciągu wieczoru. To były zabawy huczniejsze niż wesela, co dzień odbywały się bachanalia”.

ÉLIE: Nikt nie oszczędzał już alkalicznych baterii, włączaliśmy po kilka odbiorników naraz. Wszędzie rozlegała się hałaśliwa muzyka. Słuchaliśmy muzyki tanecznej i tradycyjnych rwandyjskich pieśni, lubiliśmy też programy rozrywkowe. Nie słuchaliśmy już przemówień ani wiadomości.

W gruncie rzeczy mieliśmy gdzieś, co szykują w Kigali. Nie przejmowaliśmy się już nowinami z kraju; wiedzieliśmy przecież, że masakry trwają w całym regionie, bez przeszkód. Biedacy odczuwali poprawę sytuacji, bogaci się uśmiechali. Przyszłość wyglądała bardzo obiecująco. Cieszyło nas, że możemy razem świętować, najeść się do syta, porządnie napić i dobrze zabawić.

A młodym ludziom zdarzało się ukryć dziewczynę, którą sprowadzili z bagien, by kłaść się na niej za płotem czy pod jakimś krzakiem. Ale gdy mieli już tego dość albo kiedy

ludzie zaczęli między sobą szeptać, musieli ją zabić, żeby uniknąć poważnych konsekwencji.

Clémentine: „Dobrze znam całą paczkę. O tych gościach było głośno w Kibungo z powodu ich wyskoków, gdy za dużo wypili. Nim zaczęły się rzezie, mieli zwyczaj zaczepiać Tutsi. Kryli się gdzieś i wypadali zniecka, by z nich szydzić i wszczynać zwadę. Niektórzy z nich używali najgorszych słów, nazywali Tutsi karaluchami i im wygrażali. Zwłaszcza starsi, a młodszych to bawiło.

Toteż podczas masakry ta banda pchała się na bagnach do pierwszego szeregu. Szli razem dziarskim krokiem, wspierali się podczas całego dnia, wracali, uginając się pod ciężarem łupów. Wieczorem przechwalali się swoimi wyczynami, by zawstydzić tych, którzy nie mieli tak udanych łowów. Nigdy nie męczyło ich zabijanie, naigrawanie się z ludzi, picie, śmiech i zabawa. Wszyscy wyglądali na zadowolonych”.

LÉOPORD: Wieczorem opowiadaliśmy sobie o Tutsi, którzy stawiali opór; o tych, którzy dali się złapać, i o tych, którzy uciekli. Urządzano konkursy. Ludzie zakładali się, kto jutro więcej zabije, by wygrać dodatkową butelkę primusa. Lubiliśmy się przechwalać, nawet jeśli przegrałeś w rywalizacji, byłeś zadowolony.

Opowiadało się też o dziewczynach, które zgwałcono w krzakach. Nikt nie ośmielał się tego ganić. Nawet ci, których to oburzało, bo na przykład nie było na to błogosławieństwa Kościoła, mówili sobie, że to niczego nie zmienia, ponieważ dziewczyna i tak miała umrzeć.

Ja nie gustowałem w tego rodzaju rzeczach, niespecjalnie też lubiłem pić. Godziłem się trochę wypić dla towarzystwa i wcześniej wracałem do domu, około ósmej, by się położyć i być nazajutrz w formie. Ponieważ byłem dowódcą komórki, zawsze musiałem być w gotowości.

ADALBERT: Były dwie kategorie gwałcicieli. Tacy, którzy brali sobie dziewczynę i traktowali ją jak żonę do końca, czasem nawet podczas ucieczki do Konga. Ci korzystali z sytuacji, by spać z ładnymi dziewczętami Tutsi, ale w zamian okazywali im trochę względów. I tacy, którzy łapali je tylko po to, by zabawić się seksem tak samo jak trunkami. Ci gwałcili je przez krótki czas i zaraz potem oddawali innym, żeby je zabili. Nie było żadnych zaleceń ze strony władz, obie kategorie mogły robić, co chciały.

Rzecz jasna, było bardzo wielu takich, których to nie interesowało, nie mieli chęci lub byli przekonani, że to niewłaściwe. Bardzo wielu mówiło, że nie powinno się mieszać z sobą tego rodzaju igraszek i rzezi.

FULGENCE: Wieczorem nastrój był bardzo radosny. Ale nocą, gdy wracałem do domu, wszystko się zmieniało. Żona się mnie bała. Nie czuła się już bezpiecznie, po prostu nie

chciała już ze mną spać. Odwracała się na bok. Ranki i sen rozdzielały nas, nie myśleliśmy już w taki sam sposób. Wielu kolegów szukało seksu w zaroślach po prostu dlatego, że zmieniła się atmosfera w ich łóżku.

ÉLIE: Wracaliśmy do domów objedzeni i dobrze napici. Było wiele okazji, by spędzić wesoły wieczór w przyjacielskim gronie. Czas wymieszał w naszych głowach Dobro i Zło. Wydawał się nam sprzyjać.

Z żoną wszystko było normalnie. Wiedziała, że po całym dniu nie mogę się bez tego obyć.

Zanik sąsiedzkich więzi

Kiedyś niedzielne popołudnie na boisku w Nyamacie było świętem skórzanej piłki, korków, getrów i trykotów: świętem Bugesery Sport, drużyny z Nyamaty. Grała w drugiej lidze, w fioletowo-białych barwach i każdej niedzieli przyciągała kolumny tysiący widzów obu płci, którzy pod palącym słońcem schodzili tu, śpiewając na całe gardło, drogą przez las z Kibungo, Kanzenze, N'taramy, ze wszystkich wzgórz w promieniu trzydziestu kilometrów.

Boisko znajduje się na końcu głównej ulicy, niedaleko od targu i licznych kabaretów, do których zaglądali kupcy i grono stałych bywalców. Zależnie od pory roku jest grząskie lub kamieniste, okalają je krzewy, wśród których pasą się kozy i krowy, zostało wyrównane stopami dzieciarni, grającej tu na zmianę we wszystkie dni tygodnia, i jest wyposażone w przepisowe żeliwne bramki.

Gdy powstawała drużyna, zawodnicy grali kulą z liści bananowca, boso, w podkoszulkach, na środku głównej ulicy: to były pionierskie czasy. Później na świeżo wykarczowanym terenie podawali sobie kulę z pianki z materaca; potem - kauczukową. W tej drużynie znaleźli się zawodnicy z obu grup etnicznych; jej najlepsze czasy to lata siedemdziesiąte, epoka pierwszych skórzanych piłek i korków.

Tite Rushita, dawna gwiazda zespołu, który w piętnastu kolejnych sezonach grał w koszulce z numerem dziesięć, wspomina: „Był pewien bogaty kupiec imieniem François i właściciel dobrze prosperującej firmy transportowej Léonard. Ponieważ byli to ludzie wpływowi, wspierali drużynę, jak tylko mogli. Dostawaliśmy szaszłyki i słodkie napoje, po meczu odwożono nas na parcele. Ci, którzy mieszkali daleko, mogli wypożyczyć rower, by przyjeżdżać na treningi.

Kiedy odnieśliśmy wielkie zwycięstwo, dostawaliśmy nawet od zadowolonych kupców kozy albo worki z ziarnem. Zawód piłkarza przynosił wiele korzyści. Dzięki temu staliśmy się dość silni, by przez dwa sezony utrzymać się w pierwszej lidze”.

Schylek drużyny datuje się na początek lat dziewięćdziesiątych, gdy nasiliły się ataki *inkotanyich* i utworzono bojówki *interahamwe*. W Nyamacie, na rozkaz burmistrza Bernarda, zwolniono ówczesnego trenera Tutsi, kupcy przestali przychodzić na boisko, gracze Hutu, zapraszani na pierwsze parady i wiece, opuszczali mecze i treningi.

Tite Rushita jest ocalałym z bagien. Dziś dzieli swój czas między trenowanie

dzieciarni po południu i picie piwa Mutzig wieczorem w barze Chicago lub u Marie-Louise. W następujący sposób opisuje atmosferę panującą w drużynie na kilka miesięcy przed ludobójstwem: „Przed meczem były uśmiechy, na boisku ukrywali, co myślą, ale po meczu nie dzielili się już z nami trunkami. Gra drużyny kulała i przegrywaliśmy nawet z bardzo słabym przeciwnikiem”.

Gwiazdą ostatniego składu, który grał przed masakrami, jest Évergiste Habihirwe, następca Tite. On także jest Tutsi, ocalałym, i też jest lewonożnym piłkarzem. Nie chce już słyszeć o grze w piłkę, pomimo próśb przyjaciół i kupców. Schodzi ze swej parceli, w nieodłącznym kaszkiecie na głowie, by udać się do Marie, która prowadzi kabaret Zakątek Wdów w Kanzenze.

Mówi o tych czasach: „W niektóre dni zawodnicy Hutu opuszczali treningi, by brać udział w wiecach. Kiedy wracali, złośliwie kopali nas po kostkach. Więc podczas meczów przeważała gra siłowa, nie piękno futbolu. Napastnicy nie trafiali już w bramkę, cichły śpiewy. Coraz głośniejsze były kpiny i szmer niezadowolenia”

*

W owych czasach Évergiste hodował stado ankole na łąkach powyżej osady Kanzenze. O poranku pierwszego dnia rzezi pomyślał od razu, by schronić się u Ndayisaby, lewego obrońcy, jego najlepszego przyjaciela z drużyny, który jest Hutu i mieszka kilkaset metrów dalej. Opowiada: „Gdy wszedłem na jego podwórze, stał z maczetą w ręku, zobaczyłem, że zabił już dwójkę dzieci. Na szczęście miałem jeszcze dość czasu, by uciec. Gdy wróciłem do domu, było już za późno, nikogo nie zastałem”.

Mówi dalej: „Pobiegłem co sił do lasu, jak piłkarz. W ciągu dnia kryłem się na polu sorgo, nocą grzebałem w ziemi, szukając manioku. Słyszałem kolegów z drużyny, którzy krążyli wokół mojego domu. Tych samych, którzy wcześniej podawali mi piłkę. Krzyczeli: »Évergiste, ty karaluchu, obejrzelismy tyle trupów i wciąż nie natknęliśmy się na twoją głębę. Znajdziemy cię. Będziemy pracować nocą, jeśli trzeba, ale cię dopadniemy«. Wrzeszczeli i byli wściekli, że jeszcze nie udało im się mnie złapać. Zawodnicy byli najbardziej zawzięci na kolegów z drużyny. Byli okrutni, mieli serca twarde jak skórzana piłka”

W sklepiku Marie-Louise, gdzie wieczorem gromadzi się grupa przyjaciół Innocenta, Tite kiwa głową, słuchając wspomnień Évergiste’a. Mówi: „Mnie też piłkarze chcieli ściąć za wszelką cenę. Byli uparci, dzięki futbolowi zostali ważnymi *interahamwe*, musieli się wykazać jako zawodnicy. Musieli ściąć znanych graczy. Żaden zawodnik z drużyny nie podał ręki drugiemu. Żaden nie przytknął oka, żeby jakoś mu pomóc. Gdyby się ośmielił, zostałby ścięty zamiast niego”

Innocent dopowiada: „Byli silni i sławni dzięki futbolowi. Dzięki piłce odnieśli też wiele korzyści i nie chcieli zatrzymywać się na tak obiecującej drodze. Nie wiem, czy mogli sobie pozwolić na jakieś uchybienie, by pomóc dawnym kolegom, ale wiem, że żaden nawet o tym nie pomyślał”.

Dodaje z przekąsem: „Znamy wszakże jeden przypadek porozumienia między piłkarzami, jeden przypadek współpracy na setki zawodników. Był Tutsi, nazywał się Mbarushimana, zwano go Mushimana. Grał w drużynie z szóstką na koszulce. Podczas rzezi wydał sąsiadów Tutsi, wskazał ich kryjówki, poprowadził ekspedycję zabójców. Liczył na to, że ocali życie, pomagając w ścinaniu kolegów z drużyny. *Interahamwe* posłużyli się nim, a w końcu go zabili i zostawili na drodze. Nawet nie zepchnęli ciała do rowu”.

Drużyna zagrała ostatni mecz z Gashorą w lutym 1994 roku. Tej niedzieli było w niej pięciu Hutu, pięciu Tutsi i syn mieszanego małżeństwa - matka Tutsi, a ojciec Hutu - Célestin Mulindwa. Ten ostatni jest jednym z trzech ocalałych z drużyny i jedynym, który w sobotę i niedzielę grywa jeszcze w piłkę z kolegami nauczycielami i dziećmi ze swej osady.

Mówi: „Żyliśmy jak bracia, rozstaliśmy się jak wrogowie. Miłość do piłki pękła od pierwszego ciosu maczety. Widzi pan, nic nie oparło się ludobójstwu, ono ścierało nawet futbol, tak jak całą resztę...”

*

Dwieście metrów od boiska, na terenie parafii, między kościołem a szpitalem, mieścił się oddział położniczy Świętej Marty. Placówka zatrudniała trzy pielęgniarki, siedem mniej czy bardziej profesjonalnych akuserek i tyle samo salowych, Hutu i Tutsi bez różnicy. Było tam siedem łóżek dla chorych dzieci, cztery dla wcześniaków, dwa miejsca w izolatkach i wielka sala dla kobiet w położu.

Już w pierwszych godzinach rzezi, gdy ogromny tłum szuka schronienia w kościele, grupa kilkuset kobiet z dziećmi, w większości niedawno tu właśnie urodzonymi, przybywa na oddział, który przekształca się w kobiecy biwak. Drugiego dnia błękitne hełmy w wozach opancerzonych zabierają stąd białe siostry.

„Udzieliły nam wielu wskazówek i zostawiły zapasy płatków owsianych. Ale że nigdy nie widziałyśmy, jak to przyrządzają, nie mogłyśmy ich zjeść - wyjaśnia Valérie Nyirarudodo, jedna z rwandyjskich pielęgniarek. - Na miejscu pozostały panie z personelu, kobiety z noworodkami i te, które przyszły się tu schronić z małymi dziećmi. Byli też dwaj mężczyźni, nasz chłopak z magazynu i mąż jednej salowej, który urządził kryjówkę pod deskami. Mieliśmy w zagrodzie krowę, którą chłopak miał doić, by nakarmić maluchy”.

Valérie jest Hutu, pochodzi ze wzgórza Kanazi. Dziś mieszka w ładnym domku przy

zadrzewionej ulicy Nyamaty, gdzie czuje się spokojniejsza i gdzie wychowuje swe dzieci. Jest pełna godności, nieśmiała, mówi nienaganną francuszczyzną; całą swą energię poświęca pracy, jak kiedyś.

Ciągnie swoją opowieść o pierwszych dniach ludobójstwa na oddziale położniczym, którego nie opuściła. „Odjeżdżając, Szwajcarki dały mi klucz i nakazały, bym nie otwierała nikomu pod ich nieobecność. Jednak już pierwszego dnia zjawili się żołnierze i zażądali pieniędzy. Wracali codziennie. Pewnego ranka jakaś kobieta przyszła tu, by urodzić, było to pierwsze szczęśliwe wydarzenie czasów rzezi; ale że towarzyszyli jej groźni *interahamwe*, nie pozwoliliśmy jej wejść. Nocą i dniem jacyś młodzi ludzie kręcili się coraz bliżej budynku z maczetami w rękach.

Któregoś dnia *interahamwe* przywieźli jeepem jakąś pielęgniarkę, która miała wskazać im oszustki. Wiedziała, że rozdałyśmy wszystkie fartuchy z szaf młodym dziewczynom, bo mówiono, że nie zabiją personelu oddziału. Zdawałyśmy sobie sprawę, że sytuacja w Nyamacie i na wzgórzach staje się bardzo groźna, ale na naszym oddziale nie myślałyśmy o tym. Przyproceedziłam tu nawet moje dzieci, by były bezpieczniejsze.

W dniu straszliwej masakry w kościele pewien żołnierz przyszedł do nas po swoją teściową. Powiedział mi w tajemnicy; »Już tu nie wrócimy. To koniec. Idźcie stąd, uciekajcie, która tylko może«. *Interahamwe* krzyczeli pod drzwiami: »Niech wyjdą te, do których nic nie mamy, później nie będziemy mogli już nic dla was zrobić, wszystkie spotka ten sam los«. Słyszałyśmy krzyki na zewnątrz, patrzyłyśmy na poplamione maczety, wiedziałyśmy, że skończyli robotę w kościele, wszystko wskazywało na to, że nadszedł fatalny moment.

Pewien młody człowiek z Kanazi przybiegł prawie bez tchu, żeby się ze mną spotkać. Powiedział: »Twój brat przysłał mnie tu z Kanazi, żebym cię stąd zabrał. Masz większe szanse na zewnątrz, ty i twoje dzieci. Nie zwlekaj, bo wiesz, co się stanie«. Spojrzałam na młodą mamę, która właśnie urodziła w mojej obecności i leżała na materacu z noworodkiem i starszym dzieckiem. Zaczęłam się szybko modlić: Mój Boże, powiedz, które mam z sobą zabrać. Potem pomyślałam: Jeśli wezmę noworodka, nie wykarmię go, bo nie mam mleka. Jeśli wezmę starsze, będzie mi łatwiej. Przytroczyłam je sobie na plecach i powiedziałam żołnierzom: »To też moje dziecko«” Valérie patrzy z zewnątrz, z ogrodu, na to, co później się dzieje: „Otoczyli oddział położniczy. Rozerwali ogrodzenie, potem strzelili z karabinu w zamki. Mieli lśniące skórzane pasy z nabojami, ale nie chcieli marnować amunicji. Zabijali kobiety maczetami i pałkami. Kiedy najzręczniejsze dziewczyny zdołały się wymknąć w zamieszaniu i wyskoczyć przez okno, łapano je w ogrodzie. Kiedy jakaś mama ukrywała pod sobą dziecko, najpierw ją podnosili, potem zabijali dziecko, a w końcu ją samą. Nie zadawali

sobie trudu, by ścinać noworodki. Uderzali nimi o ścianę, żeby nie tracić czasu, albo rzucali je żywe przed siebie, na stos zabitych”

Kończy coraz bardziej słabnącym głosem: „Rano było tam ponad trzysta kobiet i dzieci. Wieczorem w ogrodzie zostało nas pięć ocalałych, które mogły się wykazać właściwym pochodzeniem. Oraz jedno dziecko: chłopak nazywa się Honnête i trafił później do swojej ciotki w Kenii”

*

Ludzie, którzy przeżyli wojnę, opowiadają często wspaniałe historie przyjaźni, wspominają niewiarygodne romanse, niezwykle gesty solidarności; mówią o zabawnych lub wzruszających relacjach między przedstawicielami dwóch wrogich obozów albo o prostych i pięknych czynach ludzi. Wszystko to staje się pożywką dla powieści, piosenek, filmów czy wieczorów wspomnień i przepelnia nas wiarą w ludzkość.

Na przykład niemieccy i francuscy żołdacy wymieniają się puszkami z pasztetem i rozmawiają z sobą, nie opuszczając okopów, algierscy powstańcy ukrywają kolonizatorów, z którymi grali w belotkę, minister rządu Vichy ocala przed deportacją kolegę ze szkolnej ławy. Podobnie działo się w Wietnamie, Irlandii, Libanie, Angoli, Salwadorze, Izraelu, Czeczenii w imię namiętności, wspólnego dzieciństwa, klanowych więzi, z przyczyn prostych i oczywistych, jak poczucie bliskości czy wierność.

W Bośni i Hercegowinie, w okresie nasilonych czystek etnicznych, w samym środku oblężenia Sarajewa czy Goražde, podczas masakr w mieście Foča czy Brčko wiedzieliśmy, że zakochani spotykają się ukradkiem, przechodząc linię frontu, że przemycą się kawę i stada baranów, że ludzie z obu stron wymieniają się informacjami na temat losu dzieci czy kochanek, że istnieją kryjówki, zdarzają się ucieczki i dochodzi do potajemnych spotkań. W oblężonym i ostrzeliwanym z dział Vukovarze ludzie wydostawali się z miasta wąską ścieżką przez pola kukurydzy, o czym dobrze wiedzieli serbscy czołgiści.

A po zakończeniu wojny ze zdumieniem dowiadywaliśmy się jeszcze o setkach sympatycznych historii, które trudno było nawet sobie wyobrazić.

*

W powiecie Nyamata nie było żadnych koleżeńskich odruchów między zawodnikami z drużyny ani śladu współczucia dla niemowląt. Żadnych więzi, przyjaźni czy miłości, które by przetrwały w gronie członków kościelnego chóru czy spółdzielni rolniczej. Żadnego aktu nieposłuszeństwa w osadach, żadnej tego rodzaju próby w grupie nastolatków.

Żadnej potajemnej drogi ucieczki, co można było przecież zorganizować na przestrzeni czterdziestu kilometrów ogromnych niezamieszkałych lasów, które dzielą bagna

od granicy z Burundi; żadnego konwoju, żadnego tajemnego przejścia ścieżkami pasterzy, żadnej sieci kryjówek, by umożliwić ocalałym ucieczkę. Czy to szczególna właściwość ludobójstwa? Tak, podstawowa, czego nie zmieniają zdarzające się tu i ówdzie zbyt rzadkie wyjątki.

*

Powiedzmy jedno: tę cechę należy podkreślać zwłaszcza dziś, gdy słowo „ludobójstwo” jest coraz bardziej rozmywane, używane w sposób błędny przez polityków, dziennikarzy, dyplomatów, kiedy mówią o masowych czy okrutnych rzeziach.

Wszystkie wojny rodzą w mniejszym czy większym stopniu barbarzyńskie pokusy. Krwawe szaleństwo walczących stron, żądza zemsty, rozpacz, strach, uczucie porzucenia, euforia zwycięstwa czy lęk przed porażką, paranoja, a zwłaszcza świadomość, że zbrodnia zasługuje na karę, sprzyjają tego rodzaju zachowaniom i ludobójczym aktom.

Jest to uczucie beznadziei, panika i chęć, by raz na zawsze z tym skończyć. Dlatego dochodzi do masakry cywilów albo więźniów, do gwałtów i tortur na wielką skalę, bezwzględnych deportacji i masowych zniszczeń. Nie zawsze są to akcje o charakterze wojskowym: może to być zrzucanie pestycydów na pola ryżowe, trzebienie stad bizonów, zmuszanie do przyjęcia innej wiary i obcej kultury.

Ale mieszanie tych zbrodni wojennych - nawet gdy w atmosferze zbiorowego szaleństwa zmierzają do zdziesiątkowania ludności cywilnej - z nieskrywanym i zorganizowanym zamiarem eksterminacji jest intelektualnym i politycznym nadużyciem, symptomatycznym dla naszej karmiącej się sensacją kultury.

A może to rozróżnienie jest tylko zabiegiem retorycznym? Czy da się wskazać fakt ludobójstwa w wojennym chaosie? Istnieje proste i rozstrzygające pytanie, które pozwala na to odpowiedzieć: kto w pierwszym rzędzie staje się ofiarą?

Podczas wojny zabija się najpierw mężczyzn, ponieważ to oni najlepiej nadają się do walki, potem kobiety, które być może im pomagają, chłopców, bo ich zastępują, a następnie starców, którzy doradzają. Podczas ludobójstwa celem stają się wszyscy, a zwłaszcza małe dzieci, dziewczęta i kobiety, gdyż uosabiają przyszłość.

Oto przykład ze Srebrenicy (który znam najlepiej), ale mógłby to być też Katyń, Grozny, My Lai, Basra czy Szatila.

Jedenastego lipca 1995 roku armia i serbskie bojówki z Bośni wkraczają do oblężonego miasta. Część ludności próbuje uciekać przez lasy, inni szukają schronienia w obozie wojsk ONZ w Potocari. W ciągu trzech dni około ośmiu tysięcy mężczyzn, w większości cywilów, zostaje schwytyanych w okolicy, wywiezionych ciężarówkami na pola i

drogi, a potem rozstrzelanych z ciężkich karabinów maszynowych i kałasznikowów. Setki z nich są w sadystyczny sposób upokarzane i torturowane przed śmiercią. Zatrzymywane na drogach kobiety są gwałcone; inne, uciekające wraz z dziećmi przez pola, zostają zabite albo okaleczone przez wybuchy min i granatów.

W tym samym czasie prawie wszystkie kobiety, dziewczęta i dzieci, około szesnastu tysięcy osób, przewozi się, całe i zdrowe, do Tuzli, na terytorium Bośni. Masakra w Srebrenicy była echem szalonego planu. Idea ludobójstwa przemknęła przez myśl serbskich nacjonalistów w Pale i Belgradzie, ale gdyby zdecydowali się wprowadzić ją w życie, w sposób systematyczny rozstrzelivaliby kobiety i dzieci, które gwarantują przetrwanie wspólnoty, w mieście Foča w kwietniu 1992, potem w Srebrenicy w lipcu 1995 roku.

Jednak czy próba odróżnienia od siebie masakr, gdy osiągają tak wielkie rozmiary, nie jest jałowym trudem? Czy nie jest nieostrożnością definiowanie epizodów historii, która nie ma końca? Czy cierpienie ofiar da się jakoś wymierzyć? Czy bestialstwo w Srebrenicy lub Groznm nie jest tak samo okrutne jak w Nyamacie? Dla tych, którzy to przeżyli, jest. Jednak w nas bestialstwo z Nyamaty budzi większy lęk, jest bowiem absolutne.

*

„Kiedy władze chcą obalić inne władze, by zająć ich miejsce, dochodzi do wojny. Gdy jakaś grupa etniczna chce pogrzebać inną, dochodzi do ludobójstwa. Ludobójstwo jest czymś więcej niż wojna, ponieważ jego zamiar trwa na zawsze, nawet jeśli nie zostało uwieńczone sukcesem. To zamiar ostateczny”, mówi Christine Nyiransabimana, chłopka. To odwołanie do „ostatecznego rozwiązania” zdumiewa.

Kobiety

PANCRACE: Myślę, że kobiety są posłuszne swym mężom. Kiedy mąż wychodzi rano zabijać i wraca wieczorem, przynosząc pożywienie, małżonka rozpala ogień pod garnkiem, wspiera go w tradycyjny sposób.

Żona mnie nie napominała, nie odmawiała mi w łóżku. Robiła mi tylko wyrzuty, kiedy przesadziłem.

FULGENCE: Żony czasem udzielały nam rad, czasem nas ganiły. Litowały się nad sąsiadkami Tutsi, przez kilka dni próbowały je ukrywać, ale same niczym nie ryzykowały, gdyby je złapano, ukarano by tylko ich mężów. Moja żona zbesztala mnie wiele razy, przestrzegała, że stracę głowę na bagnach. Odpowiadałem jej, że nie możemy już zatrzymać tych rzezi. Przede wszystkim prosiła, żebym lepiej milczał.

PIO: W oczach władz i sąsiadów to głównie mężczyzna odpowiada za dobre i złe uczynki w rwandyjskiej rodzinie. Jeśli kobieta chciała ukryć jakieś znajome Tutsi, musiała otrzymać na to zgodę męża, bo gdyby ją przyłapano, to właśnie męża sąsiedzi zmusiliby do ścięcia tych znajomych własnymi rękami, publicznie. To była ciężka kara. Nie było łatwo ściąć przed swym domem kogoś, z kim przez lata dzieliło się dobre i złe chwile.

Kobiety nie mogły całkiem same decydować, rzadziej je karano, były mniej aktywne. Podczas ludobójstwa stały w drugim szeregu.

Ale w obozie Tutsi było odwrotnie. Rzezie były groźniejsze dla żon niż dla mężów, zwłaszcza jeśli na koniec zostały zgwałcone i widziały na własne oczy, jak ścina się ich potomstwo.

JEAN-BAPTISTE: To wiejski zwyczaj, że kobiety nie wykonują żadnych ciężkich prac z użyciem maczety. To narzędzie mężczyzny. Dotyczy to tak samo upraw, jak i rzezi.

Toteż podczas masakr kobiety nadal szykowały rano posiłek, a w ciągu dnia chodziły plądrować domy. Gromadziły dobra, zamiast zbierać na polach, więc raczej je to cieszyło. Nie sprzeciwiały się niczemu, bo wiedziały, że tak czy owak operację trzeba doprowadzić do końca. Nie ośmielały się w żaden sposób sprzeciwiać okrucieństwu mężczyzn, nie odważały się nawet na prosty gest macierzyńskiej dobroci.

Nie znam ani jednej kobiety Hutu w N'taramie, która ukryłaby dziecko Tutsi, by ocalić je od masakry całej jego rodziny. Nawet całkiem małe, które się nosi na rękach, czy

niemowlę sąsiadów, które trudno rozpoznać, bo jeszcze ssie pierś. Żadna kobieta na wzgórzu nie oszukiwała, żeby kogoś ocalić, choćby na krótko.

ADALBERT: Kobiety wiodły bardziej zwyczajne życie. Sprzątały, pilnowały garnków, plądrowały okoliczne domy, gawędziły ze sobą i handlowały w mieście. Zdarzały się zawzięte żony, które chciały chodzić na ekspedycje i pomagać w rzeziach. Ale dowódcy tego zabraniali; napominali je, że na bagnach nie ma miejsca dla kobiet. Znam tylko jeden przypadek kobiety, która przyłożyła do tego rękę. To była porywcza osoba chcąca pokazać, na co ją stać.

Jednak jeśli kobiety wykryły przypadkiem grupę Tutsi w jakimś opuszczonym domu, to już inna sprawa.

Marie-Chantal: „Słyszałam różne nieprzyjemne pogłoski, wiedziałam, że jest dowódcą, ale kiedy wracał wieczorem do domu, nie pytałam go o nic. Zostawiał maczety na dworze. W domu nie okazywał już złości, mówił o Panu Bogu. Bawił się z dziećmi, przynosił prezenty i pocieszał słowem, to mnie uspokajało.

Nie znam żadnej kobiety, która narzekałaby na swojego męża podczas masakr. Były kobiety zazdrosne, kobiety, które drwiły, kobiety niebezpieczne, nawet jeśli same nie zabijały. Zagrzewały swych mężów do działania. Ważyły łupy, porównywały zdobycze. W tej nowej sytuacji paliła je zawiść.

Zdarzali się też mężczyźni, którzy okazywali więcej miłosierdzia Tutsi niż ich żony, nawet z maczetą w ręku. To, czy ktoś jest okrutny, zależy od jego serca, nie od płci”

JEAN-BAPTISTE: Podczas masakr z ust kobiet Hutu wypływało wiele słów zazdrości. Za sprawą uporczywych plotek o smukłych sylwetkach Tutsi, o tym, że mają gładką skórę, bo piją mleko i tak dalej. Kiedy zazdrosne kobiety zaskoczyły jakąś Tutsi szperającą w zaroślach w poszukiwaniu żywności, wołały sąsiadki, by z niej drwić, gdy tak pelza w łachmanach. Znamy przypadki, gdy kobiety schwytały sąsiadkę, sprowadziły ze wzgórza nad rzekę Nyabarongo, by wspólnymi siłami wrzucić ją do wody.

ALPHONSE: Moja żona mówiła: „No, naprawdę, chodzić tak dzień w dzień to jednak przesada. Trzeba by wreszcie skończyć z całym tym obrzydlistwem” i udzielała innych, podobnych rad, których nie słuchałem.

Któregoś wieczoru napomniała mnie: „Uważaj, Alphonse, wszystko, co robicie, będzie miało straszne konsekwencje, bo to nie jest normalne i przekracza ludzkie pojęcie. Cała ta krew zgotuje nam los, jakiego nie znamy. Będziemy potępieni”. Pod koniec nie chciała dzielić ze mną łóżka, spała na ziemi, mówiła: „Ścinasz tak wielu, że już nawet nie potrafisz ich zliczyć, ta niegodziwość budzi we mnie lęk. Stajesz się zwierzęciem, nie sypiam

ze zwierzętami”.

IGNACE: Nie słyszałem, by wiele kobiet protestowało, słysząc o zgwałconych Tutsi. Wiedziały, że ta praca na bagnach strasznie rozgrzewa mężczyzn. Godziły się z tą sytuacją, chyba że mężczyźni robili te świństwa niedaleko domów.

Jeśli żona chciała iść z oddziałem, mąż ją odsyłał, nakazywał zająć się obejściem i plądrowaniem domów.

ÉLIE: Żony nie miały okazji, by kłócić się z mężami o te masakry i seksualne igraszki. One także musiały zajmować się grabieżą, by zaspokoić głód, gdyż pola leżały odłogiem. Podczas masakr nie było żadnych sporów między mężczyznami i kobietami. Mężczyźni chodzili zabijać, kobiety chodziły przeszukiwać domy. Kobiety sprzedawały, mężczyźni pili, było tak samo jak wtedy, gdy pracowaliśmy w polu.

LÉOPORD: Rywalizowały z sobą w okrucieństwie, gdy zdarzyło im się zaskoczyć w opuszczonym domu kobiety i dzieci Tutsi. Ale ich głównym zajęciem były spory o znalezione tkaniny czy spodnie. Snuły się za ekspedycjami i ściągały ubrania z zabitych. Kiedy ofiara jeszcze oddychała, zadawały jej ostateczny cios jakimś narzędziem albo odchodziły i zostawiały ją, by wydała ostatnie tchnienie - same decydowały.

PANCRACE: Na wojnie zabija się tego, kto cię atakuje albo ci wygraża. Podczas tego rodzaju masakr zabijasz sąsiadkę Tutsi, z którą kiedyś słuchałeś radia, albo dobrą kobietę, która przykładała ci lecznicze rośliny na rany, czy własną siostrę, która wyszła za Tutsi. Niektórzy nieszczęśnicy musieli zabić nawet własną żonę Tutsi i dzieci na żądanie ogółu. Zabijasz tak samo kobietę, jak mężczyznę. Oto różnica, która wszystko zmienia.

FULGENCE: Kobiety Hutu siedzące w więzieniu w Rilimie są słabsze od mężczyzn, bo ich mężowie i bracia nigdy ich nie odwiedzają i nie przynoszą im jedzenia. Wiele z nich oskarżono z zawiści, żeby przejąć dobra ich nieżyjących mężów. Wiedzą, że utraciły przeszłość i nie mają przyszłości. Dlatego z większymi oporami przyznają się do swych czynów. Zrobiły to, co zrobiły, i milczą.

Christine: „Wiele kobiet Hutu maczało ręce w krwi ludobójstwa i dziś to mnie niepokoi. Mężczyźni są bardziej niż kobiety skłonni zabijać się nawzajem i potem godzić. Szybciej zapominają, łatwiej im dzielić rzezie i trunki. Kobiety tak łatwo nie ustępują, są bardziej pamiętliwe.

Ale znam też dobre kobiety Hutu, które nie ośmielają się wyrażać współczucia jedynie z obawy, by ich także nie oskarżono”.

Clémentine: „Mężczyźni, wracając z bagien, mieli wciąż okrucieństwo na twarzy. Byli gwałtowni i podejrzliwi, gdy w domu dochodziło do najmniejszej małżeńskiej sprzeczki.

Kobiety patrzyły na nich z obawą. Tylko niektóre były złe i szemrały na ich krwawe wyczyny, zwłaszcza jeśli, jak ja, miały męża Tutsi, którego tamci zabili.

Wiele kobiet mówiło, że cieszy je to wszystko, co zyskały dzięki masakrom, na przykład worki fasoli, ubrania i pieniądze. Same chodziły zbierać arkusze blachy i domowe sprzęty, pozostawione przez plądrujących mężów.

Sąsiadki przychodziły do mnie, żeby spytać, jak mogłam dać się zapłodnić jakiemuś karaluchowi. Przychodziły mnie przestrzec, że nie mam na co liczyć, gdy chodzi o mojego męża, bo ich mężowie zdecydowali zabić wszystkich Tutsi co do jednego. Radziły mi, bym przekonała synka, że nie miał ojca Tutsi, że ma w sobie tylko krew Hutu, bo jeśli kiedyś coś nieopatrznie powie, to skończy się to fatalnie.

W Nyamacie akuszerki wróciły po jatce do pracy na oddziale, jakby nie dostrzegały ścian poplamionych krwią. Odebrały nawet ostatnią pensję przed ucieczką do Konga.

Na wzgórzu Kibungo żadna kobieta nie zajęła się dzieckiem sąsiadki Tutsi, która została zabita. Żadna kobieta nie ukryła niemowlęcia pośród swoich dzieci. Nawet za pieniądze. Nawet głęboko w lesie. Dlatego, że te kobiety nie chciały słuchać wymówek mężów, gdyby ukarano ich grzywną za to wykroczenie”.

W poszukiwaniu Sprawiedliwych

Jest jedenasty kwietnia, pierwszy dzień polowań na Tutsi na wzgórzu N'tarama. Około południa Isidore Mahandago odpoczywa po poranku spędzonym na pielieniu pola, siedząc na krześle przed swym glinianym domem o blaszanym dachu. Isidore Mahandago jest rolnikiem Hutu w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, który przed dwudziestu laty przybył do wioski Rugunga, leżącej na wzgórzu N'tarama.

Uzbrojeni w maczety chwaci pną się pod górę ścieżką biegnącą obok jego domu i śpiewają. Isidore surowym tonem, jaki przystoi starszemu, woła ich i napomina publicznie, na oczach sąsiadów: „Wy, młodzi, jesteście złoczyńcami. Wracajcie do domów. Wasze maczety ściągną na nas wszystkich okropne nieszczęście. Przestańcie siać zamęt w wioskach. Wracajcie na wasze parcele i przestańcie prześladować sąsiadów”. Dwaj zabójcy podchodzą do niego ze śmiechem i nie odpowiadając słowem, zabijają go maczetami. W grupie jest syn ofiary, który, jak twierdzą świadkowie tej sceny, nie protestuje ani nie przystaje, by pochylić się nad ciałem ojca. Nasze zuchy kontynuują drogę ze śpiewem na ustach.

Isidore Mahandago jest Sprawiedliwym z N'taramy.

Nazajutrz, trzy kilometry dalej, w buszu na wzgórzu Kibungo Marcel Sengali pilnuje stada łaciatych ankole o rogach w kształcie liry. Rodzina Sengalego pochodzi z Kingabo, okolicy zamieszkaną przez Tutsi, z wyjątkiem trzech rodzin Hutu, w tym jego własnej, które w miarę upływu lat, przez naśladownictwo, zajęły się hodowlą. Stosunki między sąsiadami są tak dobre, że wypasają swe krowy w jednym wielkim stadzie.

Inna grupa uzbrojonych w maczety chwatów wspina się po zboczu i dostrzega go w dole pośród krów, w cieniu *umunzenze*. Zbiegają po stoku i nie pytając go o nic, zabijają maczetą. Przeszukując jego marynarkę, znajdują dokument tożsamości z informacją, iż zabity był Hutu, i przekonują się, że popełnili fatalny błąd.

Dwa dni później wdowa, Martienne Niyiragashoki, postanawia pójść ze swoimi sąsiadami Tutsi na bagna, gdzie próbują ukryć się przed hordami zabójców. Jej syn, Gahutu, jest jednym z nich. Dowiadując się o ucieczce matki na mokradła, wielokrotnie tam chodzi i wrzeszczy, że matka musi wyjść spod papirusów, i obiecuje jej ochronę. Martienne Niyiragashoki ani razu nie reaguje, w przeciwieństwie do innych Hutu, którzy schroniwszy się w pierwszych dniach na bagnach, najczęściej wraz z małżonkiem, porzucali swych

bliskich, wstawali z błota, żeby ocalić życie. Ciało Martienne odnaleziono o wiele później, poćwiartowane.

Marcel Sengali i Martienne Niyiragashoki są Sprawiedliwymi ze wzgórza Kibungu.

François Kalinganiré był wpływowym urzędnikiem w Kanzenze. W latach osiemdziesiątych był nawet burmistrzem Nyamaty, ale w 1991 roku utracił stanowisko, gdyż w czasach tworzenia partii politycznych wstąpił do umiarkowanego ugrupowania. Później prowadził ośrodek kształcenia zawodowego dla młodzieży w Mayange, bez większych przeszkód, choć jego przeciwnicy niczego mu nie zapomnieli.

Dwunastego kwietnia, w drugim dniu masakr, niektórzy z nich przychodzą w towarzystwie *interahamwe* do jego domu. Wiedzą, że ma żonę Tutsi, każą mu ją zabić i w ten sposób dowieść, że popiera plan ludobójstwa. Ze stoickim spokojem odmawia i nie pozwala im wejść do domu; sąsiedzi, przerażeni tą sceną, namawiają go, by posłuchał i poświęcił żonę. Nie ulega i próbuje pozbyć się intruzów. Zostaje zamordowany na podwórzu i pogrzebany na własnej parceli.

Jest Sprawiedliwym z Kanzenze.

Do tych osób, pochodzących z regionu i powszechnie znanych, trzeba dodać innych anonimowych Sprawiedliwych. W lesie na wzgórzu Kayumba, wznoszącym się nad Nyamatą, około pięciu tysięcy osób próbuje schronić się przed masakrą, wśród nich Innocent, Benoit, hodowca w filcowym kapeluszu, Théoneste, krawiec damski, i inni przyjaciele, którzy woleli nie chować się w kościołach czy na bagnach. W przeciwieństwie do swych rodaków, którzy leżeli nieruchomo w mule pod liśćmi papirusów, ci z Kayumby przez cały dzień biegali slalomem między eukaliptusami, uciekając przed myśliwymi i starając się przeżyć do zmroku.

Pewnej nocy Innocent natyka się na trzech nieznanym. Siedzą oparci o pnie drzew, odpoczywają w oczekiwaniu na świt. Innocent opowiada: „To byli Hutu, którzy nie pochodzili z tych stron. Zdaje się, że byli z Ruhengeri, mówimy na nich *abapagasi*, przychodzą nając się do pracy na dniówkę na dużych parcelach w zamian za pożywienie. Nie byli tu przez pomyłkę. Wypytałimy ich dokładnie. Powiedzieli, że są zielonoświątkowcami i Pismo Święte zakazuje im zabijania ludzi, których Pan Bóg stworzył na swoje podobieństwo. A ponieważ władze nie pozwoliły im opuścić gminy, poszli do lasu.

W chaotycznych gonitwach straciliśmy ich z oczu. Później próbowałem dowiedzieć się czegoś o ich losie, ale nikt nie potrafił niczego o nich powiedzieć. Czy zostali ścięci w całym tym zamieszaniu, czy zdołali uciec i wrócić w rodzinne strony? Nikt nie wie. W każdym razie w końcu w lesie zostało już tylko dwudziestu ocalałych i nie było ich pośród nich”.

Ci trzej pracownicy rolni to bezimienni Sprawiedliwi, zapewne jedni spośród wielu.

*

A kim są Sprawiedliwi, którzy to przeżyli? W istocie rzeczy, po wielu pobytach w Rwandzie i poszukiwaniach nie udało mi się jeszcze spotkać żadnego na trzech wzgórzach: Kibungo, N'tarama i Kanzenze. Toteż wspomnę raczej o ludziach, którzy zachowali się godnie. O Ibrahimie Nsengiyumua, zamożnym kupcu z Kibungo, który płacił grzywnę za grzywną, żeby nie musieć zabijać i rabować, tak iż się zrujnował, „gdyż zgromadził dość bogactw w swym życiu i nie zamierzał teraz topić ich we krwi”, wyjaśnia Innocent.

Valérie Nyirarudodo, która wyszła z oddziału położniczego wraz ze swoimi dziećmi i dzieckiem kobiety Tutsi. Pewna kobieta, mieszkająca na skraju lasu na wzgórzu Kayumba, która spoliczkowała swe dzieci, gdyż wydały Tutsi ukrywających się w buszu. Wiele osób, które, jak mówi Christine Nyiransabimana, młoda chłopka, „udawały, zostawały na tyłach i wracały wieczorem, nie plamiąc maczety... ale musiały pokazać się w grupie”.

*

Na koniec przywołajmy szczególny przypadek osób z mieszanych małżeństw, które ocalały żonę czy paru krewnych, pomimo bezlitosnych sankcji. W przeciwieństwie do nazistowskiej administracji, która na ogół klasyfikowała małżonków Żydów, biorąc pod uwagę ich wyznanie oraz wychowanie, żydowskie bądź chrześcijańskie, i na podstawie tego kryterium decydowała o ich losie, administracja Habyarimany stosowała znacznie prostszą i uzależnioną tylko od płci zasadę. Mężowie Tutsi musieli być zgładzeni i tak się działo bez żadnych wyjątków. Żony Tutsi mogły być oszczędzone, czasami wraz z dziećmi, jeśli ich mężowie Hutu godzili się na warunek, który tak opisuje Jean-Baptiste Murangira: „żony Tutsi, będące w związku z biednymi Hutu, musiały zostać zabite, ale ich dzieci mogły ocalić życie. Żony Tutsi, będące w związku z bogatymi Hutu, mogły ocaleć, jeśli ich mężowie byli bardzo aktywni podczas rzezi”.

Na przykład poborca podatkowy Jean-Baptiste Murangira ocala swoją żonę Spéciose Mukandahunga, sędziego Jean-Baptiste Ntarwandya ocala swoją żonę Drocelle Umupfasoni, emerytowany dowódca kompanii Marc Nsabimana ocala swoją żonę Annonciatę Mukaligo, dyrektor poczty i kilku innych notabli oraz zamożnych rolników ocalają swe żony. Pierwszy z nich składa spontaniczne zeznania na temat „roboty przy zabijaniu” i zostaje skazany na karę więzienia. Drugi, po dwóch latach spędzonych w zakładzie karnym, zostaje zwolniony dzięki korzystnym dla niego zeznaniom przyjaciół. Jego sprawę umorzono, ale nie wrócił już do pracy w sądzie. Trzeci, wielokrotnie wzywany na rozprawy, którego nazwisko przewija się w wielu procesach, nie jest obecnie ścigany. Bez względu na to, czy przyznali się do winy, czy

też wszystkiego wyparli, wszyscy trzej nie są zbyt elokwentni, gdy chodzi o wydarzenia z czasów ludobójstwa, i nie szukają powszechnego uznania.

Znajomi

ADALBERT: Można było nie zabić sąsiada czy kogoś, kto cieszył się ogólnym poważaniem albo wzbudzał litość, ale nie można go było ocalić. Można było pozwolić mu uciec, dopuścić się tego rodzaju oszustwa. Jednak nie przynosiło mu to wielkich korzyści. Na przykład ktoś znajdował osobę, z którą kiedyś po przyjacielsku wychylał primusa, i odwracał wzrok. Ale ktoś inny szedł z tyłu i się nim zajmował. W każdym razie w naszej grupie nigdy się nie zdarzyło, żeby ktokolwiek w ten sposób ocalał.

FULGENCE: Mogłeś kogoś oszczędzić, bo zawdzięczałeś mu przysługę albo na przykład dostałeś od niego krowę, ale zawsze ktoś szedł z tyłu i musiał go zabić. Na bagnach nie było wyjątku dla żadnego Tutsi. To, co musiało być wykonane, było wykonywane bez względu na okoliczności. Wiedziałeś o tym i, koniec końców, nawet nie próbowałeś podważać tej prawdy.

PIO: Szliśmy całą ekipą, natykaliśmy się na grupy uciekinierów, ukrywających się pod papirusami w mule, niełatwo było trafić na sąsiada. Jeśli na nieszczęście widziałem znajomego, na przykład kumpla, z którym grałem w piłkę, czułem ukłucie w sercu i pozwalałem go zabić koledze idącemu obok. Ale musiałem zrobić to dyskretnie, nie mogłem pokazać, że mam dobre serce.

Jeśli ktoś wahał się, czy zabić, bo poczuł nagle smutek, musiał absolutnie uważać na słowa: nie mówić, dlaczego się ociąga, by nie oskarżono go o pomoc w ucieczce. Jednak te uczucia nie trwały zbyt długo, zapominało się o nich.

ALPHONSE: Zabijaliśmy wszystkich, których wytropiliśmy w papirusach. Nie można było nikogo wybierać, dawać mu nadziei ani się go obawiać. Ścinaliśmy znajomych, ścinaliśmy sąsiadów, ścinaliśmy wszystkich.

Dziś niektórzy wskazują znajomych, których rzekomo oszczędzili, gdyż wiedzą, że ci już nie żyją i nie mogą zaprzeczyć. Rozpuszczają te plotki, by zyskać względy pokrzywdzonych rodzin, zmyślają historie o ocaleniu ludzi, by łatwiej móc wrócić do domu. Śmiejemy się, słysząc te niedorzeczne wykręty.

ÉLIE: Nie wybieraliśmy mężczyzn ani kobiet, niemowląt ani starców. Na koniec wszyscy musieli zostać zgładzeni. Czas nas gonił, robota nie mogła czekać, dowódcy powtarzali: „Kto opuszcza maczetę, bo zobaczył sąsiada, osłabia zapał kolegów”.

Tak czy owak, jeśli ktoś się zawahał, widząc znajomą twarz, robił to ze względu na samego siebie, nie ze względu na znajomego, bo wiedział, że to w niczym tamtemu nie pomoże. I tak zostanie zabity. Wręcz przeciwnie, może zostać ścięty w bardziej okrutny sposób, bo na krótką chwilę opóźnił robotę.

FULGENCE: Można było nie splamić krwią maczety, widząc znajomą osobę, jednak w ten sposób nie ocalałeś jej życia. Ten człowiek i tak musiał być ścięty przez następnych. Jeśli zaniechałeś sąsiada, mógł zostać ścięty powoli, a ty mogłeś zapłacić grzywnę, gdy ktoś to zauważył. Ostatecznie nikt na tym nie zyskiwał. Dla nas stawało się coraz bardziej jasne, że nie warto próbować oszczędzać sąsiada. Tylko raz widziałem tego rodzaju przypadek: kolega zabrał z sobą jakąś wysoką dziewczynę, żeby się z nią zabawić. Nie trwało to zbyt długo, najwyżej kilka dni, potem została zabita i wrzucona do rowu.

PANCRAE: Ponieważ Tutsi leżeli rozproszeni w gęstych zaroślach i w mule, wychodząc rano, nie myślałeś, na kogo trafisz. Zdawałeś się na przypadek i rozgarniałeś papirusy.

Niemniej zdarzali się ludzie, którzy chcieli zabić jakąś konkretną osobę. Widać było, że im zależy, by od tego zacząć. Szukali tak, jakby kogoś tropili, denerwowali się, że nie mogą znaleźć. Powodem mógł być jakiś dawny spór albo robili to dla zabawy. Najczęściej po to, by jeszcze tego samego wieczoru przywłaszczyć sobie dobrze położone pole, na które od dawna zerkali. Jeśli ktoś przynosił dowód, że ścinał jakąś ważną osobę, na przykład kogoś znanego albo kogoś, kto długo się wymykał, miał jako pierwszy prawo do jego parceli. Ale zwykle polowało się bez tego rodzaju myśli.

IGNACE: W każdym razie nie było żadnych wskazówek ze strony władz, by szukać w pierwszym rzędzie jakichś konkretnych ludzi. Wśród papirusów trzeba było ścinać wszystko, na co się natrafiło, bo nie było z góry wiadomo, kogo się tam znajdzie. Nikomu nie wolno było wybierać sobie ofiar i marnotrawić czasu kolegów. Gdy tylko trafiała się okazja, zabijałeś.

LÉOPORD: Wiedzieliśmy, że naszych sąsiadów Tutsi nie można oskarżyć o jakieś złe czyny, ale wszyscy myśleli, że Tutsi od zawsze ponoszą winę za nasze kłopoty. Nie patrzyliśmy już na nich jak na pojedyncze osoby, nie zastanawialiśmy się już, kim wcześniej byli; nawet gdy chodzi o kolegów. Stali się zagrożeniem większym niż wszystko, co przeżyliśmy razem, niż całe nasze dotychczasowe wspólne życie w gminie. Tak właśnie się wtedy myślało i zabijało.

ALPHONSE: Dowódca powtarzał: „Zabijcie wszystkich, oprócz kobiet Tutsi, których mężami są Hutu, jeżeli ci zachowują się przykładowie podczas rzezi”. To dlatego niektóre

Tutsi, na przykład żona Jeana-Baptiste'a, zostały oszczędzone i ich sąsiedzi dobrze o tym wiedzieli. Natomiast Tutsi, który miał żonę Hutu, musiał bezwzględnie zginąć, wraz z dziećmi, a także żoną, jeśli protestowała.

ÉLIE: Mogłeś próbować ocalić żonę Tutsi. Dawałeś szefowi albo agitatorom krowę, radio czy jakieś inne przedmioty, potem rozdawałeś niewielkie sumy pieniędzy tym, którzy kręcili się koło twojego domu. Ale jeśli odmawiałeś współpracy, to był próżny trud.

O męża Tutsi nie można się było targować, był na czele listy. Jeżeli jego żona wszczyniała dyskusję, ściągała na siebie niebezpieczeństwo. Ścinało się męża na jej oczach, żeby ją nastraszyć. Jeśli się upierała, ona też mogła być ścięta wraz z dziećmi.

ADALBERT: Gdy ktoś chciał ocalić swoją żonę Tutsi, musiał wykazać wielki zapał podczas rzezi. Jeśli ktoś okazywał słabość lub nieśmiałość, wiedział, że to oznacza koniec dla jego żony. Protesty czy opieszałość były dla niej wyrokiem.

JEAN-BAPTISTE: Znam przypadek chłopaka Hutu, który uciekł na bagna z Tutsi. Po dwóch czy trzech tygodniach zwrócili mu uwagę, że jest Hutu i może ocalić życie. Wyszedł z bagien, nie został ścięty. W dzieciństwie tak długo przebywał z Tutsi, że wszystko mu się pomieszało. Nie potrafił już dostrzec różnic między obiema grupami. Później nie brał udziału w rzeziach. To jedyny wyjątek. Był jedyną sprawną osobą, która nie musiała podnosić maczety, nawet w drugim szeregu. Widać było, że rozum go opuścił, i nie poniósł kary.

FULGENCE: Lepiej było zabijać nieznanym niż znanych ci ludzi, bo znajomi zawsze zdążyli przeszyć cię strasznym spojrzeniem, nim otrzymali cios. Spojrzenie nieznanego nie przeszywało ci umysłu czy pamięci w taki sposób.

Marie-Chantal: „Było czymś nie do pomyślenia, by kobieta mogła ukryć znajomą, nawet jeśli spotykała się z nią od dzieciństwa, nawet jeśli ta dawała jej pieniądze. Kiedy rozeszła się plotka, że kogoś ukrywa, musiała niezwłocznie wydać tę osobę sąsiadom, a czasem musiała nawet zabić ją własnymi rękami. To i tak nie było dla tamtej ocaleniem, najwyżej przeżyła jeszcze parę dni po nic, a ukrywająca ją kobieta musiała wykonać za mężczyzn najbrzydliwszą pracę”

Innocent: „Miałem bardzo bliskiego przyjaciela, któremu podarowałem krowę. Był zamożnym kupcem, człowiekiem uczynnym, bardzo serdecznym w każdej sytuacji. Kiedyś poprosił mnie, bym dał kilka dodatkowych lekcji jego synowi, który chciał zdać egzamin państwowy. Przychodziłem, uczyłem go, czułem się u niego swobodnie jak u siebie w domu. Wraz z żoną zapraszali mnie i moją żonę, razem jedliśmy, piliśmy, wymienialiśmy się prezentami.

W dniu rozpoczęcia rzezi, rzecz jasna, pomyślałem o nim. Poprosiłem go, by ukrył

moje dziecko. Nie podszedł do drzwi. Przekazał mi przez swojego boya, że nikt nie ma prawa wstępu na jego podwórze, że w jego domu nie ma już miejsca na żadne wspominki.

Ostatnio, podczas naszych wspólnych wizyt w więzieniu, widziałem go wiele razy. Uścisnęliśmy się na powitanie, zgodnie ze zwyczajem. Był miły jak kiedyś, powiedział: »Innocencie, jesteś dla mnie jak brat. Ocaliłeś życie i bardzo mnie to cieszy. Ale gdyby te czasy wróciły, postąpiłbym tak samo. W takiej sytuacji nie ma żadnego wyboru«»

Francine: „Byli zabójcy, którzy rozchylając kępy papirusów, szeptali imiona znajomych i obiecywali im, że ich ocalą. Ale był to tylko podstęp, by ich zachęcić do opuszczenia kryjówki w błocie i ściąć, nie tracąc czasu na szukanie. To było bardzo groźne, gdy wytropił cię ktoś znajomy, bo mógł przysporzyć ci zbędnych cierpień tylko dla widowiska”.

Berthe: „Kiedyś wiedziałam, że człowiek może zabić człowieka, ponieważ zawsze to robił. Teraz wiem, że nawet ktoś, z kim jadłeś z jednej miski czy spałeś, może bez trudu cię zabić. Najbliższy sąsiad może okazać się najstraszniejszy. Zły człowiek może cię zabić zębami, oto czego nauczyłam się w czasach ludobójstwa, i moje oczy nie patrzą już tak samo na oblicze świata”.

Mury więzienia

Kiedy czytamy relacje z wojny czy sami jej doświadczamy, dziwi nas, jak ludzie potrafią radzić sobie ze strachem lub jak bardzo, pomimo strachu, opierają się przed pokusą ucieczki, gdy mogą jeszcze to zrobić. Jest to opór, który się żywi odwagą, złudzeniami albo nadzieją, naiwnością i zaślepieniem, a także fatalizmem.

Na przykład do dzisiaj dziwi, że podczas drugiej wojny światowej wiele żydowskich wspólnot nie chciało przyjąć do wiadomości gróźb eksterminacji, które z dnia na dzień stawały się coraz bardziej konkretne, i zareagować, nim zamkną się bramy getta.

Równie niezrozumiały i zdumiewający jest nie tak odległy przypadek Bośni i Hercegowiny, upór, z jakim Muzułmanie ignorowali wyniszczające ataki i szerzące się czystki etniczne, nawet wtedy, gdy domy sąsiedniej wioski stawały w płomieniach i rozlegały się serie z karabinów. Zadziwia to niezłomne trwanie na miejscu, aż do nieuchronnej chwili, gdy pojawiają się ciężarówki z bojówkami. Podobnie było w Libanie, Sierra Leone czy Czeczenii, gdzie ludzie, wśród ruin, tak długo trzymali się „domowego zacisza” i odwlekali możliwą jeszcze ucieczkę.

Dlatego kiedy w pierwszych dniach lata 1994 roku, po zakończeniu ludobójstwa, dwa miliony Hutu powstały jak jeden mąż i w kilka dni, nagle, ruszyły na wygnanie, zrozumieliśmy, że strach przed karabinami i zemstą oddziałów FPR nie może być tego jedyną przyczyną. Odgadliśmy, nie próbując tego definiować, że potrzebny był inny psychiczny bodziec, znacznie skuteczniejszy niż sam instynkt przetrwania, by popchnąć w stronę Konga tak niezmierny tłum ludzi, porzucających swe domy, pola, profesje i nawyki, bez chwili wahania, nie oglądając się wstecz.

W dwa lata później te rodziny wróciły na swoje parcele, nie pozbywając się w obozach zbiorowego poczucia winy, wstydu, który dziś stapia się w jedno z obsesyjnym strachem przed oskarżeniem, karą i zemstą; który miesza się z traumatycznymi lękami Tutsi i tworzy ciężką atmosferę, opisaną w kilku zdaniach przez Sylvie Umubyeyi: „Jedni boją się wzgórz, gdzie powinni przecież uprawiać pola. Inni boją się spotkać Hutu na drodze. Są Hutu, którzy ocalili Tutsi, ale nie ośmielają się już wejść do swoich wiosek z obawy, że nikt im nie uwierzy. Niektórzy ludzie boją się odwiedzin lub nocy. Widuje się ludzi o twarzach, których się można przestraszyć, i którzy sami się boją, że mogą kogoś przestraszyć. Twarze podobne

do twarzy kryminalistów. Istnieje strach przed groźbami, udręka wspomnień!

Po ludobójstwie ludzie trwają w panicznym lęku. Cisza, którą to powoduje na rwandyjskich wzgórzach, jest niewysłowiona i dla świadka z zewnątrz nieporównywalna ze zwykłym milczeniem ludzi po zakończeniu wojen, może prócz tej w Kambodży. Tylko we własnym gronie ocalali potrafią przełamać to milczenie. Ale wśród zabójców, uniewinnionych czy skazanych, każdy bez wyjątku wybiera rolę niemowy albo człowieka dotkniętego amnezją.

*

W Nyamacie utrzymuję serdeczne, czasem przyjacielskie stosunki z kilkoma rodzinami Hutu. Rozmawiam z osobami oczyszczonymi ze wszelkich podejrzeń, z kobietami, na których nie ciąży najmniejsze oskarżenie. Rozmawiam za domem, z dala od spojrzeń, z krewnymi zabójców; wcześniej gawędziłem z byłymi notablami reżimu Habyarimany, którzy żyją teraz na wygnaniu w innych państwach Afryki czy w Europie i starają się zachować anonimowość. Wszystkie te rozmowy są niezbyt ciekawe, czasem absurdalne. Zła wola, kłamstwo i negowanie wszystkiego współzawodniczą z zażenowaniem i strachem, gdy tylko dotknie się tematu ludobójstwa.

Oto jeszcze jedna szczególna właściwość ludobójstwa: specyficzne świadectwa zabójców. Nie było trudno wydobyć szczere i precyzyjne wyznania od żołnierzy z Wietnamu, od oprawców z czasów wojny w Algierii czy argentyńskiej dyktatury, od bojówkarzy urządzających czystki etniczne w Bośni i Hercegowinie, od wąsatych strażników z obozów jenieckich w Iraku czy Iranie. Czasem sprawdzała się maksyma Oscara Wilde'a: „Daj człowiekowi maskę, a powie ci prawdę”

Ale po zakończeniu ludobójstwa skłonność notorycznych zabójców i ich rodzin do mijania się z prawdą przekracza wszelkie wyobrażenie i nie da się tego wyjaśnić wyłącznie obawą przed represjami.

*

Dlatego po rozmowach z ocalałymi udaję się do zakładu karnego w Rilimie, gdzie przetrzymywani są więźniowie z tego regionu; chcę ujrzeć twarze i usłyszeć głosy zabójców. Jedną z charakterystycznych cech opowieści ludzi ocalałych jest w istocie to, że kryjąc się podczas polowań w błocie, pod papirusami, prawie nigdy nie widzieli oprawców i opisują ich tylko na podstawie tego, co sobie wyobrazili, obserwując ich ruchy i słysząc ich krzyki.

Lecz udaję się tam z przeświadczeniem, że rozmowy w więzieniu będą tak samo trudne i jałowe jak rozmowy z rodzinami Hutu na wzgórzach. To fałszywe przeczucie; już pierwsze spotkania i dyskusje z więźniami wyglądają inaczej: są o wiele bardziej

bezpośrednie i konkretne. Kolejne wizyty potwierdzają, że tylko osadzony w więzieniu zabójca może opowiadać, że tylko zabójca, który nie miał jeszcze okazji powrócić na wolność, będzie mówił. Najwyraźniej im bardziej Hutu czują się wolni na swoich parcelach, tym mniej swobodne są ich wypowiedzi. I odwrotnie: im grubsze są mury więzienia, tym większa skłonność do snucia opowieści, mury chronią bowiem autorów słów przed zemstą ofiar, które mogłyby znać czyjeś nazwisko, chronią przed kolegami i sąsiadami, którzy mogliby oskarżyć ich o zdradę, czy dziećmi, które mogłyby odczuwać wstyd.

Dowód - kiedy Ignace, z racji swego wieku, jako pierwszy z paczki wyjdzie na wolność w styczniu 2003 roku, a zatem już po naszych rozmowach, i wróci na swoją parcelę w osadzie Nganwa, zacznie wyrażać niezadowolenie, że przyczynił się do powstania tej książki, oraz podważać to, co przedyskutowaliśmy i zarejestrowaliśmy w ogrodzie obok więzienia w Rilimie.

*

Szybko jednak okazuje się także, że te mury wcale nie wystarczą. Trzeba też podjąć dialog z zabójcą w szczególnym momencie jego więziennego życia, to znaczy wówczas, gdy śledztwo w jego sprawie jest już zamknięte i został skazany na dłuższą czy krótszą karę więzienia. W chwili gdy wie, że jego opowieść nie może już wpłynąć na decyzję wymiaru sprawiedliwości, kiedy myśli, że długo jeszcze nie zetknie się ze światem zewnętrznym.

A także wtedy, gdy zrobił już pierwszy krok i zaczął składać zeznania - choćby najbardziej oględne - to znaczy zgodził się opisać niektóre ze swych czynów i, w mniejszym czy większym stopniu, przyznał się do dobrowolnego udziału w masakrach. W istocie jest rzeczą niezbędną, by zabójca ujawnił, że był w to zamieszany, bez względu na to, jakie są jego rachuby i nadzieje. Kiedy wszystkiemu zaprzecza lub w sposób mechaniczny zrzuca odpowiedzialność na innych, kiedy się wypiera choćby najmniejszej inicjatywy, jeśli neguje, by kiedykolwiek świadomie poparł plan i czerpał jakieś zyski czy przyjemność z jego realizacji, słyszymy tylko litanie dobrze znane z rozmów z rodzinami na wzgórzach: „To nie ja, to inni” „Nie byłem tam, nic nie widziałem” „Gdyby Tutsi się nie ukrywali, nie doszłoby do tego”, „Nie chciałem, ale zostałem zmuszony” „Gdybym tego nie zrobił, ktoś inny zrobiłby coś gorszego” „Nie uczyniłem nic złego. Dowód? Zawsze miałem przyjaciół Tutsi”

Toteż ważne jest, by zwrócić się do grupy takiej jak paczka kumpli z Kibungo, związanych z sobą od samego początku, którzy zgadzają się mówić i ustalają między sobą warunki przeprowadzania wywiadów, konsultują się między spotkaniami - i w ten sposób wydobyć wspomnienia zabójców.

Cierpienia

ADALBERT: Niektórzy bardzo maltretowali ludzi, bo zabijali zbyt wielu. Zasmakowali w rzeziach. Musieli się odurzać jak ktoś, kto potrzebuje coraz mocniejszych trunków.

Zwykła zwierzęca śmierć już ich nie zadowalała, czuli się sfrustrowani, gdy po prostu zabili jakiegoś Tutsi. Chcieli mocniejszych wrażeń. Czuli się wręcz dotknięci, kiedy Tutsi umierał bez słowa. Dlatego nie zadawali już ciosów, które od razu powodują śmierć. Chcieli rozkoszować się każdym uderzeniem i słyszeć krzyki.

FULGENCE: Znęcanie się nad ofiarami wskazywało, czy ktoś jest z natury dobry, czy zły. Byli okrutni ludzie, którzy zachęcali nas do zadawania cierpień. Ale tylko niewielu. Większość czuła się skrupowana, widząc te straszne męki.

Chyba że chodziło o jakiegoś uciekiniera, rzecz jasna, za którym musieliśmy w pocie czoła uganiać się po bagnach. Zwykle po prostu wykonywaliśmy swoją pracę.

Jednak zauważyłem, że ci, którzy nosili strzelby, nigdy nie celowali w zbiegów, gdy chcieli rozproszyć ich przed obławą. Strzelali w powietrze, nie chcąc zbyt szybko zadawać im śmierci.

PANCRAE: Torturowanie to było dodatkowe zajęcie, wynik czyjejś osobistej decyzji albo decyzji jakiejś grupki osób. To był rodzaj rozrywki, przerwy w długiej pracy. Ale nakazywano nam po prostu zabijać.

Byli tacy, którzy zabijali powoli, bo byli wystraszeni, inni robili tak ze słabości, kolejni z niedbalstwa, jeszcze inni z okrucieństwa. Ja uderzałem szybko, nie zastanawiając się nad tym. Nie myślałem o tych diabelstwach, spieszyłem się, żeby wykonać plan dnia.

ALPHONSE: Niektórzy zabawiali się maczetą z Tutsi, żeby pokazać wszystkim swoją wprawę. Popisywali się, by móc później przechwalać się w barze. Byli tacy, którzy opóźniali ostateczny cios, po prostu żeby ukarać. Jeśli Tutsi, uciekając, bardzo kogoś zmęczył, ten droczył się z nim czubkiem maczety, to mogło być dla tamtego straszne. Tak jakby dla przykładu, tyle że nikt żywy nie mógł już tego widzieć.

JEAN-BAPTISTE: Notabłom i znanym kupcom zadawało się straszne cierpienia. By ich ukarać za jakieś dawne przewiny albo żeby zdradzili, gdzie ukryli oszczędności. Cierpiały też osoby, z którymi ktoś miał poważny spór, na przykład gdy szło o jakąś nieuregulowaną transakcję albo zatarg z powodu szkód wyrządzonych przez krowy. Ale zdarzało się to

rzadko. Nie było żadnych tego rodzaju poleceń. Dowódcy powtarzali: „Zabijajcie, byle szybko, to wszystko. Nie ma się co guzdrać”.

W Kongu, gdy mieliśmy już wracać, zdarzali się winowajcy, których szaleństwo popchnęło do jeziora Kiwu. Ze strachu rzucali się w głębiny. Myśleli, że w wodzie znajdą łagodniejszą śmierć niż na wzgórzach. Gdy zbliżała się chwila powrotu, wszędzie krążyły bardzo groźne pogłoski. W panice wyobrażali sobie ze szczegółami okropną śmierć, gdyż sami w okrutny sposób ścięli wielu ludzi. Ale to były wyjątki.

PIO: Były cierpienia zadawane celowo i zadawane bez celu, że się tak wyrażę. Wielu Tutsi kończyło wśród wrzasków, bo ktoś okaleczył ich niewprawną ręką. To byli ranni, których zostawiano się z pośpiechu, przez nieuwagę, bardziej z obrzydzenia tym, co się zrobiło, niż z okrucieństwa. Były to cierpienia biorące się z niedbalstwa.

LÉOPORD: Widziałem kolegów, którzy zatrzymywali się nad swoją zdobyczą, by dłużej się nad nią pastwić.

Ale często zostawiali niedobitą osobę tylko dlatego, że spieszili się plądrować domy. Zadawali na przykład pierwszy cios maczetą, dostrzegali rower i hop, woleli wsiąść na niego, niż dokończyć robotę. Podobnie gdy zobaczyli dobre arkusze blachy na dachu. To była raczej chciwość niż okrucieństwo. Ja miałem czas na wszystko. Uderzałem celnie i szybko, tylko żeby zakończyć sprawę.

ÉLIE: Znęcanie się to był wybór każdego z osobna, jeśli poza tym normalnie wykonywał pracę. Agitatorzy nie dawali żadnych konkretnych wskazówek, by nas do tego zachęcać czy tego zabraniać. Powtarzali: „Po prostu zabijamy i tyle”. Nas to nie interesowało. Jeśli jakiś kolega zabawiał się z ofiarą, szliśmy dalej. Ale muszę powiedzieć, że zbyt często zaniedbywało się dobijanie rannych. Nawet jeśli nie robiono tego z okrucieństwa, to na pewno też nie z dobroci.

ALPHONSE: Nikt nie oszczędzał niemowląt. Zabijało się je o ściany i drzewa albo od razu ścinało. Ale były zabijane szybciej, bo były małe i dlatego, że zadawanie im cierpień niczemu nie służyło. Słyszałem, że w kościele w Nyamacie polewano dzieci benzyną i palono, może to prawda, ale tylko kilkoro w zamęcie pierwszego dnia. Później już tak nie było. W każdym razie ja niczego takiego nie widziałem. Niemowlęta nie mogły przecież zrozumieć, z jakiego powodu cierpią, nie warto było tracić dla nich czasu.

FULGENCE: Na widok Tutsi, którzy pełzają po bagnach, koledzy się śmiali. Niektórzy pozwalali im jeszcze się czołgać dla większej zabawy. Ale nie wszyscy tak robili. Inni mieli to gdzieś, nie tracili czasu na tego rodzaju żarty. Jeśli łatwiej było dopaść ich, gdy pełzali, tym lepiej, to wszystko.

ADALBERT: Kiedy widzieliśmy grupkę uciekinierów, którzy pełzając w błocie, próbowali się wymknąć, mówiliśmy, że to węże. Przed masakrami wszyscy nazywali ich karaluchami. Ale później lepiej pasowała do nich nazwa węże, z racji ich zachowania, albo mówiło się na nich łajdaki czy psy, bo nie lubimy psów, mamy je za nic.

Dla części z nas to były tylko żarty bez znaczenia. Chodziło nam tylko o to, by nie pozwolić im uciec. Ale innym te obelgi dodawały zapалу. Ułatwiały robotę. Sprawca czuł się mniej skrępowany i łatwiej było mu wyzywać i ścinać ludzi pełzających w łachmanach niż ludzi stojących na dwóch nogach jak trzeba. Ponieważ w tej pozycji byli mniej do nas podobni.

Clémentine: „Czasem mężczyźni wracali z ekspedycji, prowadząc przed sobą jakiegoś uciekiniera. Zamykali go w hali targowej, zabierali mu zegarek i buty. Czasem też ściągali z niego ubranie. W każdym razie na początku masakr, bo później uciekinierzy byli tak obdarci, że nie mieli już nic, co można by im zabrać.

Ci skazańcy to byli zwykle znajomi, którzy próbowali przechytrzyć innych. Na przykład podawali się za Hutu. Albo osoby, które wcześniej były bogate i ważne. Czy też po prostu sąsiedzi, nielubiani z powodu dawnych kłótni.

Zabójcy wzywali ludzi, żeby na to patrzyli. Wszystkie kobiety i dzieci gromadziły się na placu, żeby oglądać spektakl. Niektórzy stali z butelką w ręku, a kobiety z niemowlętami na plecach. Zabójcy obcinali nieszczęśnikom kończyny, miażdżyli kości pałką, jednak ich nie zabijali. Chcieli, żeby żyli. Chcieli, żeby widzowie wyciągnęli lekcję z tych męczarni. Ze wszystkich stron rozlegały się krzyki. To były hałaśliwe kiermasze, bardzo rzadkie i ściągające tłumy”.

Jean: „Nie było już szkoły, rozrywek, grania w piłkę ani niczego takiego. Gdy dochodziło do publicznego ścinania, jak w kościele czy w hali targowej, schodziły się wszystkie dzieci. Nie było żadnego przymusu. Gdy ktoś o tym nie wiedział, przyciągały go krzyki. Przyglądaliśmy się dokładnie krwawej scenie, przeciskaliśmy się do przodu albo staliśmy z tyłu, jak kto wolał. To było nasze jedyne wspólne zajęcie”.

Sylvie: „Wszystkie małe dzieci oglądały publiczne egzekucje. Nawet jeśli dziś nie chcą o tym mówić, czasem powiedzą coś, co dowodzi, że brały udział w tych okrutnych kaźniach. Musiały patrzeć dla przykładu i dla rozrywki. Najstarsze, powyżej dwunastu czy trzynastu lat, mogły czasem same brać w tym udział. Nawet jeśli nie zabijały własnymi rękami, szły z psami, by szukać w buszu kryjówek uciekinierów. Tym zajmowały się przez wszystkie te tygodnie bez szkoły, bez zabaw, bez kościoła. A także grabieże.

Nie da się ustalić ich liczby, ale wiele dzieci zabijało. Niektóre opowiadają, że czuły

obrzydzenie, że się bały, ale zostały zmuszone przez tatę czy mamę do ścinania maczetą. Większość pogrąża się w całkowitym milczeniu, gdy tylko usłyszy o masakrach, nawet z dawniejszych lat. Kiedy ktoś milczy, nie można nic dla niego zrobić ani nic zmienić”

LÉOPORD: Pewnego dnia radca gminy oświadczył: „Leżąca kobieta nie ma przynależności etnicznej”. Po tych słowach mężczyźni zaczęli chwytac dziewczęta i sprowadzac je sobie jak żony na parcele. Wielu obawiało się reprimendy żon i przymuszało dziewczyny podczas pracy na bagnach, nawet nie chowając się przed kolegami za kępą papirusów.

Są dziewczęta, które dzięki temu ocalały życie lub mogły żyć dłużej. Zwłaszcza jeśli dostały się w ręce żołnierzy, którzy nie mieli nikogo w domu. W rękach rolników to, rzecz jasna, nie mogło długo trwać.

Clémentine: „Mój mąż Tutsi schronił się na bagnach. W pierwszym tygodniu rzezi urodziłam dziecko w jakimś porzuconym domu, ponieważ nasz spalili. Przychodzili tam sąsiedzi i zgrzytali zębami na widok noworodka. Złorzeczyli pod drzwiami: »Ta kobieta jest z naszych, ale jej syn jest Tutsi. Nie ma dla niego miejsca pośród żywych«. Gdy robili się zbyt niebezpieczni, musiałam kłaść się pod nimi, żeby ocalić małego. Jako że opowiadali sobie o wszystkim nawzajem, to się powtarzało”.

PANCRACE: Wieczorami, także wtedy, gdy jeszcze się to nie zaczęło, mówiliśmy nieraz: „Spójrzcie na tych Tutsi, jacy są wysocy. To dlatego są tacy dumni i uważają nas za coś gorszego. Dlatego ich dziewczęta mają takie powodzenie”. Toteż gdy wybiła godzina rzezi, zabójca, który schwytał w trzcinach jakąś w miarę wysoką ofiarę, mógł rzucić złe spojrzenie i ciąć ją maczetą w nogi, na przykład w okolicy kostek, lub w ramiona i zostawić tak, skróconą, nie zadając ostatecznego ciosu. Nie musiała nawet być specjalnie wysoka, wystarczyło, że to była kobieta.

Faceci w dobrej formie

Do więzienia w Rilimie prowadzą dwie drogi. Jedna z nich to piaszczysty szlak, który łączy z sobą drzemiące w letnim skwarze osady. Druga, ścieżka dla pieszych, przecina sawannę i pozwala rodzinom z trzech wzgórz udać się do zakładu, co zajmuje siedem do dziesięciu godzin marszu, w zależności od ciężaru tobołków, które przynoszą tu w dniach odwiedzin.

Więzienie z beżowej cegły wznosi się jak forteca na wzgórzu, skąd rozciąga się widok na jezioro Kidogo i jeszcze dalej, na bagna nad rzeką Nyabarongo, która potem skręca, by za chwilę znów pojawić się w pejzażu. Wszędzie wokół widać niezmierzone, opustoszałe polacie ziemi i krzewów, na których zielenią się gdzieniegdzie oazy pól kukurydzy czy wspartej na tyczkach stoickiej fasoli. Zakład w Rilimie góruje nad najbardziej suchym rejonem Bugesery.

W książce *Nagość życia* napisałem: „Mury więzienia, bez budki strażniczej i zwojów drutu kolczastego, stoją na wzniesieniu. Pomalowana na pomarańczowo żelazna brama jest uchylona i upoważnieni więźniowie mogą przez nią przechodzić. Pięćdziesiąt metrów za bramą słyszemy ogłuszający zgiełk orkiestr, które rywalizują ze sobą, grając różne rytmy i różne melodie, i czujemy duszny odór potu, pewnie także garkuchni oraz nieczystości. Jedno spojrzenie za drzwiami pozwala się domyślić, jak nieopisany ścisk panuje wewnątrz tych murów”.

Dwa lata później ten opis nie wymaga żadnych poprawek. Nadal liczba więźniów sięga siedmiu i pół tysiąca i gnieźdzą się oni w budynkach wzniesionych z przeznaczeniem dla trzykrotnie mniejszej liczby osadzonych. Śpią w pięciusetosobowych blokach, na piętrowych metalowych łóżkach, najczęściej wyłożonych kartonami i przykrytych kocem. Około pięciuset więźniów śpi na dziedzińcu, gdzie od deszczu chronią ich plastikowe płachty.

Jednak mimo przeludnienia warunki sanitarne w więzieniu znacznie się poprawiły, co jest skutkiem polityki narodowego pojednania, międzynarodowego wsparcia finansowego dla tego rodzaju zakładów oraz codziennej obecności na miejscu przedstawicieli Czerwonego Krzyża, którzy zaglądają tu znacznie częściej niż do wiosek na okolicznych opustoszałych równinach, zwłaszcza w czasie epidemii malarii i wielkich susz. Administracja dostarcza mąkę kukurydzianą oraz mąkę z sorgo, fasolę, drewno na opał, a także przez dwie godziny

dziennie zapewnia dopływ elektryczności. Czerwony Krzyż uzupełnia zaopatrzenie, dostarczając olej, środki czystości i koce, lekarstwa, a także rozdając więźniom bardzo dobrze skrojone uniformy w jaskraworóżowym kolorze.

Więźniowie mają pobudkę o piątej trzydzieści. Ci, którzy zaczynają dzień od modlitwy, budzą jedni drugich pół godziny wcześniej. O szóstej zaczyna się noszenie wody z pobliskiego jeziora, niekończąca się kolumna mężczyzn z kanistrami na plecach przynosi codziennie około czterdziestu tysięcy litrów przeznaczonych do picia oraz toalety. Jedyne posiłki dziennie wydaje się od dziewiętej do piętnastej kolejno mieszkańcom wszystkich bloków. Trzeba do tego dodać prowiant od rodzin i z czarnego rynku.

W tym samym czasie ekipy więźniów wyruszają do pracy na siedemdziesięciu hektarach ziemi należącej do zakładu karnego, na okolicznych budowach, w kuźniach, w zakładach zegarmistrzowskich, mechanicznych, fryzjerskich. Ta praca, dobrowolna, przynosi niewielki dochód, oprócz, rzecz jasna, pracy w więziennej kuchni, gdzie mogą się obłowić szczęśliwi wybrańcy oraz więźniowie udzielający innym porad prawnych, dawni dowódcy i agitatorzy, którzy przychodzą pobrać wprost z kotłów wynagrodzenie w naturze. W każdym dniu tygodnia inny kaznodzieja odprawia nabożeństwo dla wiernych swojego kościoła, a w niedzielę nabożeństwa odbywają się w dwugodzinnych odstępach.

Odwiedziny mają miejsce dwa razy w tygodniu. Ale po wielu godzinach marszu i długim oczekiwaniu przed bramą rodziny mogą rozmawiać z więźniami najwyżej kilka sekund i panuje tu wtedy nieznośny harmider, słychać głośne wołania, rozkazy, w pośpiechu przekazuje się wiktuały. Większość więźniów odwiedzono tylko raz czy dwa, od chwili gdy się tu znaleźli. Ten brak kontaktu ze światem zewnętrznym wzmacnia poczucie izolacji.

*

Członkowie paczki z Kibungo są w niezłej formie fizycznej i psychicznej, dobrze odżywieni i schludni. Cierpią z powodu zagęszczenia, ale nic szczególnie im nie doskwiera i nie brakuje im niczego, co by mogło zmienić ich nastawienie do nas.

Za radą Innocenta kontaktuję się najpierw z dwiema osobami, mającymi wpływ na grupę, Jeanem-Baptisteem Murangirą, który był kiedyś urzędnikiem w N'taramie, a dziś prowadzi stowarzyszenie skruszonych więźniów, oraz Adalbertem Munzigurą, niegdyś dowódcą *interahamwe* w Kibungo, dziś dyżurnym odpowiedzialnym za bezpieczeństwo w więzieniu, który i wówczas, i obecnie jest szefem całej bandy. Po uzyskaniu ich zgody zbieramy całą paczkę, by przedstawić nasz projekt i przedyskutować reguły.

My zobowiązujemy się, że: niczego z treści tych rozmów nie wyjawimy sędziom, adwokatom, dyrekcji zakładu ani ich przyjacielom z kabaretu w Nyamacie czy krewnym ofiar

albo ich własnym rodzinom; nie opublikujemy niczego przed końcem ich procesu i ostatecznym wyrokiem, tak by te opowieści nie mogły im w niczym zaszkodzić ani pomóc.

Nagrodą za ich zbiorową współpracę będą cukier, sól, mydło, słodkie napoje, wskazane przez nich lekarstwa. Inna forma wymiany, którą bardzo cenią, polega na dostarczaniu im wieści od rodzin, do których zaglądamy po południu, by przekazać wiadomości od więźniów.

Natomiast oni mogą się wycofać w dowolnym momencie, na pewien czas albo definitywnie, bez konsekwencji dla kolegów. Nikt z nich tego nie robi.

Muszą zająć wspólne stanowisko, jeśli nie zechcą odpowiadać na niektóre pytania. Kiedy uznają je za niewłaściwe czy zbyt krępujące, mają wyrazić swój sprzeciw, odpowiadając w kilku słowach lub milcząc; jeśli to możliwe, powinni wyjaśnić przyczyny tej odmowy, ale zobowiązują się, że nie będą kłamali i zmyślali.

Ta zasada, na pozór prosta i od razu zaakceptowana, staje się w początkowym okresie tematem wyczerpujących, czasem pełnych napięcia dyskusji, gdyż rozmówcy nie mogą się powstrzymać od prezentowania w naszej obecności - Innocenta i mojej - swojej linii obrony, opracowanej na użytek wymiaru sprawiedliwości, rodzin czy własnego sumienia, i mniej czy bardziej spontanicznie lub ze względów taktycznych zabarwiają swoje historie zbyt dużą liczbą kłamstw. Zmusza mnie to zresztą do przerywania rozmów z dwoma członkami grupy, wyłączenia ich, bowiem upór, z jakim snują nieprawdopodobne opowieści, negują oczywiste fakty, popisując się głupawym nihilizmem, sprawia, że rozmowa staje się jałowa.

Lecz po licznych tego rodzaju nieporozumieniach i ponawianych próbach reszta powoli godzi się nie „mijać zygzakami z prawdą”, co najwyżej milczeć, i ostatecznie coraz rzadziej to robią. Zresztą każdy „mija się zygzakami z prawdą” na swój własny sposób, jedni zataczają szerokie kręgi, które wydają się nie mieć końca, inni ograniczają się do okazjonalnych, krótkotrwałych zmian kursu, co później zobaczymy.

Na przykład Pio czy Alphonse, na których paczka ma największy wpływ, kiedy tylko są sami, w całej rozciągłości stosują się do reguł. Léopold nigdy nie posługuje się jokerem milczenia i odpowiada na wszystkie pytania. Adalbert jest nieprzewidywalny, jednego dnia opowiada byle co, drugiego mówi całkowicie szczerze. Élie w niektóre dni czuje potrzebę, by zrzucić z siebie ciężar, kiedy indziej nie. Ignace czy Jean-Baptiste zawsze ostrożnie starają się omijać sedno sprawy i krążą wokół tematu...

Mimo ogólnej zgody co do tej reguły ich opowieści zawierają z pewnością wiele kłamstw. Jedno czy dwa odkryłem, innych jeszcze nie. Na przykład pierwsze zabójstwo popełnione przez Jeana-Baptiste'a i jego okoliczności wyglądały inaczej, niż to opisuje.

Pewna chłopka Hutu, która w owym czasie widziała całą scenę, zaświadcza, że Jean-Baptiste nie został, jak sam opowiada, wskazany i zmuszony do zabicia swojej pierwszej ofiary, przeciwnie, zrobił to bardzo ochoczo, a nawet z rozpędu zabił jeszcze dwie starsze osoby obok kabaretu. Po wielu wahaniach postanowiłem pozostawić wersję Jeana-Baptiste'a bez zmian, bo chociaż jest rozmyślnie fałszywa, wyraża głębszą prawdę o atmosferze ogólnej ekscytacji, opisuje pewien stan ducha i wiele mówi o szantażu, któremu poddani byli mężowie kobiet Tutsi. Także dlatego, że od każdej reguły istnieją wyjątki.

*

Rwandyjska administracja jest skłonna do współpracy. Minister spraw wewnętrznych wydaje nam pozwolenie na wizyty i rozmowy bez żadnych ograniczeń.

Natomiast dyrektor więzienia stawia trzy warunki. *Primo*, wywiady muszą odbywać się poza murami zakładu, z dala od bloków sypialnych i dziedzińca, by nie wywoływać zbiegowiska więźniów. *Secundo*, rozmowy z Josephem-Désiré Bitero, skazanym na karę śmierci, muszą się toczyć pod nadzorem uzbrojonego strażnika, który siedzi w odległości dziesięciu metrów. Jego obecność nie ma żadnego znaczenia, gdyż strażnik nie może z tej odległości słyszeć naszych rozmów i zupełnie go to nie interesuje; zwłaszcza że Joseph-Désiré, niegdyś nauczyciel, w przeciwieństwie do strażnika mówi płynnie po francusku. *Tertio*, wywiady nie mogą odbywać się w niedziele, w dni odpoczynku.

A co z Bogiem?

ADALBERT: W sobotę po upadku samolotu mieliśmy jak zwykle próbę chóru w kościele w Kibungo. Śpiewaliśmy kantyczki w przyjaznej atmosferze z rodakami Tutsi, nasze głosy jeszcze rozbrzmiewały razem. W niedzielę rano wróciliśmy na mszę, o zwykłej porze. Oni się nie zjawili. Już pochowali się w buszu z obawy przed represjami. Popędzili przed sobą swoje krowy i kozy. Byliśmy bardzo rozczarowani, zwłaszcza że była niedziela. Ze złością wypadliśmy za drzwi kościoła. Zostawiliśmy Pana i nasze modlitwy w środku, by szybkim krokiem powrócić do domów. Zmieniliśmy nasze odświętne ubrania na robocze, chwyciliśmy maczety i pałki. Od razu poszliśmy ich zabijać.

Na bagnach mianowano mnie dowódcą zabójców, bo zawsze rozkazywałem. W obozach w Kongu tak samo. W więzieniu zostałem przewodnikiem chóru, bo bardzo lubię śpiewać. Zwłaszcza *Alleluja*. Z całego serca intonowałem te radosne strofy. Moja miłość do Boga nigdy nie osłabła.

Któregoś dnia, kiedy co sił w płucach śpiewałem kantyczki, poczułem zażenowanie, że radują mnie słowa religijnych pieśni, a nie powiedziałem nic o tym, co uczyniłem ofiarom. Popatrzyłem na kolegów modlących się w więziennych uniformach. Pomyślałem: Opuuszczamy naszym winowajcom jako w niebie, tak i na ziemi, i ukrywamy wszystko, co robiliśmy na bagnach. Pomyślałem: Nasze śpiewy są tak donośne, że musi być je słyhać za murami więzienia. Wszystkie te błogosławieństwa, obiecane w Księdze ludziom dobrej woli, dręczyły mnie, bo nie miałem czystego sumienia.

Dlatego postanowiłem, że zacznę o tym mówić, najpierw Bogu, potem władzom. I dlatego zgodziłem się opowiedzieć to panu.

ALPHONSE: W czwartek, gdy weszliśmy do kościoła w N'taramie, ludzie leżeli w półmroku. Ranni na widoku, między ławkami, a cali i zdrowi schowani pod ławkami. Martwi na końcu nawy, pod ołtarzem. Tylko my robiliśmy hałas.

Oni czekali na śmierć w ciszy kościoła. Dla nas nie miało to już znaczenia, że znajdujemy się w Domu Bozym. Przeklinaliśmy, kpiliśmy, wydawaliśmy rozkazy, rzucaliśmy obelgi. Sprawdzaliśmy wszystkich, osoba po osobie, przyglądając się twarzom, by dobić każdego bez wyjątku. Jeśli mieliśmy wątpliwości co do delikwenta, wyciągaliśmy ciało na zewnątrz, by przyjrzeć mu się w świetle dnia.

Zostałem ochrzczony w kościele katolickim, ale czułem, że podczas masakr lepiej będzie nie modlić się jak dotąd. W tej brudnej robocie nie było o co prosić Boga. Jednak w niektóre noce, żeby łatwiej zasnąć, nie mogłem się powstrzymać i klękałem po cichu, by nieśmiało przeproszać i nieco złagodzić straszliwe obawy.

PANCRACE: Ludzie nie zostali stworzeni przez Boga tacy sami. Są zabójcy o dobrym sercu, którzy godzą się wypowiadać. Są zabójcy o zatwardziałych sercach, którzy w milczeniu karmią swą nienawiść. Ci są bardzo niebezpieczni, gdyż wiara nie zmiękcza ich charakteru. Nie opuszczają żadnego religijnego obrządku w więzieniu. Modlą się i z całego serca śpiewają kantyczki, wykonują wszystkie religijne gesty, jak żegnanie się krzyżem czy klękanie. Sprawiają wrażenie bardzo pobożnych ludzi, lecz w głębi duszy wiedzą, że znów muszą zacząć zabijać. Będą cierpliwie czekać na kolejną okazję.

FULGENCE: Pomagałem księdzu przy kościele, gromadziłem chrześcijan na wzgórzu Kibungu. Pod nieobecność księdza to ja odprawiałem msze.

Podczas rzezi postanowiłem nie modlić się do Boga. Przeczuwałem, że nie należy go do tego mieszać. Ten wybór był czymś całkiem naturalnym. Jednak gdy nagle w nocy ogarniał mnie lęk, kiedy za dużo w ciągu dnia zrobiłem, prosiłem Boga, by okazał mi łaskę i pozwolił przestać, choć na kilka dni.

Bóg chronił nas przed ludobójstwem aż do upadku prezydenckiego samolotu, potem pozwolił Szatanowi, by ten wygrał partię. Oto mój punkt widzenia. Ponieważ to Szatan popchnął nas do tego, tylko Bóg może nas osądzić i ukarać. Nie ludzie, których potęga tej dwójki przerasta, w każdym razie w tego rodzaju nadnaturalnej sytuacji.

Wiem, że tylko Bóg może zrozumieć, cośmy uczynili. Tylko on widział wszystko dokładnie, tylko on wie, kto maczał w tym palce, a kto tego nie robił. I tych ostatnich bardzo szybko policzył.

IGNACE: Biali księża uciekli po pierwszych utarczkach. Czarni księża zostali zabójcami lub sami zginęli. Bóg zachował milczenie, a kościoły cuchnęły od trupów, które zostawiliśmy w środku. W tym, co robiliśmy, nie było miejsca dla religii. Na krótko przestaliśmy być zwykłymi chrześcijanami, musieliśmy zapomnieć o naszych obowiązkach z lekcji katechizmu. Przede wszystkim trzeba było słuchać rozkazów. A Boga dopiero potem, długo, długo potem, żeby się wypowiadać i odbyć pokutę, kiedy robota zostanie wykonana.

PANCRACE: Na mokradłach pobożni chrześcijanie zmienili się w okrutnych zabójców. W więzieniu okrutni zabójcy zmienili się w bardzo pobożnych chrześcijan. Ale są też pobożni chrześcijanie, którzy zmienili się w nieśmiały zabójców i nieśmiali zabójcy, którzy zmienili się w bardzo pobożnych chrześcijan. To działo się bez jakiegoś określonego powodu. Każdy

zachowywał wiarę na swój sposób, bez wyraźnych poleceń, gdyż księża wyjechali albo sami byli w to zamieszani. W każdym razie religia przystosowała się do tych zmian wśród wiernych.

ÉLIE: W Biblii i w kazaniach księdza Bóg i Szatan to dwa przeciwieństwa. Pierwszy jest cały biały i złoty, drugi czarny i czerwony. Ale na bagnach widać było tylko kolory grząskiej ziemi i gnijących liści. Tak jakby Bóg i Szatan postanowili wspólnie zmącić nasze widzenie. Chcę powiedzieć, że mieliśmy gdzieś jednego i drugiego.

Raz wytropiliśmy grupkę Tutsi pod papirusami. Modląc się, czekali na ciosy maczety. Nie błagali nas, nie prosili o łaskę czy po prostu o to, by im oszczędzić cierpień. Nie odzywali się słowem. Nie wyglądało też na to, by się zwracali do nieba. Modlili się tylko i recytowali psalmy. My kpiliśmy, żartowaliśmy sobie, gdy powtarzali amen, mówiliśmy z pogardą o dobroci Boga, śmialiśmy się z raj, który na nich czeka. To nas jeszcze bardziej rozgrzało. Teraz wspomnienie tych modlitw rozdziera mi serce.

PIO: Na bagnach nie było słycać żadnych krzyków dzieci, nawet szeptów. Czekały w błocie w milczeniu. To było bardzo dziwne. Gdy wytropiliśmy jakąś kobietę trzymającą niemowlę, wcale nie płakało. To był prawdziwy cud, że się tak wyrażę.

Wielu Tutsi nie prosiło już nawet o łaskę, przyjmowali śmierć ot tak, bez słowa. Na nic już nie liczyli, wiedzieli, że nie mogą spodziewać się litości, i odchodzili bez słowa modlitwy. Wiedzieli, że wszyscy ich opuścili, nawet Bóg. Nie zwracali się już do niego z niczym. Odchodzili w cierpieniach, by do niego dołączyć, nie prosząc go już o nic, ani o pociechę, ani o błogosławieństwo, ani o to, żeby ich przyjął. Nie modlili się już nawet po to, by oddalić lęk przed straszliwym końcem.

To było zadziwiające, to było nadnaturalne! Nawet zwierzęta, które nie wiedzą, co to litość, cierpienie czy Zło, wydzierają się wniebogłosy, kiedy zadajesz im śmiertelny cios.

Ta tajemnica wzbudzała wiele dyskusji. Próbowaliśmy sobie wyjaśnić zachowanie tych Tutsi, którzy żegnali się z życiem, nie przerywając milczenia. Czasem straszło nas to po nocach, bo ludzie mówili, że ich spokój to na pewno jakaś boska przestroga.

JOSEPH-DÉSIRÉ: Urodziłem się jako Hutu, sam tego nie wybrałem, tylko Bóg. Masakrowałem Tutsi, potem Tutsi zabijali Hutu. Straciłem wszystko, tyle że jeszcze żyję. Nie rozpoznaję już w tym chaosie mojego własnego życia. Tylko Bóg może je oglądać, czuwać nad nim i nim kierować.

Jak to naprawdę jest? Niektórzy zabijali, a teraz korzystają z życia na wzgórzach czy w jakiejś willi za granicą. Inni zabijali i gniją na oddziale skazanych na śmierć. Dlaczego Bóg poprowadził jednych szczęśliwą drogą, a drugich doświadczył cierpieniem? Nie wiem. Siedzę

tu, w czyścicu więzienia, ale nadal oddycham dzięki potędze Boga. Przede wszystkim boję się kary śmierci. Wszyscy boimy się umrzeć przed czasem, gdyż w każdej sytuacji pozostajemy ludźmi. Dlatego postanowiłem powierzyć Bogu swój los. Tylko on mógł powstrzymać ludobójstwo, tylko on może mnie zrozumieć, tylko on może teraz ocalić mi życie. Żaden człowiek nie może stanąć między nim i mną. Oto w co chcę teraz wierzyć.

LÉOPORD: Nie uważaliśmy już Tutsi za ludzi, ani nawet za stworzenia Boże. Przestaliśmy brać świat takim, jakim jest, to znaczy jako wyraz woli Boga.

Dlatego łatwo nam było ich gładzić. Dlatego ci spośród nas, którzy modlili się po kryjomu, robili to dla siebie, nigdy dla swoich ofiar. W modlitwie prosili, by zapomniano im, choć trochę, ich zbrodnie, choć trochę przebaczone, a rano wracali na bagna.

W każdym razie był całkowity zakaz wypowiadania jakichkolwiek życziwych słów o Tutsi, wobec Boga czy kogokolwiek innego. Nawet po ich śmierci, nawet o noworodku. Ksiądz także nie mógł wykorzystywać bliskiej relacji z Bogiem, by modlić się za duszę jakiegoś Tutsi. Zbyt wiele ryzykował, gdyby ktoś go usłyszał.

JEAN-BAPTISTE: Tylko psy i dzikie zwierzęta kręciły się wokół kościoła i wchodziły do tej cuchnącej rzeźni. Gdy szliśmy wzdłuż ogrodzenia, by udać się na bagna albo do Kanzenze, ten smród jeszcze bardziej oddalał nas od lektury Ewangelii.

Naprawdę czas już nie chciał, byśmy zajmowali się Bogiem, i posłuchaliśmy go. W głębi duszy wiedzieliśmy, że Chrystus w tej sytuacji nie jest po naszej stronie, ale ponieważ nic nie mówił ustami kapłanów, byliśmy spokojni.

ÉLIE: Wszystkie ważne osobistości odwróciły się plecami od naszych rzezi. Błękitne hełmy, Belgowie, biali dyrektorzy, czarni prezydenci, ludzie z organizacji humanitarnych i zagraniczni fotoreporterzy, biskupi i księża, a w końcu nawet Bóg. Czy zauważył, co się działo na bagnach? Dlaczego nie poraził naszych oczu swym gniewem? Albo nie zesłał jakiegoś znaku potępienia, by ocalić większą liczbę szczęśliwców? Kto mógł usłyszeć jego milczenie w tych straszliwych chwilach? Pozostawiono nas samym sobie, bez żadnych słów przygany.

W niedzielę rano przez radio nie nadawano już mszy jak wcześniej. Ale słyszeliśmy słowa zachęty z ust znanych osobistości z Kigali. Czasem przez radio słyszeliśmy kantyczki i chóralne śpiewy. To były tylko kasety z muzyką, bez kazań, ale te religijne pieśni koily niepokoję. Przypominały zwyczajne niedziele, przynosiły ulgę.

JEAN-BAPTISTE: Nie mogliśmy pytać czasu, jak długo potrwa realizacja planu. Wydawał się nam sprzyjać, chciał tylko, byśmy przestali przejmować się Bogiem. Więc słuchaliśmy go i wciąż zabijaliśmy, aż do ostatniego. Nawet jeśli robota przeciągała się z

powodu grabieży i zmęczenia po pijatykach, nie wąpiliśmy, gdyż nikt nie mógł zatrzymać tej pracy. Ale Bóg wmieszał się w rzezie, przyspieszając marsz *inkotanyich*. Ostatecznie nie zgodził się na definitywne zamknięcie tej sprawy, taka płynie z tego nauka.

Marie-Chantal: „Teraz im bardziej zabójcy czują się winni, tym częściej chodzą do kościoła. Podobnie ocalali, im większy przeżyli szok, tym częściej są w kościele. Winowajcy i ofiary stoją ramię w ramię w pierwszym rzędzie wiernych, jakby zapomnieli. Przed wojną religia nie była tak ważna jak teraz. Dziś wielu ludzi chwyta się modlitwy i pieśni, by zmierzyć się jakoś ze złamanym życiem. Wielu kaznodziejów cieszy ta sytuacja. Nawet jeśli wierni nie dają sobie nawzajem poczucia bezpieczeństwa, w kościołach nie czuje się też wzajemnej niechęci. Nie ma lęku tak jak na wzgórzach.

Im mniej w ludzkich oczach chęci do porozumienia i wzajemnej pomocy, tym częściej spoglądają na pełne miłości religijne figury na murach.

Gdy chodzi o Josepha-Désiré, zawsze myślałam, że wcześniej czy później zostanie za swoją działalność zabity. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy dożywotnie więzienie. Więc dzięki rodzinom odwiedzającym więźniów wymieniamy się wersetami z Biblii przepisаныmi na kawałkach papieru, bo nie mamy sobie wiele do powiedzenia w tej nowej sytuacji”.

Clémentine: „Hutu szli drogą do Konga, niosąc jarzmo ludzi pokonanych i przeklętych.

Wielu mówiło, że wygnanie to kara nieba. Wielu mówiło, że kara powinna być znacznie cięższa. Uciekali przed niebezpieczeństwem przepelnieni wstydem i strachem. W obozach w Kongu czuli się zagrożeni ze wszystkich stron, także ze strony Boga. Bali się zwyczajnych i nadzwyczajnych sankcji za to, co zrobili. Mówili sobie, że za nadnaturalne występki popełnione maczetą spotka ich także nadnaturalna kara”.

LÉOPORD: Tak wielu się zabijało, tak dobrze się jadło i gromadziło się tak wiele dóbr, że wszyscy czuli się niezwykle ważni i drwili sobie z obecności Boga. Ci, którzy mówią coś innego, to kłamcy pozbawieni pamięci. Dzisiaj niektórzy twierdzą, że modlili się podczas masakr. Kłamią, nikt nigdy nie słyszał żadnego *Ave Maria* czy tym podobnych rzeczy, próbują tylko wcisnąć się przed kolegów w kolejkę po odkupienie.

Tak naprawdę myśleliśmy, że możemy już dać sobie radę bez Boga. Dowód - zabijaliśmy nawet w niedzielę, wcale tego nie zauważając. To wszystko.

Ławka pod akacją

Zjawiamy się w Rilimie wczesnym rankiem, gdy kończy się już noszenie wody, przywożąc często krewnych więźniów, którzy ładują na samochód worki z mąką. Parkujemy pod murem, na drodze, przy której krzątają się więźniowie, wykonujący prace porządkowe lub zatrudnieni w budynkach administracji. Wzdłuż drogi w ogródkach stoją pawilony, gdzie mieszczą się biura i mieszkania personelu więzienia oraz magazyny. W ostatnim domku znajduje się żłobek dla dzieci więźniów, poczętych za sprawą panującego w zakładzie zagęszczenia i mniej czy bardziej szczęśliwych kontaktów międzyludzkich.

Czeka na nas strażnik, zawsze ten sam, zapisuje nazwiska dwóch osób, z którymi chcemy w danym dniu rozmawiać. Kiedy odchodzi, by ich poszukać w fortecy, pospiesznie witamy się z dyrektorem, jego współpracownikami, strażnikami i jednym czy drugim uprzywilejowanym więźniem. Unikam kontaktów z prokuratorami i adwokatami, którzy tu przyjeżdżają, bo nie chcę wzbudzać podejrzeń wśród osadzonych. Innocent, zawsze wszystkiego ciekawy i niespokojny, nigdy nie może się powstrzymać i wszczyna niekończące się dyskusje z całą masą znajomych, wolnych czy uwięzionych, których wszędzie spotyka.

Rozmawiamy z każdym z więźniów z osobna i trzymamy treść rozmów w tajemnicy, nie tylko przed ludźmi z zewnątrz. Nic z tego, co zostało powiedziane, nie dociera do innych członków paczki, nawet gdy chcemy uzyskać dodatkowe szczegóły w związku z jakimś zdarzeniem. To warunek *sine qua non*, by chcieli opowiadać, nie porozumiewając się wcześniej między sobą, i by nie zaczęli stosować strategii obronnej, udzielając odpowiedzi podobnych do tych, które słyszą sędziowie.

Jeśli często dochodzi do niezrozumień albo gdy pojawia się nieoczekiwana blokada, wzywamy całą paczkę, by o tym porozmawiać.

*

Kiedy zjawiają się dwaj więźniowie w różowych uniformach - każdy nosi je wedle swego uznania, podwijając jak bermudy, niedbale jak piżamę lub sztywno jak garnitur - przekazujemy im prowiant od rodzin. Wymieniamy nowiny, anegdoty i plotki z więzienia, ze wzgórz, z Nyamaty, z kraju, wiadomości usłyszane przez radio. Potem siadamy z jednym z nich w ogródku przy domu, zaś drugi czeka na swoją kolej w sąsiednim ogródku, korzysta ze świeżego powietrza i spokoju, odpoczywa lub gawędzi z kolegami z dala od tłumu na

dziedzińcu więzienia.

Siadamy naprzeciwko siebie na dwóch ławkach, pod żywopłotem. Gałęzie ocieniającej nas akacji uginają się pod ciężarem niezliczonych gniazd żółto-czarnych wikłaczy, których przenikliwy świergot zniechęciłby każde wścibskie ucho. Włączenie magnetofonu jest znakiem do rozpoczęcia rozmowy, po francusku lub w języku kinyarwanda, wtedy Innocent tłumaczy.

*

Czytelnicy poprzedniej książki stawiali mi pytanie, czy ów szczególny język ludzi ocalałych został dobrze przełożony. Sylvie oraz Innocent, dwaj moi tłumacze, zrozumieli, że transkrypcja tekstów *in extenso* to pierwszy niezbędny etap, by przejść od mowy do słowa pisanego. Dlatego ich przekład jest tak precyzyjny i wierny, iż nawet Rwandyjczyk posługujący się językiem francuskim nie umiałby odróżnić opowieści przetłumaczonych od tych, które zostały zarejestrowane od razu po francusku. Podobnie jest w przypadku niniejszych historii, nawet jeśli sposób wypowiedzania się zabójców jest tak samo różny jak powody, dla których decydują się mówić.

Bez względu na osobę, atmosferę dnia, temat, wywiad trwa mniej więcej dwie godziny. Potem Innocent przejawia zrozumiałe oznaki złości albo ja mam już dość, a najczęściej odraza, nuda czy zniechęcenie sprawiają, że żaden z nas nie może się dłużej skupić. Krótko mówiąc, czujemy się zmęczeni. Odczuwamy potrzebę, czasem nagłą, by wyjść ze świata, w którym zanurzył nas rozmówca swym niewzruszonym głosem.

Więzień, przeciwnie, przez cały czas jest równie skory do rozmowy, bez względu na temat i przebieg dyskusji; często wydaje się zawiedziony czy rozczarowany, że została przerwana. Skłonność do rozmowy nie oznacza bynajmniej, by był gadatliwy. Ale choć nieraz na dłuższy czas zamyka się w sobie lub upiera przy jakimś absurdalnym kłamstwie, nigdy nie okazuje znużenia ani niezadowolenia. Jego sposób opowiadania, spokojny, niemal monotony, krańcowo różni się od sposobu, w jaki mówią o tym ocalali.

*

Byłoby czymś niedopuszczalnym porównywać opowieści ocalałych z opowieściami zabójców, ale możemy porównać, pokrótce, sposób, w jaki się wypowiadają.

Kiedy zaczynałem nagrywać rozmowę z którymś z ocalałych, za każdym razem był to początek czegoś zupełnie nieprzewidywalnego. Dialog mógł trwać pięć minut lub pięć godzin. Często przerywały go łzy, niewytłumaczalne chwile ciszy, dygresje, czasem błahe i zabawne, na temat życia codziennego, refleksje o wojnie albo o pracy w polu. Rozmowę mogły zakończyć czyjeś odwiedziny, grymaszące dziecko, butelka primusa czy spacer albo

przejażdżka samochodem.

Zdarzało się, że ocalały, mężczyzna czy kobieta, z dnia na dzień przedstawiał wiele różnych wersji tego samego zdarzenia.

Najczęściej działo się tak z powodu, który z wielką delikatnością wyjaśnia Angélique Mukamanzi, młoda kobieta z Kanzenze: „Niektórzy ludzie stale zmieniają szczegóły, opowiadając o fatalnym dniu, gdyż myślą, że właśnie wtedy ich życie odebrało szansę jakiemuś innemu istnieniu, które tak samo na to zasługiwało. Ale mimo tego kluczenia wokół prawdy osobiste wspomnienia nie znikają z pamięci... Ludzie wybierają niektóre wspomnienia, zależnie od ich charakteru, i przeżywają je raz jeszcze, jakby stało się to w zeszłym roku, i tak będzie jeszcze przez kolejne sto lat”.

Inny powód opisuje Janvier Munyaneza, który wypasa krowy i uczy się w liceum w Kibungo: „Jednak z upływem czasu czuję, że moja pamięć sortuje wspomnienia, jak chce, i nic nie mogę na to poradzić, podobnie jest z moimi kolegami. Niektóre epizody są często opowiadane, więc obrastają we wszystkie dopowiedzenia jednych czy drugich. Pozostają przezroczyste, że się tak wyrażę. Inne epizody są pomijane i zacierają się jak we śnie... Ale wiem, że nie zależy już nam na wymyślaniu czy przesadzaniu lub ukrywaniu prawdy, jak zaraz po wyzwoleniu, bo nie mamy już w głowach zamętu ze strachu przed maczetą”.

W każdej z tych sytuacji łatwo było mówić otwarcie o owym kluczeniu. Czasem ktoś nagle się zatrzymywał, bo, jak powiada Marie-Louise Kagoyire, sklepikarka z Nyamaty: „otworzyć nasze serca przed cudzoziemcem, mówić o tym, co odczuwamy, obnażyć nasze uczucia ocalałych to dla nas niewyobrażalny szok. Kiedy wymiana zdań staje się zbyt trudna, tak jak teraz z panem, trzeba postawić kropkę”.

Lub przeciwnie, trzeba było przeczekać miłe i zdawkowe, coraz bardziej zniechęcające rozmowy, by usłyszeć, jak Francine Niyitegeka, chłopka i właścicielka sklepu w Kibungo, oznajmia: „Dobrze, jeśli wrócisz jutro, pomówimy...”. Po prostu dlatego, że uporała się z wewnętrzną blokadą, mogła w końcu mówić o braku więzi ze swym narzeczonym na bagnach: „Żyliśmy już bez żadnej intymności. Byliśmy od siebie zbyt oddaleni, by móc znaleźć prawdziwe słowa i czułe gesty, żeby się dotykać. Chcę powiedzieć, że kiedy się spotykaliśmy, nie miało to już znaczenia dla niego ani dla mnie, gdyż przede wszystkim każde z nas samo chciało przeżyć”.

Byłem poruszony, widząc, jak wielkie ryzyko podejmują ocalali, próbując opowiadać. Nie wahali się zanurzyć w otchłani swych wspomnień, niepokojów, cierpień. Godzili się przekroczyć granicę tego, co niewysłowione, lub ożywiać koszmary. Bardzo często przywoływali wspomnienia i myśli, o których nigdy wcześniej nie mówili. Byli zdziwieni

tym, co powiedzieli, czy słowami innych. Szeptali, zapalali się, zamykali w sobie albo rozczulali. Mijały dni, a ton ich głosu nigdy nie był taki sam. Nawet jeśli ich historia zmieniała się w trakcie opowiadania, trzeba ich było słuchać bez żadnych uprzedzeń.

*

Natomiast zabójcy nigdy nie ulegają emocjom. Pamięć może ich zwodzić z powodu upływu czasu, lecz nie ma to nic wspólnego z szokującymi przeżyciami i psychicznymi blokadami ich ofiar.

Każdy z nich panuje nad słowami i sposobem mówienia. Na przykład Élie w poruszający sposób stara się przekazać jak najdokładniej to, co odczuwa, Ignace, przeciwnie, systematycznie odpowiada, zaczynając od kłamstwa, żeby upiększyć opowieść. W trakcie kolejnych spotkań wszyscy stają się coraz bardziej szczerzy i częściej się otwierają. Jednak prawie nigdy nie wykraczają poza żółtą linię. Mówią głosem monotonnym, co sprawia, że czujemy się coraz bardziej nieswojo. Ich ton okazuje się zresztą nie tak jednostajny, jak się z pozoru wydaje, i brzmi zbyt dwuznacznie, by można było wyciągnąć stąd wniosek o obojętności autorów tych słów.

Jest rzeczą prawdopodobną, że tę rezerwę nakazuje im ostrożność lub zakłopotanie, często rodzaj dziwnego znieczulenia, ale być może także poczucie przyzwoitości. Przypomnijmy, że po powrocie z Konga nie stanęli jeszcze twarzą w twarz z ocalałymi. Powiemy o tym później.

*

Można też wreszcie odnotować różnicę słownictwa. Opowiadając o wydarzeniach, ocaleni posługiwali się językiem prostym, obrazowym i precyzyjnym. Opisując zabójczy gest maczetą, bez przerwy używali takich określeń jak „robota”, „ścinać” czy „przycinać”, związanych z pracą na plantacjach bananów. Jeannette Ayinkamiye mówi: „Dobrze wiem, że kiedy widziało się swoją mamę pociętą maczetą, tak strasznie okaleczoną, traci się na zawsze część zaufania do innych. Chcę powiedzieć, że ktoś, kto tak długo patrzył na straszliwe męki, nie będzie mógł już nigdy żyć wśród ludzi jak kiedyś” A Berthe Mwanankabandi: „Tak jak inni ludzie, którzy nie mogli powstrzymać ostatniego ruchu ramienia nad głową, by uniknąć ścięcia maczetą, nawet jeśli w ten sposób rany musiały przynieść im znacznie dłuższe cierpienie. W naszym wnętrzu kryje się jakaś naturalna chęć przeżycia, która nie chce słuchać nikogo”

Zresztą wszyscy mówili o ludobójstwie, posługując się słowem *itfembabwoko*, nowym w ich języku, a czasem słowem *ubwicanyi*, „rzeź” nie mając najmniejszych złudzeń co do jego znaczenia.

Na przykład Jeannette mówi: „Gdy doszło do ludobójstwa, może dojść do drugiego, w każdym czasie, w każdym miejscu, o ile powód pozostał i nadal go nie znamy”

Édith Uwanyiligira: „Podczas ludobójstwa ocalały stracił swą ufność, tak jak całą resztę, i to przeszkadza mu bardziej, niż sobie uświadamia. Może traktować podejrzliwie wszystkich, nieznanym, kolegów, nawet ocalałych sąsiadów... Proszę dobrze zrozumieć, ludobójstwo nie zniknie z umysłów ludzi. Czas zatrzyma wspomnienia na zawsze, zostawi bardzo niewiele miejsca, by dać ulgę duszy”.

Innocent: „Ludobójstwo nie jest naprawdę kwestią biedy czy braku wykształcenia... W 1959 roku Hutu zabijali, wypędzali, łupili bez opamiętania Tutsi, ale ani przez chwilę nie zaświtała im myśl, by ich całkiem zgładzić. To intelektualisci ich wyemancypowali, wpajając im ideę ludobójstwa i uwalniając ich od wahań”

Berthe: „Ludobójstwo popycha do izolacji tych, których nie popchnęło do śmierci”

Sylvie: „Chcę podkreślić, że po ludobójstwie niektóre słowa nie mają już takiego samego znaczenia jak przedtem, niektóre słowa zupełnie tracą swój sens, a ten kto słucha, musi być wyczulony na te zmiany”

*

Zabójcy, odwrotnie, tylko wyjątkowo używają słowa ludobójstwo, wyłącznie wtedy, gdy mówią o odpowiedzialności władz, o wskazówkach płynących ze stolicy, o intelektualistach, a więc mówiąc o innych, nigdy w związku z jakimś wydarzeniem, w którym brali udział. Wolą zastępować je słowami „rzezie” *ilsebatsemba*, albo częściej „wojna”, *intambara*, utożsamiając w ten sposób swe czyny z czynami popełnionymi podczas wojen poprzednich pokoleń, czy toczących się w innych afrykańskich krajach.

„W gruncie rzeczy - wyjaśnia Innocent - jeśli w odpowiedzi wymawiają czasem słowo ludobójstwo, to tylko przez nieuwagę, ponieważ użyłeś go w pytaniu i nie mieli dość czasu, by szybko znaleźć inne. Na ogół go unikają, bo jest zbyt kłopotliwe. We wspomnieniach klasyfikują swe czyny jako udział w masakrach, do jakich wielokrotnie dochodziło już wcześniej. W głębi duszy nie interesuje ich samo słowo, co najwyżej kara, którą może za sobą pociągać” Podobnie niemal nigdy nie wymawiają słowa „ocalały”, które wolą zastąpić wyrażeniem „osoba pokrzywdzona” czy „ten, który przeżył”

Podczas pierwszych spotkań zabójcy, trzymając się tej logiki, próbują opisać swe czyny za pomocą języka militarnego. „Zaczęła się więc straszliwa wojna na bagnach”, ośmiela się powiedzieć Pancrace Hakizamungili, który czasem sprawia wrażenie najbardziej cynicznego czy obojętnego z nich wszystkich; albo: „najczęściej walczyliśmy maczetą, bo nie mieliśmy innej broni” mówi bigot Fulgence Bunani. Widząc nasze niedowierzanie albo

irytację, szybko z tego rezygnują, by wrócić do bardziej realistycznego słownika. Opowiadają, że „zabijali” „uderzali” „powalali” ale starają się nie mówić, że „ścinali”.

*

Na zakończenie tych uwag z zakresu leksykologii przytoczmy anegdotę, która ilustruje stan umysłu tych ludzi oraz konieczność - o czym wspomniałem wcześniej - przeprowadzania wywiadów z grupą, nie z szeregiem niepowiązanych ze sobą osób.

Podczas pierwszych wywiadów członkowie paczki wypierają się wszystkiego z niezłomnym uporem, gdy tylko pada pytanie o ich osobisty udział w wydarzeniach. Oni sami nic nie widzieli, nic nie zrobili, to wszystko. Innocenta i mnie zadziwia ten tupet. Nie rozumiemy zwłaszcza, na czym polega ta sprzeczność; z jednej strony, po licznych debatach, wspólnie godzą się opowiadać, z drugiej w niewiarygodny sposób wszystkiemu zaprzeczają, gdy tylko zaczną mówić. Po wielu dyskusjach i rozczarowaniach dochodzę do wniosku, że w istocie rzeczy nie da się z nich niczego wyciągnąć, a równocześnie nie potrafię wyjaśnić sobie ich zgody, którą za każdym razem potwierdzają. Nie mogą *a priori* wiele na tym zyskać, co najwyżej chwile wytchnienia w cienistym ogródku.

Przypadkiem znajduję klucz do tej tajemnicy, kiedy bezwiednie przechodzę czasem z „ty” na „wy”, na liczbę mnogą. Za każdym razem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odpowiedzi stają się precyzyjne i w końcu zaczynam rozumieć związek między przyczyną i skutkiem.

Na przykład na pytanie „Czy możesz opowiedzieć, co robiłeś rano...?” odpowiadają: „Wstawałem, szedłem na parcelę, żeby podcinać sorgo i policzyć kozy...”.

Ale na pytanie „Czy możesz powiedzieć, co robiliście rano...?” odpowiadają: „Wstawaliśmy o świcie, o dziewiątej zbieraliśmy się na boisku, potem schodziliśmy na bagna i maczetą rozgarnialiśmy papirusy”.

W istocie rzeczy, nawet jeśli każdy z nich godzi się opowiadać o swym udziale w ludobójstwie, wszyscy odczuwają potrzebę, by jakoś się ochronić dzięki mniej jednoznacznej liczbie mnogiej, by zastępować „ja” kolektywnym zaimkiem „my”. Podejmując niektóre bardzo osobiste tematy, takie jak „pierwszy raz” „a jak było z Bogiem”, czekam na chwilę, gdy jesteśmy w najlepszej komitywie, często pod koniec rozmów, kiedy udało nam się już przywyknąć do siebie.

Wyrzuty sumienia i żale

ADALBERT: Często śni mi się to samo. Widzę pola, ścieżki w eukaliptusowym lesie, bananowce przed moim domem. We śnie tęsknię do wielkich zielonych plantacji, których nie widziałem od czasów masakry. Śnię o moim domu w Kibungo. O lasach, bananowcach i płynącej w dole rzece, o ochłodzie, którą daje cień, gdy nikt nie robi mi krzywdy ani się ze mną nie spiera.

Ale gdy chodzi o sny na jawie czy męczące wspomnienia, wiążą się tylko z wydarzeniami pierwszych dni, gdy zabijanie Tutsi było jeszcze dla mnie czymś nowym. Inne wspomnienia, na przykład kolejne codzienne ekspedycje, zatarły się, gdyż weszło to w nawyk.

FULGENCE: Nie zapominamy żadnego wydarzenia z czasów rzezi. Kiedy sięgamy tam pamięcią, widzimy wszystkie szczegóły. Jednak niektórzy koledzy mają skłonność, by przemilczać fatalne, groźne chwile. Inni przeciwnie, wolą nie mówić o tym, co było korzystne, jak obfitość i dobrobyt. Ja nie pozbyłem się wspomnień o ciężkich chwilach, żałuję, że źle oceniłem sytuację, i szkoda mi ludzi, którzy zostali zabici. Źle myślałem, źle wybrałem, źle czyniłem. Zło rujnuje moje dni i topi me życie w nędzy. Jednak ci zmarli i sceny rzezi nie nachodzą mnie we śnie, w każdym razie kiedy się obudzę, nie widzę okropnych obrazów. Nocą nic mnie nie prześladowuje, chyba że leżę przebudzony w ciemnościach. W takich chwilach zdarza się, że cały drżę. Nie potrafię powiedzieć dlaczego: czy cierpię, bo miałem zły sen, czy dlatego, że jestem więźniem.

IGNACE: Myślę, że czas pozwoli mi zostawić przykre wspomnienia w Rilimie, kiedy opuszczę zakład. Zawinę złe myśli w więzienny uniform. Myślę, że wrócę do domu z wyczyszczoną pamięcią, by znów zacząć aktywne życie.

Ale to wspomnienie korytarza w kopalni, gdzie spaliliśmy Tutsi żywcem, nigdy mnie nie opuści. Czuję, że wciąż kryje się gdzieś w mym umyśle. Będzie mnie dręczyć na wzgórzu. I tego się obawiam. Będzie nachodzić mnie ni stąd, ni zowąd, bo mieszkam niedaleko od sztolni.

Nie przypuszczałem, że to wspomnienie będzie tak strasznie mnie męczyć. Myślę, że to z powodu swądu spalenizny, wydaje mi się to nienormalne, by ludzie zabijali innych ludzi ogniem.

ALPHONSE: W moich snach powracają obrazy krwawego polowania i sceny rabunków. Jednak czasem to ja dostaję cios maczetą i budzę się roztrzęsiony. Ktoś chce mnie ściąć i wykrwawić. Staram się zobaczyć, kto zadaje mi cios, ale strach nie pozwala mi ujrzeć twarzy tego, który chce mnie skrzywdzić. Nie wiem, czy jest Hutu, czy Tutsi, czy to sąsiad, czy jakiś *inkotanyi*. Chciałbym wiedzieć, czy jest ofiarą, by poprosić jego rodzinę o przebaczenie i odzyskać spokój, ale człowiek ze snu odmawia odpowiedzi.

Moja żona mówiła, że będę miał wyrzuty sumienia jak pijak, bo tylu ludzi zabiłem i tak dużo piłem, że nigdy się nie dowiem, ilu ich było ani kto to był. Ale ja chciałbym przede wszystkim rozpoznać tego człowieka ze snu. To jemu muszę zaproponować ugodę, by odnaleźć spokój.

Właśnie ten sen mnie dręczy, ale nie zdarza się często, przeciwnie. To zwłaszcza straszne życie w więzieniu nie daje mi spać. Myślę, że w nocy wszyscy przeżywamy to samo. W koszmarach częściej nachodzą nas nasze własne nieszczęścia niż nieszczęścia innych. Nasze cierpienia więźniów spychają na drugi plan cierpienia innych ludzi, w dzień i w nocy, nie widzę w tym żadnej tajemnicy. Sądzę, że gdy odzyskam wolność i moje dawne życie, sen znów będzie mi dawał wytchnienie.

JEAN-BAPTISTE: Często śni mi się, że jestem wolny i idę drogą do N'taramy. Mijam tak dobrze znane drzewa. Czuję się wypoczęty i swobodny, jestem zadowolony. Budzę się na pryczy przepelniony żalem.

W inne noce we śnie przychodzą nieszczęścia. Widzę osoby, które zabiłem własnymi rękami. W tych scenach nie brakuje żadnego strasznego szczegółu, krwi i strachu. Ani błota, wyteżonej gonitwy czy twarzy kolegów. Brakuje tylko krzyków. To są rzezie w zupełnej ciszy, jakby spowolnione, ale tak samo straszne. W więzieniu mam różne sny, raz groźne, raz spokojne, być może wypływają z różnorodnych sytuacji mojego obecnego życia. Są inne, kiedy choruję, inne, gdy jestem zdrowy. Któż może powiedzieć, czy zmieniają się, kiedy stąd wyjdę? Ale mam nadzieję, że o mnie zapomną.

Wszyscy więźniowie wiodą opłakany żywot od czasów masakry. Wielu skarży się na swój los, ale nie aż tak, by próbować z tym skończyć. Nie znam nikogo, kogo by do tego stopnia prześladowały wyrzuty sumienia czy koszmary. Nie słyszałem o żadnym przypadku samobójstwa w więzieniu, a jestem tu już od siedmiu lat. Jest może z dziesięciu takich, którzy jedzą odpadki, drą na sobie ubrania, tarzają się po ziemi albo wrzeszczą podczas snów na jawie. Ale nikt nigdy nie oszalał tak bardzo, by zadać sobie śmierć.

PIO: Noc zabiera mnie czasem na boisko, gdzie czeka na mnie tęsknota. We śnie spotykam innych zawodników z drużyny, tych, którzy nie żyją, i tych, których los rozproszył.

Grałem z numerem dziewięć na koszulce, byłem bardzo skuteczny w ataku. Kiedy się budzę, myślę jeszcze przez chwilę, że mecz nadal trwa. Mam nadzieję, że gdy wyjdę z więzienia, wrócimy do gry w piłkę z tymi, którzy przeżyli, by znów się do siebie zbliżyć. Inne sny z łatwością odchodzą w zapomnienie, tam, skąd nie mogą mi już zagrażać.

Wspomnienia są bardziej męczące niż sny. W Rilimie są ludzie, którzy udają, że nie pamiętają niczego, ponieważ boją się kary, tutaj albo tam, w górze. Opowiadają ze szczegółami o życiu już po rzeziach, czy nawet przedtem, ale milczą o tym, co działo się w ich trakcie, lub wymieniają tylko jakieś nieistotne szczegóły.

Oszukują, oszukują sami siebie, próbując wygrać tę partię. Odgrywają komedię na granicy szaleństwa. Zapominają o swych nieszczęściach i wołają tak się ludzi. Ale nie spotkałem nikogo, kto zwariowałby do tego stopnia, by naprawdę zapomniał, że zabijał.

W obozie Tutsi to musi wyglądać zupełnie inaczej. Nie znam ich sytuacji, ale myślę, że to szaleństwo może ogarniać też ludzi, którzy uniknęli rzezi, którzy dzielili swą egzystencję z wielką liczbą zabitych. Kogoś, kto widział tyle straszliwych agonii i czekał na swoją kolej, kto spodziewał się w każdej chwili, że cały zalany krwią wpadnie w mroki śmierci, rozum może opuścić. Obłąd częściej dotyka człowieka, który został skrzywdzony i cierpiał, niż tego, który był sprawcą.

Nie zapominam wszystkich tych strasznych rzeczy, które uczyniłem. Zapominam nazwiska, dni, sytuacje, próbuję zapomnieć ciężkie chwile, by odzyskać spokój. Ale gdy chodzi o polowania na bagnach, nie łudzę się, że to na dłuższą metę się uda. Czuję, że wyrzuty sumienia nie zechcą ulżyć mojej pamięci.

JOSEPH-DÉSIRÉ: Nie śni mi się nic szczególnego, ani masakry, ani obozy w Kongu. To znaczy żaden sen stale się nie powtarza. Kiedy śpię, nie przeżywam wcale na nowo swojego dawnego życia.

Rzecz jasna, codziennie myślę o karze śmierci. Codziennie mówimy o tym między sobą, gdyż wszyscy skazańcy siedzą w tym samym bloku. Jednak ten wyrok nigdy nie nachodzi mnie we śnie. Ani strach. On czeka na mnie dopiero po przebudzeniu.

Od kiedy siedzę w Rilimie, moje sny i ci, których w nich widzę, w niczym się nie zmienili. Nadal śnię o rzeczach nieznanych, jak kiedyś o rzeczach, które mogłem wyobrazić sobie, nawet ich nie znając, choćby o tym, na co miałbym ochotę. Na przykład po waszych wizytach zacząłem być może marzyć, że podróżuję do Francji, do Paryża, którego przecież nie znam.

PANCRACE: W więzieniu wielu zabójców zabrała malaria albo cholera. Strach przed zemstą także zabijał. Podobnie jak nędza albo bijatyki, ale wyrzuty sumienia nigdy. Życie jest

wciąż znacznie silniejsze niż poczucie winy i tego typu rzeczy. Jeżeli ktoś za dużo zabijał na bagnach, ma skłonność odrzucać te krwawe wspomnienia, widok trupów, które za sobą zostawił. Woli pamiętać tylko to, co zrobił na bagnach na oczach wszystkich i czego nie może się wyprzeć, bo byłby nazwany kłamcą. Ukrywa całą resztę. Odsuwa zbyt ciężkie wyrzuty sumienia. Jego pamięć sprzyja temu, co dla niego korzystne, omija zygziem prawdę, by wyciągnąć go z tarapatów i uchronić przed karą.

Clémentine: „Wiem, że ocalali i zabójcy wspominają to zupełnie inaczej.

Zabójcy, jeśli godzą się głośno mówić, mogą powiedzieć prawdę o tym, co zrobili, w najdrobniejszych szczegółach. To naturalne, że zachowali w pamięci to, co działo się na ich wzgórzu. Ich pamięć nie zderza się z niczym, co przeżyli, nie przerosły jej żadne straszne wydarzenia. Nigdy nic jej nie mąci. Wspomnienia zabójców spoczywają w przejrzystej wodzie. Ale dzielą się nimi tylko między sobą, gdyż jest to ryzykowne.

Zaś ocalali nie dogadują się tak dobrze ze swoją pamięcią. Cały czas kluczy ona wokół prawdy, z powodu strachu czy upokorzenia tym, co im się zdarzyło. Oni też na swój sposób czują się godni potępienia. Czują się nawet jeszcze bardziej winni z powodów, których nigdy nie będą potrafili ustalić. Zmarli wciąż są im bliscy, na myśl o nich nadal czują wzruszenie. Muszą zbierać się w niewielkich grupach, by uzupełniać i porównywać wspomnienia, ostrożnie, żeby się nie pomylić. Ale później przypomną sobie straszne wydarzenia, omijając pułapki.

Ocalali szukają spokoju w części swej pamięci. Zabójcy szukają go w całkiem innej części. Nie dzielą z sobą smutku ani strachu. Nie oczekują takiej samej pomocy od kłamstwa. Myślę, że nigdy nie będą mogli podzielić z nami ważnej części prawdy”.

ÉLIE: Kiedy śnię o tych czasach, widzę swoją żonę, parcelę i dom, ale prawie nigdy nie widzę zabitych ludzi. Prócz pracownicy socjalnej, rzecz jasna, ponieważ była pierwszą, którą powaliłem. W gruncie rzeczy moje sny starają się omijać chwile rzezi.

Gdy chodzi o wspomnienia, przeciwnie, chodzą za mną krok w krok i często mnie dopadają.

Znam paru kolegów, którzy mają nadzieję, że uwolnią się od swych zbrodni, jeżeli o nich zapomną. Niektórzy w Rilimie twierdzą, że jeśli postarasz się nie przywoływać wspomnień, w końcu wszystko pójdzie w zapomnienie. Ja w to nie wierzę, w każdym razie nie jest tak w moim przypadku. Wspomnienie rzezi zmienia się, układa z kłamstwami, przychodzi i odchodzi, ale nigdy się nie zaciera.

Żaden więzień nie zamienił życia na wyrzuty sumienia. Żaden nawet tego nie spróbował ani nie udawał, żeby kogoś rozczulić. W więzieniu wielkie żniwo zebrały epidemie

i okropna nędza, ale nigdy uczucie wstydu czy coś w tym rodzaju.

IGNACE: Przyznać się do prawdy przed sądem, przed ludźmi czy przed samym sobą to rzecz równie kłopotliwa.

Nawet kiedy rozważasz to w duchu, gorzej jest wspominać, niż o tym zapomnieć. Dlatego staram się milczeć o tym nawet przed sobą. Potrzeba czasu, by móc wysłuchać prawdy o tych sprawach, przerastających zwyczajne zbrodnie.

W więzieniu wielu czeka na zmianę sytuacji, by zacząć wszystko od nowa. Obecnie czują się zbyt przegrani, by okazywać żal. Mówią, że zbyt wiele stracili i to nie ma znaczenia. Że zbyt długo szli w jednym kierunku z maczetami w dłoniach, by wracać tam, gdzie nie czeka ich nic dobrego. Mówią, że wspomnianie przynosi same strapienia. Myślą, że wygrają tylko wtedy, gdy następnym razem wszystko im się uda.

ADALBERT: Wiedziałem, że po powrocie z Konga moje przewiny zostaną ujawnione. Ale wolałem zabrać je z sobą do więzienia w moich rodzinnych stronach, niż ukrywać je w lasach Konga, nie mogąc dzielić się tym ze znajomymi. Nie wiem, czy mi odpuszczą, czy będę oszczędzony. Ale pokuta jest jak śmierć, trzeba ją zabrać z sobą jak najbliżej rodzinnego wzgórza.

Gaspard, ocalały: „Kiedy zabójcy przychodzą, by się w kościelnych ławkach i na kolanach modlić się do Boga, pokazywać nam swoją skruchę, nie mogę modlić się z nimi ani przeciwko nim. Prawdziwy żal wyraża się w cztery oczy, nie przed posągami Boga. Ich starania, by wrócić do społeczności, wcale mnie nie obchodzą”.

ÉLIE: W więzieniu i na wzgórzach wszyscy, rzecz jasna, wyrażają żal. Ale bardzo wielu zabójców żałuje, że nie dokończyło roboty. Wyrzucają sobie raczej niedbalstwo niż wyrządzone zło. Ci, którzy powtarzają, że w fatalnych chwilach wcale ich tam nie było, że nic nie pamiętają, że zgubili maczetę i inne tego rodzaju brednie, schylają kark w nadziei, że unikną kary. W oczekiwaniu na chwilę, gdy zaczną od nowa. Na wielu twarzach widać oznaki skruchy. Lecz ona niczemu nie służy, jeśli nie jest szczerą.

LÉOPORD: Niektórzy próbują okazywać żal, ale drżą przed prawdą. Omijają ją, bo w grę wchodzi zbyt wiele sprzecznych interesów, i nie mogą zrobić kroku naprzód.

W obozie w Kongu po raz pierwszy poczułem, że serce mi się ściska. Zacząłem się modlić z nadzieją, że to mi jakoś ulży, ale tak się nie stało. Po modlitwach i śpiewach zawsze powracał wstyd. Zacząłem więc głośno okazywać skruchę, nie zważając na kpiny z ust kolegów. W więzieniu opowiedziałem całą prawdę. Wylałem ją z siebie bez trudu. Odtąd gdy tylko ktoś mnie o to poprosi, dzieje się tak samo. Jeśli pominąć przykre życie w więzieniu, czuję się spokojny, od chwili gdy zacząłem mówić. Bez żadnych obaw czekam na powrót na

moją parcelę. Mógłbym znów uprawiać pole na wzgórzu, obok sąsiadów, nie widzę w tym problemu. Przeciwnie, z niecierpliwością czekam na moje nowe życie.

Marie-Chantal: „Winowajca i ofiara będą szukać w zapomnieniu choć chwili wytchnienia. Ale nie z tego samego powodu. Nie będą starać się o to razem. Jednak jedni i drudzy będą prosić o to samo zapomnienie”

Joseph-Désiré Bitero

Tego ranka słoneczny żar oblewa mury więzienia. Jest susza, nieznośny skwar spowalnia ruch na alei wzdłuż muru, gdzie stoją pawilony, a na twarzach więźniów osiada pył. Tylko wikłacze nie przerywają lotu i nie zważając na nic, wiją kuliste gniazda. Przyglądam się tej jubilerskiej pracy ptaków zawieszonych na skraju gałęzi, czekając na Josepha-Désiré Bitero. Myślę też o tym dziwnym zdaniu Innocenta na jego temat, wypowiedzianym przed chwilą w samochodzie: „To był naprawdę otwarty, dobry z charakteru chłopak, zawsze uśmiechnięty. Bardzo lubił spotykać się z ludźmi. Był miły, chętnie dzielił się trunkiem i rozmawiał z każdym bez różnicy”

Joseph-Désiré Bitero nie został zaproszony do wstępnych rozmów z grupą, gdyż obawiałem się, że jego autorytet byłego dowódcy *interahamwe* w powiecie, reputacja i status więźnia skazanego na śmierć mogą nasilić wahania całej reszty. Toteż w dniu pierwszego wywiadu jeszcze go nie znam, tylko ze słyszenia, dzięki opisom wielu ludzi.

Zjawia się ubrany w różowy uniform, idzie kołyszącym się krokiem, pozdrawiając dyskretnym przyjacielskim gestem więźniów, których spotyka na drodze i którzy bez wyjątku odpowiadają tym samym, a dwa metry za nim sunie jakiś chuderlawy żołnierz. Teraz już rozumiem uwagę Innocenta - Joseph-Désiré, wymieniając spojrzenia z ludźmi, stale się uśmiecha. Wydaje się dobroduszny, miłym tonem mówi nam dzień dobry i pewnie chętnie poczęstowałby nas piwem, gdyby miał butelkę pod ręką.

*

W przeciwieństwie do większości członków paczki Joseph-Désiré urodził się w rodzinie osiedlonej od wielu pokoleń w regionie, na wzgórzu Kanazi, o pół godziny drogi od Nyamaty. Mówi o swych rodzicach: „Byli dobrymi rolnikami, niezbyt zamożnymi, ale też nie cierpieli biedy. Byli całkiem zwyczajni”.

Jednak po ukończeniu szkoły podstawowej mógł kontynuować naukę, potem dostał się na studia pedagogiczne. „Byłem dość dobrym uczniem. Zdawałem egzaminy, ale na nic nie miałem wpływu. Za moich czasów nie wybierało się studiów, o wyborze tej czy innej profesji decydowali nauczyciele i stopnie. W moim przypadku los sprawił, że w końcu zostałem nauczycielem. Gdy byłem dzieckiem, myślałem, że nauczyciel to osoba darzona szacunkiem przez sąsiadów, zapraszana na różne uroczystości, ktoś, kogo wszyscy słuchają i

kto jest dobrze ubrany nawet w dzień powszedni, a więc ktoś godny podziwu. Przyjąłem ten los bez chwili wahania”

Joseph-Désiré nie umie przywołać żadnych istotnych wspomnień z dzieciństwa, gdy wzrastał w gronie rodzeństwa, trzech braci i czterech siostr. „Wiodłem zwyczajne życie, jak każdy mały chłopak. Choroby mnie omijały, dawałem sobie radę w szkole, nie brakowało mi jedzenia, w porze deszczowej chwytałem motykę, żeby pomóc rodzinie. Lubiłem grać w piłkę i oglądać mecze. Mieszkałem w domu, w którym się urodziłem i w którym spodziewałem się umrzeć”.

Jednak w trakcie jednej z późniejszych rozmów doda: „Byłem wychowany w obawie przed powrotem *mwami*, królów Tutsi, oraz ich komendantów, bo starsi w domu wiele o tym mówili: o przymusowej pracy oraz innych upokorzeniach z tej smutnej dla nas epoki i o straszliwych doświadczeniach naszych braci w Burundi”. Joseph-Désiré, urodzony dwa lata po obaleniu królestwa Tutsi, wzrastał w tej wrogiej atmosferze, którą podsycali napływający z Burundi uchodźcy, lecz właściwie nie obawiał się, by w regionie mogło dojść do jakiejś tragedii, przyznaje to bez wahania. Gdy uzyskuje dyplom szkoły pedagogicznej, jest wysokim i krzepkim chwatem. Poślubia ładną sąsiadkę, którą zna od dziecka, Marie-Chantal Munkakę, która wydaje na świat trójkę dzieci. Bardzo wczesnie angażuje się w politykę, znacznie wcześniej niż jego koledzy, zapewne pod wpływem swego kuzyna Bernarda, burmistrza Nyamaty. „Kiedy postanowiłem wstąpić do partii, istniała tylko jedna: MNRD, skupiająca zwolenników prezydenta Habyarimany i Hutu jak ja. Stronnictwo burmistrza i jego urzędników. Gdy partie się rozmnożyły, nie przyszło mi na myśl, żeby cokolwiek zmienić. Głosiłem idee prezydenta, które wydawały się najkorzystniejsze dla mych braci Hutu, bo były odpowiedzią na zagrożenie ze strony rebeliantów i separatystów. Myślałem, że te idee zwyciężą dzięki naszej liczebności, dzięki armii i negocjacjom. To mi odpowiadało”

Dodaje: „W systemie wielopartyjnym dochodziło do wielu starć, zwłaszcza z innymi partiami Hutu. To była ostra walka. Miejscowi Tutsi, przeciwnie, dystansowali się od politycznych kłótni, zajmowali tylko swoimi sprawami, nie wygłaszali żadnych kontrowersyjnych opinii”

Ta uwaga nie jest bynajmniej niewinna. Pierwszymi ofiarami Josepha-Désiré Bitero nie byli wcale Tutsi, ale Hutu z dwóch skrajnych partii. To znaczy pacyfiści - sprzyjający dialogowi z rebeliantami - oraz przeciwnicy wszelkich negocjacji, opowiadający się za kontynuowaniem konfliktu bez względu na skutki.

Jest wiarygodny, gdy oświadcza: „Urodziłem się na wzgórzu Kanazi, gdzie żyło wielu Tutsi. Zawsze miałem znajomych Tutsi, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Jednak

dorastałem, słuchając lekcji historii i programów radiowych, w których mówiło się co dzień o trudnych relacjach między Hutu i Tutsi, a równocześnie spotykałem się z Tutsi bez najmniejszych problemów. Istniała wielka przepaść między niepokojącymi wieściami, które docierały z przygranicznych regionów, a naszym otoczeniem, ludźmi, z którymi sąsiadowaliśmy bez zwad. Ta sytuacja musiała w końcu przechylić się na jedną stronę, na stronę okrucieństwa lub dobrych stosunków z sąsiadami”.

Tak czy owak, polityczne zaangażowanie Josepha-Désiré od samego początku było bezgraniczne i bardzo emocjonalne. Skąd wziął się ten nagły zapal? Czy to poryw młodzieńczych ambicji? Radość płynąca z działania lub chęć rozładowania nadmiaru fizycznej energii? Przyjemność czerpana z władzy i przynależności? Spodziewane profity? Trudno odpowiedzieć.

Zwróćmy tylko uwagę, że w jego dzieciństwie nie pojawia się żaden incydent, żadne upokorzenie czy uraza, które mogłyby podsycać osobistą chęć zemsty. I że dla młodego nauczyciela, który zyskuje wprawdzie nowy status społeczny, ale jest bardzo źle wynagradzany, ta od dwudziestu pięciu lat wszechobecna partia, partia jego kuzyna burmistrza, jest jedyną trampoliną do życiowego sukcesu. Chyba że spróbowałby szczęścia w stolicy lub w armii, na co nie ośmiela się ów syn chłopa, którego noga nigdy nie przekroczyła granic powiatu.

On sam tak opisuje swoje motywy działania: „To była bardzo wciągająca aktywność, która mogła przynosić pewne korzyści. Lubiliśmy uroczyste zebrania. Chcieliśmy posmakować władzy i poczuć satysfakcję”

Postawny Joseph-Désiré wyróżnia się na wiecach, zaraża humorem kolegów w kabaretach. Kupuje dom, skromny, lecz zbudowany z wypalanej cegły, w Gatare, dzielnicy ludzi wykształconych i urzędników z Nyamaty. Jego żona Marie-Chantal zatrudnia się na oddziale położniczym. On uważa za rzecz całkiem naturalną spotykać się tego samego dnia z fanatykami, którzy pałają żądzą odwetu i nienawiścią do Tutsi, i ze swymi kumplami Tutsi.

*

Innocent mówi o tych czasach, gdy był jego kolegą: „W gruncie rzeczy Bitero był kiedyś porządnym facetem, był rozmowny, nikomu nie wadził. Nie chciał nikogo skrzywdzić. Należał wprawdzie do innego obozu, ale przyjemnie było opróżnić z nim butelkę. Gdyby nie zawierucha wojny, pewnie pozostałby tym, kim był”.

W jego odczuciu ten zamęt rozpoczął się w 1991 roku, gdy wskutek ataków *inkotanyich* i wprowadzenia systemu wielopartyjnego nasilają się gwałtowne oskarżenia nowych agitatorów, którzy zaczynają krążyć po regionach. W tym czasie Joseph-Désiré

ochoczo angażuje się w działania organizacji młodzieżowej. „Moim zadaniem było werbowanie młodych Hutu, by nie schodzili na drogę występku i nie zapisywali się do innych partii - wyjaśnia. - Nakłaniałem ich, by słuchali przemówień prezydenta. Organizowałem ćwiczenia gimnastyczne, gry i spotkania informacyjne. Ale na wojnie działało się źle. Rwandyjska armia nie mogła utrzymać linii frontu. Przeczuwaliśmy, że mogą zmusić nas do odwrotu. To podsycalo u polityków złość i chęć odwetu. Nas, aktywistów, upajały ich hasła, akceptowaliśmy je”.

Słowo „akceptacja” jest tu eufemizmem, gdyż w dwa lata później, w 1993 roku, Joseph-Désiré zostaje przewodniczącym partyjnej młodzieżówki. „Nie wiem, dlaczego ludzie wybrali mnie na to stanowisko. Nie wiem też, jak mnie widzieli. Myślę, że mieli do mnie zaufanie, bo byłem wykształcony i bardzo oddany sprawie. Wiedzieli, że się nie waham”. Przewodniczący młodzieżówki sprawuje też inną specyficzną funkcję: zostaje dowódcą bojówek *interahamwe* w powiecie, o czym niechętnie mówi. „To zbyt skomplikowane, bo słowo *interahamwe* co innego znaczyło w czasach mojej nominacji, a coś całkiem innego podczas masakr. Kiedy przyjąłem to stanowisko, nie myślałem o zabijaniu, co najwyżej gdyby okazało się to konieczne. Chcę powiedzieć, że nie myślałem, by zabijać dla zabijania”.

Prawda? Kłamstwo? Kiedy narodziła się ta idea? Kiedy się z nią oswoił? Kłamię w odpowiedzi na to ostatnie pytanie, gdyż zaprzecza, by przed zamachem na prezydenta istniał taki zamiar. „Jego śmierć nami wstrząsnęła. Panika popchnęła nas do rzezi, znalazłem się nagle w samym środku ludobójstwa...”

Spośród świadectw na temat tego początkowego okresu wybierzmy najbardziej precyzyjne, słowa Christine, która jak on pochodzi z Kanazi i uprawia sąsiednią parcelę: „W kabaretach mężczyźni zaczęli mówić o masakrach w 1992 roku. Bardzo dobrze pamiętam, bo był to czas głośnych sporów między ugrupowaniami. Po pierwszych wiecach nowych partii pojawiły się w powiatach komitety *interahamwe* i nie było już porozumienia między nami. W powiecie Nyamata przewodniczącym był Joseph-Désiré. Odwiedzał domostwa Hutu, wyjaśniał im, jakim zagrożeniem są *inkotanyi* z Ugandy, sprawdzał, czy schowane za workami fasoli narzędzia są dobrze zastrzone. Pamiętam to dokładnie, bo któregoś dnia przewrócił stopą kocioł na podwórzu. To było w porze suchej przed rzeziami”.

Działo się to między grudniem a marcem, co potwierdza teza Innocenta, który mówi o Josephie-Désiré: „Już w styczniu, na trzy miesiące przed ludobójstwem, jego charakter zupełnie się zmienił. Kiedy wchodziłem do kabaretu, gdzie często się spotykaliśmy, bo mieszkaliśmy po sąsiedzku, milczał, póki nie wyszedłem. Wiedział, że mnie zabije”.

Joseph-Désiré jest jedynym z członków paczki, który już wtedy był zaznajomiony z

planami ludobójstwa. Dwa miesiące wcześniej zaczyna sprawdzać maczety. W nocy po zamachu na Habyarimanę spotyka się z notablami z powiatu. W pierwszym dniu rzezi wyróżnia się na głównej ulicy, chodząc z maczetą w rękę, potem wkracza na czele grupy zabójców do kościoła.

Sam zresztą przyznaje: „Miałem ten przywilej, że byłem dowódcą, musiałem dawać przykład. Chciałem zasłużyć na pochwałę” Przez dwa następne miesiące wprost tryska energią i wszędzie jest go pełno: wieczorem uczestniczy w zebraniach organizacyjnych, rano jest na bagnach Nyamwizy, po południu na wzgórzu Kibungo, N'tarama albo na ulicach Nyamaty, gdzie dyskutuje, poucza takich jak Adalbert, dowodzi oddziałami.

Nie zaniedbuje wszakże rodziny ani swojej żony Marie-Chantal, która opowiada o tym, malując sielankowy portret zbrodniarza wojennego: „Często zaglądał do domu, nigdy nie miał przy sobie broni, nawet maczety. Wiedziała, że jest szefem, wiedziała, że Hutu ścinają Tutsi. Dla mnie był zawsze miły. Dopytywał, czy niczego nam nie brakuje. Któregoś wieczoru kazał nawet odprowadzić drugą żonę swojego teścia do Kabgayi, ponieważ w jej żyłach płynęła krew Tutsi.

W gruncie rzeczy przesiąkł złą polityką, ale nie miał złych myśli. Był łagodny dla dzieci. Nie chciałam go wypytywać o wszystkie te straszne rzeczy, które działy się wszędzie wokół. Dla mnie był dobrym człowiekiem, którego poślubiłam”. Dodaje: „Dziś, kiedy wysłał mi słówko z więzienia, jest taki sam jak kiedyś, wydaje się radosny, niczego się nie domaga, służy radą, dodaje mi otuchy, ukrywa swoje cierpienia”.

By wyjaśnić powody powrotu z Konga i poddanie się nieuniknionej karze, która czekała go po przybyciu, on sam powiada: „Wiedziałem, że zakłady karne są przepelnione i bardzo wielu więźniów umiera. Ale chciałem wrócić do kraju, by moja rodzina mogła liczyć na normalne życie na parceli, nie chciałem, by moje córki skończyły w łachmanach w jakimś odludnym lesie”.

*

Jego proces zaczyna się dwa i pół roku później, 26 maja 1998 roku, w Nyamacie. Stając przed sądem, Joseph-Désiré zachowuje się idiotycznie, w sposób karygodny, choć nie brak mu pewności siebie i zdecydowania.

Przyznaje się do winy, ale jego zeznania zostają odrzucone, gdyż neguje większość swych zbrodni, uchyla się od odpowiedzialności i obarcza winą obowiązującą wszystkich dyscyplinę. Nie okazuje też żadnego współczucia ofiarom. Zresztą podczas naszych rozmów ani przez chwilę nie będzie sprawiał wrażenia człowieka, który zrozumiał, że zachowywał się kiedyś jak ostatni łajdak.

Ani przez chwilę nie próbuje też wzbudzić litości sędziów, nikogo nie oskarża ani nie denuncjuje, by w ten sposób uniknąć kary śmierci. Na próżno próbuje bronić się argumentami nie do przyjęcia, jak te, które nam powtarza: „Byłem bardziej w to zaangażowany, bo w tym czasie okazywałem większe posłuszeństwo partii. Gdybym tego nie zrobił, nic by to nie zmieniło, gdyż wszyscy się z tym godzili, członkowie wszystkich partii. Myślę, że należało jak najlepiej realizować to, co uważano wówczas za słuszne”. Stoi wyprostowany, choć nie bardzo wiadomo, skąd bierze się jego opanowanie, w każdym razie obojętnie znosi reakcje publiczności. „Na sali panowało wielkie wzburzenie, bo był znanym *interahamwe*, zwłaszcza ocalali byli wstrząśnięci. On był spokojny, powściągliwy i bardzo nieufny”, konkluduje Innocent. Obrona linia obrony nie daje mu wielkich nadziei, ale żadna inna nie mogłaby zmienić wyroku. Staje przed sądem sam, nim jeszcze dojdzie do międzynarodowych i rządowych interwencji, przed wejściem w życie polityki narodowego pojednania. Jego proces ma być przykładem dla całego regionu; to jedna z pierwszych okazji, by usłyszeć świadectwa ocalałych, dowiedzieć się o ich cierpieniach i ustalić fakty.

Wśród nich także świadectwo Innocenta, który oskarża go o zabicie swojej żony i dziecka w kościele.

Joseph-Désiré mówi dziś o swoim procesie: „Wszystko, co powiedziałem, mogę powtórzyć i teraz. Byłem sądzony w chwili, gdy ocalali odczuwali jeszcze zbyt wielką złość. Czekali na przykładową karę, nowe władze chciały dać im wyraźny dowód, że nadszedł czas zemsty. Później słyszałem w radiu transmisję z procesu Jego Eminencji Misango. Został uniewinniony. Były sekretarz generalny mojej partii żyje sobie spokojnie w swoim domu. Jeden z autorów planu ludobójstwa na skalę narodową został nawet na krótko premierem, nim uciekł, by robić interesy w Ameryce. Oto jak w tej samej partii jednym się wiedzie, a inni mają kłopoty. Myśliciele uruchomili proces ludobójstwa, a działacze zapłacili za wyrządzone szkody”

*

W pewnej chwili próbuje przedstawiać siebie jako kozła ofiarnego, pechowca, którego złożono na ołtarzu politycznej poprawności, ale Innocent przerywa mu w sposób zdecydowany i zwraca uwagę, że ten, kto nie chce przyznać się do winy, nie ma prawa się skarżyć. Ja z kolei przypominam mu, że był człowiekiem wykształconym i dowódcą zabójców. Odpowiada: „Byłem nauczycielem, zaangażowałem się w politykę, słuchałem rozkazów, zabijałem. W łonie partii byle jaki dowódca nie decyduje o wszystkim. Miałem dyplom szkoły pedagogicznej, ale nie było moim zadaniem rozważać słuszność sloganów partyjnych decydentów. Zdarzają się gorące sytuacje, gdy to do nas już nie należy. Miałem

jedynie myśleć o sposobach działania”. Gdy się go słucha, nasuwa się pytanie, czy czasami nie myśli szczerze tego, co mówi.

Za każdym razem kiedy idzie z oddziału skazańców do naszego ogródka czy kiedy tam wraca, wpada w ramiona jednego z dawnych kompanów z kabaretu albo z czasów rzezi; rzuca dowcip, mruży oko, pyta, co słyhać u tego czy owego, sprawdza swą popularność, a równocześnie próbuje podtrzymać dawne więzy przyjaźni, stara się nawet od razu pojednać z Innocentem. Nie uskarża się szczególnie na zbyt ciasną i niewygodną celę, co najwyżej mówi, że doskwierają mu tam bóle reumatyczne. Strażnikom i dyrektorowi okazuje posłuszeństwo. Bez śladu buty i bez służalczości. Nie domaga się żadnej pomocy dla siebie, jedynie dla swoich córek, których zapewne nigdy już nie zobaczy. Stale próbuje zmienić nasze rozmowy w geopolityczne czy historyczne debaty, w których zaciera się jego osobista droga.

Mówi: „Nigdy nie zobaczy pan źródła ludobójstwa, bo przykryły je ludzkie urazy, cała warstwa nieporozumień, które my też musieliśmy odziedziczyć. Wkroczyliśmy w dorosłe życie w najgorszym momencie historii Rwandy, nauczono nas absolutnego posłuszeństwa, nienawiści, wbijano nam do głowy gotowe formułki, jesteśmy straconym pokoleniem”

Mówi też: „Są takie sytuacje, kiedy masz chęć śpiewać, bo wygrałeś, i takie, gdy masz chęć płakać, ponieważ przegrałeś”, bezwiednie nawiązując do znanego zdania, które wygłosił Servatius, adwokat Adolfa Eichmanna, podczas procesu tego ostatniego w Jerozolimie: „Są czyny, za które was odznaczają, jeśli zwyciężycie, i wysyłają na szafot, jeżeli przegracie”.

Na mocy rządowego dekretu dzień 24 kwietnia 1998 roku staje się pierwszym i jedynym narodowym dniem przykładowych kar. Na stadionach i w innych miejscach publicznych wykonuje się wówczas wyrok śmierci na trzydziestu trzech osobach. Sześciu skazanych z Rilimy przewozi się na wzgórze Kayumba i stawia pośród tłumu ludzi, którzy są przekonani, że Joseph-Désiré musi być w tej grupie, on jednak unika egzekucji, gdyż jego proces się opóźnia i nie wydano jeszcze wyroku. Zostaje skazany na śmierć w dwa miesiące później, po ośmiu dniach rozpraw. Odtąd czeka na prezydencki akt łaski albo zniesienie kary śmierci. Słucha radia, gra w warcaby i modli się do Boga.

Jest jedynym z grupy, który potrafi wyobrazić sobie skutki, jakie może wywołać wydana za granicą książka, i w głębi duszy ma nadzieję, że jego opowieść opóźni chwilę egzekucji. Dlaczego nie miałby więc spróbować powiedzieć całej prawdy, która tak czy owak nie może już mu zaszkodzić?

Nie chce? Nie może? Nie umie już odróżnić tego, co chce wmówić ludziom, od tego, w co sam chce wierzyć? Czy w końcu sam uwierzył w swój klasyczny lejtmotyw,

posłuszeństwo? Odpowiada: „Kiedy dotarła tu do nas decyzja o rozpoczęciu masakr, obowiązek nie pozwalał mi się przed tym cofnąć. To było zbyt trudne, wszystko działo się zbyt szybko, by można było myśleć jak dziś, sześć lat później”

Mówi także: „Ktoś, kto został wciągnięty w politykę, mógł już tylko uciekać albo zostać dowódcą. Ucieczka? Jak już panu mówiłem, to nigdy nie przyszło mi do głowy. Ani myśl, że władze mają niewłaściwą wizję. Mówiłem sobie, że jeśli robota ma być wykonana do końca, trzeba się do niej jak najszybciej przyłożyć. Kiedy wojna zagraża twojej parceli, gdy czujesz siłę wielkiej zbiorowości, partii, która najlepiej dba o intelektualny rozwój i materialny dobrobyt, kiedy cieszysz się zaufaniem władz, działasz, nie licząc się z niczym”

Także z ofiarami? Słyszac to pytanie, nie okazuje irytacji i powtarza: „Żyliśmy długo z przyjaciółmi Tutsi, nawet się nad tym nie zastanawiając, zarażono nas etnicznym rasizmem nie wiadomo kiedy”

W końcu wygłasza zdanie ujawniające przepaść niezrozumienia, która nas rozdziela: „Gdyby jakiś cud Boga pomógł mi wrócić na moje wzgórze, do rodziny i pracy, ludzie zobaczyliby, że mogę znów stać się zwyczajnym człowiekiem”

Dowódcy

PANCRACE: Zważywszy, jak potoczyły się sprawy po wypadku prezydenckiego samolotu, myślę, że ludobójstwo to był szalony plan uknuty przez inspiratorów z Kigali. Ale dokładne wskazówki co do rzezi dotarły na wzgórze dość późno. Czuliśmy napięcie, byliśmy niecierpliwi, czekaliśmy na polecenia, nie wiedzieliśmy, co robić. W gruncie rzeczy poznaliśmy plan ludobójstwa, gdy już się rozpoczęło.

ALPHONSE: Nazajutrz po upadku samolotu burmistrz Nyamaty przyjechał do Kanzenze w towarzystwie żandarmów, by wystąpić na ważnym zgromadzeniu. Opowiedział o wypadku, wyjaśnił powody ucieczki Tutsi, którzy czuli, że podejrzewa się ich o śmierć naszego prezydenta, polecił nam zachować spokój i mieć się na baczności. Ale kiedy przemawiał, żandarmi i *interahamwe* przeciągali kciukami po szyi, naśladując gest zarzynania.

Kiedy burmistrz odjechał, jakiś emerytowany oficer bardzo stanowczo oświadczył: „No, burmistrz wreszcie się zabrał, teraz zrobimy obchód. Weźcie na wszelki wypadek maczety i pałki”. Poszliśmy, kręciliśmy się wokół parcel Tutsi, z obu stron padały pogrożki i doszło do rozlewu krwi, ale prawie nikt nie został wtedy ścięty, bo Tutsi trzymali się jeszcze razem i byli bardzo czujni, a my baliśmy się, by nas nie ranili.

Tak właśnie zaczęliśmy robotę sami: w gruncie rzeczy bez przyzwolenia władz.

JOSEPH-DÉSIRÉ: Wszystkie partie Hutu już od 1992 roku zakładały masakry Tutsi. Programy były precyzyjne i przemyślane. Czytano je na wiecach, a zgromadzeni gorąco je oklaskiwali. Powtarzano je przez radio, zwłaszcza po podpisaniu ugody w Arushy. Wszyscy mogli się z nimi zapoznać i dokładnie je zrozumieć, w pierwszym rządzie biali oraz sami Tutsi.

Tu, w naszym powiecie, szykowaliśmy się do kolejnych masakr w odwecie za ataki *inkotanyich*. Jednak braliśmy pod uwagę wyłącznie zwykłe zabójstwa, takie, jakie znaliśmy już od ponad trzydziestu lat. Im dalej zapuszczają się *inkotanyi* w głąb naszego kraju, tym więcej ich braci Tutsi zgładzimy na ich parcelach, by ich zniechęcić i powstrzymać: tak widzieliśmy całą sytuację w skali naszego powiatu. Co do ludobójstwa, zostaliśmy dokładnie poinformowani dopiero pierwszego dnia.

Ja zaangażowałem się w politykę z powodu mojego kuzyna, który był burmistrzem. Chcieliśmy, by idee prezydenta i znacznej liczby Hutu zwyciężyły. Chcieliśmy odnieść

zwycięstwo bez względu na okoliczności. To w zasadzie rutyna dla kogoś, kto zajmuje się polityką. Tyle że pogarszająca się sytuacja na froncie sprawiła, że obyczaje władzy trafiły do rowu i zapanował bezład.

Najwyższe władze wpakowały nas w wojnę z powodu uraz nagromadzonych od czasów panowania królów Tutsi, by przekształcić ją w ludobójstwo. To nas całkiem przerosło. Stanęliśmy przed faktem dokonanym i trzeba było wprowadzić go w czyn, że się tak wyrażę. Kiedy niespodziewanie dowiedzieliśmy się z Kigali o planie ludobójstwa, nie cofnąłem się nawet o krok. Pomyślałem: jeśli władze dokonały takiego wyboru, nie ma powodu, żeby się ociągać.

Powiedzmy, że ta chaotyczna sytuacja stała się w mych oczach czymś całkiem naturalnym. To rozumiało się samo przez się, a rozkazy padały tak szybko, że nie zostawiały miejsca na żadne wahania. Jeśli ktoś nie stchórzył i nie zdecydował się na ucieczkę, posłusznie chwycił maczetę.

Innocent: „Joseph-Désiré kluczy między jednym kłamstwem a drugim, bo nigdy nie był naiwny. Znam go jeszcze ze szkolnej ławki, później zostaliśmy kolegami po fachu i przyjaciółmi, gdyż był nauczycielem jak ja. Kiedy wybrano go na dowódcę *interahamwe*, powszechnie znanego i budzącego strach, znaleźliśmy się w dwóch przeciwnych obozach, ale nie przeszkadzało nam to dzielić z sobą primusa i żartować.

Jednak, jak już mówiłem, począwszy od stycznia, jego charakter zupełnie się zmienił. Gdy wchodziłem do kabaretu, gdzie się spotykaliśmy, bo mieszkaliśmy niedaleko, milczał, dopóki nie wyszedłem. Kiedy nasze drogi się skrzyżowały, omijał mnie łukiem, odwracał wzrok. Nie chciał już brać ode mnie butelki ani nawiązywać rozmowy. Nie byliśmy z sobą o nic pogniewani, w naszych rozmowach nigdy nie padło żadne obelżywe słowo, a już skreślił mnie z listy znajomych. Wolał przesiadywać godzinami na zebraniach z wpływowymi ludźmi. Nadal był miły, ale tylko dla swych rodaków Hutu.

Dziś myślę, że nie znał w szczegółach planów ludobójstwa, daty ani dokładnej metody. Ale na trzy miesiące wcześniej dobrze wiedział, że zabije mnie, moją żonę i dziecko, choć się z nami spotykał i życzliwie rozmawiał. Był wtajemniczony w plany ludobójstwa, chociaż nie dostał dokładnych instrukcji.

Gdy go aresztowano, spotkaliśmy się w sądzie i powiedziałem mu wprost: »Od dawna o wszystkim wiedziałeś i nie ostrzegłeś mnie słowem, bym mógł chociaż ocalić żonę. Może zabiłeś ją własnymi rękami w kościele«. Na mój widok już chciał wymówić jakieś pojednawcze słowa, ale nagle zamilkł».

ÉLIE: W 1991 roku, po pierwszych atakach rebeliantów z Ugandy, w partyjnych

gazetach zaczęto wskazywać na Tutsi jako na naturalnych wrogów Hutu, z którymi należy się definitywnie rozprawić. To było napisane wielkimi literami na pierwszych stronach.

Potem z wolna zaczęli stawać się przedmiotem ataków w radiu. Na politycznych zebraniach pouczano nas, byśmy nie dzielili już parcel i nie prowadzili żadnej wymiany z Tutsi. Byśmy nie pomagali już sobie na polach, nie zawierali mieszanych małżeństw, nie wybaczali niczego w bieżących sporach, bo kiedyś ruszymy, żeby ich zabijać, i te wzajemne kontakty będą dla nas przeszkodą. Ale nie było żadnych instrukcji co do daty i sposobu działania.

W gruncie rzeczy wojskowi i urzędnicy byli przekonani, że inspiratorzy zdecydowali się zabijać Tutsi stopniowo, by zniechęcić *inkotanyich* do inwazji. Myśleliśmy, że chodzi o masakry na dużą skalę, by raz na zawsze wypędzić ich do Burundi i innych sąsiednich krajów. Nie wiedzieliśmy, że to poważniejsza sprawa.

Do rolników docierały takie czy inne plotki; chętnie widzieliby zwalnijące się nowe parcele, ale przede wszystkim zajmowała ich praca na własnych polach. W dzień po upadku samolotu na wzgórzach zrobiło się bardzo gorąco, nie wcześniej. Ale wtedy od razu zrozumieli, że tym razem zaczęło się na dobre.

IGNACE: Władze wpisały na listę ważne osoby Tutsi z powiatu, na przykład nauczycieli i kupców. Wiedzieliśmy, że ci ludzie muszą zostać zabici w pierwszej kolejności, ale że należy zostawić w spokoju ich rodziny. Że nie musimy zajmować się rolnikami i innymi mniej ważnymi Tutsi. Jednak władze wskazały te znane osoby, a potem oświadczyły, że rodziny muszą umrzeć wraz z nimi, podobnie jak ich sąsiedzi. Te zaplanowane w każdym szczególe masakry wzięły nas przez zaskoczenie, że tak to określe.

JEAN-BAPTISTE: Kiedy republika Habyarimany musiała zgodzić się na system wielopartyjny, wszystkie stronnictwa Hutu zaczęły werbować bojówkarzy. Najpierw by zabezpieczyć się przed innymi partiami, bo między ekstremistami Hutu toczyła się ostra walka, później by zwrócić się przeciwko Tutsi.

Interahamwe byli najbardziej widoczni, śpiewali na wiecach, paradowali po ulicach, spotykali się w ośrodku kultury, by wykonywać ćwiczenia fizyczne. Dostawali napoje i posiłki, a także niewielkie sumy pieniędzy z rąk kupców. Szykowali się do zabijania Tutsi na niewielką skalę, tak jak działo się to już od 1959 roku. Żeby ich ukarać z powodu *inkotanyich* albo z zawiści lub z zemsty i zachłanności, bo mieli dorodne krowy i parcele. Ale o tym, by zgładzić wszystkich Tutsi, pomyśleli dopiero po upadku samolotu.

Pracowałem jako poborca, byłem więc w bardzo bliskich stosunkach z radcą gminy w N'taramie, wiem, że nie użył słowa ludobójstwo, zanim się to zaczęło, nawet o tym nie

myślał. Zaplanowały to ważne osobistości z Kigali, nie ujawniając swych twarzy.

Innocent: „W Kibungu mieliśmy bardzo sympatycznego radcę o nazwisku Servilien Kambali. To był bogaty rolnik, który nigdy nie wdawał się w żadne zwady z sąsiadami na wzgórzu. Podczas etnicznych masakr w 1992 roku wykazał wielki umiar i rozdzielał zwaśnionych, tak iż nie było ani jednego zabitego z tej czy drugiej strony. To był Hutu o pokojowym usposobieniu.

Dziesiątego kwietnia, w trzy dni po wypadku, ostrzegł swoich ludzi: »Cóż, w kraju zrobiło się gorąco. Jednak nie przyzwolę na żadne bijatyki i krwawe starcia w sektorze. Jadę do Nyamaty, by ściągnąć posiłki i zaprowadzić tu spokój. Macie przed moim powrotem nie wychodzić z domów, bo dla wszystkich źle to się skończy. Kto rzuci byle pogroźkę, zostanie ukarany. Kto zechce podnieść rękę, niech uważa«.

W siedzibie powiatu opowiedział o burzliwych nastrojach, poprosił o wsparcie. Burmistrz Nyamaty odparł: »Ty, Servilien, jesteś idiotą. Dość już twoich gaf. Zamiast posiłków dostaniesz dokładne wskazówki i wrócisz z nimi na wzgórze«.

Kiedy Servilien wrócił, powiedział rolnikom Hutu, którzy otoczyli go kręgiem: »Cóż, to już postanowione. Tam u nich już się zaczęło. Musimy wszystkich zabić«. Chwytał strzelbę i później zawsze stał w pierwszej linii, jak przystało na zasłużonego działacza, od pierwszego do ostatniego dnia.

Czy ten pan mógł zachować dobre serce w środku ludobójstwa? Jeżeli chciał zachować stanowisko radcy, oczywiście nie. Jeśli chciał mieć udział w łupach, nie mógł, rzecz jasna, siedzieć z założonymi rękami na swojej werandzie. Z powodu swej reputacji nie mógł też siedzieć cicho na swoim wzgórzu i tylko się przyglądać, nie ściągając na siebie złości młodych ludzi.

Ale mógł nie przykładać się do rzezi i rabunków. Mógł ociągać się w drugim szeregu lub wyjechać do Gitaramy, do swojej rodziny, jeżeli obrzydzeniem napawała go myśl, by wyciągnąć karabin. Na swoim procesie powiedział, że o tym nie pomyślał”.

FULGENCE: Wielu wykształconych ludzi zostało dowódcami. Wielu innych stało się zwykłymi zabójcami, podobnie jak rolnicy. Pracowali jak my, nie wykazując się niczym szczególnym podczas rzezi. Jedni ukrywali, że mają wysokie wyobrażenie o sobie, inni okazywali wyższość. To zależało od tego, jakie stanowisko chcieli objąć potem, kiedy wszystko się skończy. To zależało od ich przyszłych aspiracji.

W gruncie rzeczy ludzie wykształceni nie byli bardziej okrutni niż my.

PIO: Intelktualiści, kupcy i tego typu ludzie wygłaszali tak straszne słowa, że władze chętnie wydawały im karabiny, by wynagrodzić ich zapał i by nie musieli płamić ubrań krwią.

Strzelali, krzyczeli, szli w pierwszym szeregu. Jeśli chodzi o słowa, dorównywali dowódcom, ale gdy chodzi o czyny, byli podobni do reszty. Ci inspiratorzy zabijali w sposób bardziej tradycyjny i nie brudzili się tak jak my.

LÉOPORD: To dowódcy organizowali patrole, rozstrzygali spory podczas dzielenia łupów, każdego dnia wyznaczali nam trasę. Gdyby ich nie było, rolnicy nie wpadliby na pomysł, żeby zacząć tę pracę. Byliby źli z powodu samolotu i obracaliby maczetę w rękę, a potem wrócili na swoje pola. Może nawet pociliby się na bagnach, ale nie tak długo. Zachowaliby umiar. Ta decyzja o zgładzeniu wszystkich była decyzją dowódców.

ADALBERT: To właśnie intelektualiści zastraszaali rolników na ścieżkach wiodących na bagna. Dziś to oni żonglują słowami albo milczą. Wielu zajmuje to samo stanowisko co przedtem i siedzi cicho. Niektórzy zostają ministrami albo biskupami, przenoszą się w jakieś mniej widoczne miejsce, jednak nadal noszą eleganckie ubrania i złocone okulary. A my gnijemy w więzieniu.

IGNACE: Dowódcy mogli się oddalić, jeśli nie odpowiadało im uczestnictwo w codziennych rzeziach. Mogli siedzieć i dyskutować o planach albo wyjechać do oddalonej rodziny. Inaczej niż rolnicy, którzy nie potrafią radzić sobie w mieście. Ale wszyscy zostali na miejscu. Tych, którzy nie szli w pierwszym szeregu, słychać było z tyłu. Chcieli się pokazać i mieć udział w łupach.

Na tyłach *moudougoudou*

Pierwsze *moudougoudou* pojawiły się wkrótce po ludobójstwie i rozprzestrzeniły na terenie całego kraju, powstając najczęściej w pobliżu osad, na szczytach wzgórz, czasem także wzdłuż drogi lub nad strugą wody w środku buszu. W Kibungo, gdy przed pierwszymi domami skręcimy w polną drogę, ujrzymy *moudougoudou*; inne w Kanzenze, przy ścieżce, która pnie się po zboczu ponad przystankiem taxi-busów, czy w przesiece poniżej kościoła w N'taramie.

To ładnie brzmiące słowo nie określa bynajmniej czegoś szczególnie pięknego. *Moudougoudou* to skupisko standardowych, prostokątnych, stojących rzędem domów. Najbardziej okazałe liczą ich trzy tysiące, najskromniejsze trzydzieści. W zależności od regionu i hojności darczyńców domy są budowane z wypalanej cegły, betonu lub glinianych brykietów, czasami mają wprawione okna i są, rzecz jasna, kryte arkuszami blachy.

Projekt *moudougoudou* czerpie inspirację jednocześnie z kibucu, rumuńskiej wioski w koncepcji Ceauçescu i z kołchozu, choć nie wchodzi tu w grę idea kolektywizacji. Ten plan zabudowy terenów wiejskich ma dwa cele. Z jednej strony chodzi o szybkie zastąpienie niezliczonych domów zniszczonych podczas wojny, zwłaszcza domostw ludzi ocalałych. Z drugiej, skupienie w jednym miejscu, dla celów bezpieczeństwa, chłopskich rodzin rozproszonych po lasach i w buszu.

Na pierwszy rzut oka ten rodzaj urbanizacji poprzez przesiedlanie, prowadzący do stopniowego wyludniania się osad, niepokoi człowieka Zachodu, który ma w pamięci szereg tego rodzaju katastrofalnych doświadczeń. Jednak większość mieszkańców *moudougoudou* nie podziela tych obaw. Francine Niyitegeka, Berthe Mwanankabandi, Claudine Kayitesi, Angélique Mukamanzi, Christine Nyiransabimana, osoby wypowiadające się w książce *Nagość życia*, porzuciły rodzinne domy, których nie były w stanie odbudować czy naprawić, by wraz z dziećmi osiedlić się w *moudougoudou*.

Mimo że od ich parcel dzieli je teraz dystans wielu kilometrów, mimo utraty ukwieconych ogrodów, przydomowych grządek i zagród; mimo nieobecności dzierzbików, nektarników z długim ogonem, cudownych słowików rdzawych i pomimo uciążliwego czasem sąsiedztwa, twierdzą, że jest im tu dużo lepiej, że czują się tu bezpieczniejsze.

By zrozumieć ten wybór, trzeba przypomnieć sobie słowa Francine: „Kiedy naprawdę

przeżyło się koszmar na jawie, nie dzieli się już myśli naienne i nocne, jak wcześniej. Od czasu ludobójstwa wciąż czuję się ścigana, w dzień, w nocy. W łóżku walczę z cieniem, na drodze odwracam się, bo czuję, że ktoś za mną idzie. Boję się o swoje dziecko, gdy napotykam nieznaną spojrzenie. Czasem widzę twarz *interahamwe* nad rzeką i mówię sobie: patrz, Francine, tego mężczyznę widziałas już we śnie, i dopiero później przypominam sobie, że ten sen miał się wtedy, na jawie, na bagnach”.

*

Są też inne zjawiska, mniej widoczne niż *moudougoudou*, które pojawiają się czy powracają, zadziwiając zarówno tubylców, jak i cudzoziemców. W Nyamacie nowe kościoły powstają obok starych i w czasie nabożeństw wszystkie są przepełnione, zwłaszcza podczas komemoracji, które co tydzień gromadzą setki i tysiące wiernych. Donośny głos muezina z meczetu odwiedzanego przez repatriantów z Ugandy dwa razy w ciągu nocy podrywa osadę na nogi. Cała chmara chrześcijańskich sekt, z zagranicy czy miejscowych, działa nawet w osadach zagubionych wśród buszu.

Dziś Nyamata jest stolicą dystryktu, a w miasteczku burmistrza zastąpił mer. Tu i ówdzie komputery czekają na doprowadzenie kabla telefonicznego lub koniec rekonwalescencji technika, by połączyć się z internetem i pocztą elektroniczną. Ośrodek kultury, niegdyś zajmowany przez bojówkarzy Josepha-Désiré Bitero, jest teraz miejscem, gdzie rano można przeczytać książkę, a po południu obejrzeć program w telewizji. Nocą dziesiątki nowiutkich telewizorów wspólnie z zabytkowymi odbiornikami radiowymi próbują na próżno zagłuszyć ryki krów, skrzeczenie żab, cykanie świerszczy, gruchanie synogarlic, zakłócając cały ten wspaniały koncert.

W niedzielę drużyna Bugesera Sport, która zmieniła nazwę na Nyamata FC, a fioletowe trykoty na bardziej modne stroje czerwono-białe, gra mecz i choć nie odzyskała dawnego animuszu ani żywiołowej publiczności czy mecenatu kupców, trenuje trzy razy w tygodniu, co dowodzi jej optymizmu.

W środy i soboty targ mieni się kolorami, handlarki w barwnych sukniach stoją nad kuponami tkanin leżącymi na ziemi, każda z parasolką. Ten targ jest jedynym miejscem, gdzie czuje się w powietrzu zapowiedź lepszych czasów. W te dni chłopki, żony rybaków, hodowców, rzemieślników, pośredniczki i kobiety sprzedające w detalu zajmują swoje miejsca, jedna obok drugiej, i jak kiedyś wszczynają harmider, a wszyscy mieszkańcy wzgórz schodzą o świcie, by spędzić dzień w Nyamacie. Na placu znowu czuć dawne wonie, główna ulica znów jest zatłoczona, słysząc zgiełk rozmów w kabaretach. Ludzie gromadzą się przy młynach, tłoczą w ambulatoriach i punktach weterynaryjnych, w rzeźni, w merostwie i na

poczcie.

Rodziny Hutu i Tutsi siadają obok siebie na ławach w kościele, by modlić się, patrząc na księdza; dzieciarnia w szkolnych ławkach słucha nauczyciela; na stadionie ludzie zagrzewają lub deprymują drużynę - ale targ jest jedynym miejscem, gdzie rozmawiają ze sobą normalnie, handlują czy zartują. Jak mówi Rose Kubwimana, matka Adalberta; „Na targu Hutu odzyskali śmiałość i bronią swego jak przedtem”. Te miłe chwile to coś w rodzaju nawiasu, po czym każdy wraca do swojej samotni w jednej z dzielnic albo na wzgórzach.

Tam w górze plantacje kawy, które wymagałyby trzech czy czterech lat pielęgnacji, nim przyniosą owoce, leżą odłogiem, ale plantacje bananów wyróżniają się jaśniejszą barwą w ciemnozielonym pejzażu, jak kiedyś. Produkcja *urwagwy* i liczebność jej klienteli przekroczyły nawet niegdysiejszy poziom, choć jakość trunku pozostała bez zmian.

W Kibungo są już dwa kabarety, jeden naprzeciwko drugiego. Lokal Francine gości wyłącznie ocalałych, drugi jest bardziej „mieszany” jak się tutaj mówi. W samym środku osady, na placu z ubitej ziemi, na kawałkach juty kobiety Hutu i Tutsi łuskają fasolę obok siebie. Krawiec zainstalował się tu z maszyną do szycia marki Singer. Młynek na mazut oszczędza chłopkom dwudziestu kilometrów marszu z workami na plecach, by zemleć zbiory sorgo czy manioku. Setki dzieciaków dryblują kulą z pianki z materaca na placu przy szkole, a krowy korzystają z porzuconych domów, by celić się w luksusie.

Na drugim zboczach wzgórza Kibungo można zejść ścieżką do prawie nieruchomej rzeki, po której suną pirogi, mijając kępy trzciny i nenufary za przyzwoleniem świętych ibisów, pelikanów i białych flamingów, dochowujących wierności tym wodom. Rybacy, wyłącznie Hutu, wędzą nad żarem złowione czarne ryby, których sami nigdy nie jedzą, by nanizac je potem na liany. W całej okolicy hodowcami są wyłącznie Tutsi, którzy nie jedzą ani nie doją swoich krów ankole.

Igiterane, wtorkowy jarmark, niegdyś wyjątkowa okazja by hodowcy, którzy podpierają się kijem i noszą filcowe kapelusze, urządzali parady bydła o potężnych rogach, do dziś nie odbył się ani razu na polanie na wzgórzu Kayumba. Negocjacje toczy się teraz w domowym zaciszu. Jednak pogłowie krów odzyskało poziom sprzed wojny, gromadzi się je w jeszcze większe stada, których znowu pilnują w buszu pasterze ubrani w łachmany, mające ponoć strzec przed zazdrosnym spojrzaniem.

Wielką nowością są pierwsze żywopłoty z wilczomlecza wzdłuż ścieżek - ich zadaniem jest chronić pola. Dziś nie wywołuje to już niczyjej złości, ale dziesięć lat wcześniej uznano by je za świętokradztwo, podobnie jak zasieki na preriach Dzikiego Zachodu, które doprowadziły do słynnej wojny hodowców i farmerów.

Od czasów ludobójstwa minęło dziewięć lat. Od chwili powrotu uchodźców z Konga jedno pytanie jest wciąż aktualne: w jaki sposób żyją wspólnoty Hutu i Tutsi, których los zmusza do sąsiedowania z sobą pomimo ludobójstwa? Możemy wymienić parę obserwacji z Nyamaty, które są dobrą wróżbą: w sobotnie popołudnia coraz częściej widuje się radosne ślubne orszaki, postawiono nadajnik telefonii komórkowej, otworzono szpital, wyjechali przedstawiciele organizacji humanitarnych, nastąpiła moda na skórzane siodełka taxi-rowerów, czarne, różowe i w kolorze migdałowej zieleni, w liceum Apebu egzaminy wstępne są na wyższym poziomie, dwa konkurujące z sobą sklepy żelazne sprzedają blachę, a w mieście pojawiły się pierwsze wille...

*

Można też odpowiedzieć: strach wciąż jest tu obecny, wyczuwalny w każdym momencie i nie wiadomo, jak wiele pokoleń będzie cierpieć z tego powodu, zanim się rozproszy.

To strach, który Angélique przeżywa w ten sposób: „Widziałam wokół siebie wielu świętych ludzi, przez cały ten czas walczyłam z panicznym strachem, naprawdę zbyt wielkim przerażeniem. Pokonałam go, ale nie mówię, że mnie opuścił na zawsze”.

To także strach dzieci Hutu, opisany przez Sylvie: „Dla dzieci Hutu, które powędrowały do Konga, ciężar się nie zmienia, gdyż nie patrzą przeszłości prosto w twarz. Milczenie sprawia, że tkwią nadal w lęku. Czas je odpycha. Z wizyty na wizytę nic się nie zmienia. Dostrzegamy, że w ich głowach troski stale przepędzają inne myśli. Staramy się zachęcić je do mówienia. Nie będą mogły stanąć znowu na nogach, jeśli nie powiedzą nic o tym, co dzieje się w ich głowach”.

Przy ścieżce, która zbiega po zboczach zamieszkanym przez rodziny Pio, Pancrace'a i Adalberta, stoi dom Denise Nikuze, młodej kobiety Hutu w wieku dwudziestu lat. Pośrodku wspaniale ukwieconego podwórza widnieją niszczące mury. Denise i jej siostra Jacqueline Dusabimana razem wychowują swe dzieci, zrodzone „z przelotnych miłości, które przynoszą jednak niewielkie korzyści”

O świcie Denise, ubrana w spłowiały T-shirt i przepaskę na biodrach, udaje się na swoje pole, kładzie owinięte w tkaninę niemowlę w cieniu drzewa awokado i do popołudnia pracuje motyką, nie pijąc i nie jedząc. W niedzielę zakłada koronkową suknię i idzie do kościoła w Kibungu, czasem zapuszcza się kilkaset metrów dalej, do hali targowej, by kupić mydło czy olej, albo wybiera dwudziestopięciokilometrowy marsz do Nyamaty, dzięki czemu może uniknąć ludzkich spojrzeń.

Denise Nikuze okazuje się bardzo gościnna, uprzejma, inteligentna. Podaje nam

urwagwę i kawałki ananasa z drzew rosnących na bagnach. Na wspomnienie rzezi milknie, mówi tylko: „W tych złych czasach mama zapadła na straszną chorobę. Tata zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Moi trzej bracia rozproszyli się w całym tym zamieszaniu, może są w Kongu, a może odsiadują długie lata w więzieniu. Pewnie nigdy się tego nie dowiem. Tu tylko z rzadka spotykam jakichś ludzi i nie mam męża, który by mnie wspierał. Nie słyszę już gróźb, ale nie słyszę też słów pojednania. Teraz jedynie cisza chroni mnie przed strachem i przed złymi cieniami, które krążą po naszych parcelach”.

Dalej przy tej samej ścieżce spotykamy Rose i Marthe, siostrę Pancrace’a, które łuskają fasolę lub tłuką sorgo na mąkę na progach swych domów. Są życzliwe, chwilami wesołe, ciekawe świata, którego echa docierają do nich przez radio; łakną wieści z Rilimy, lecz milkną, wprawdzie nie okazując wrogości, gdy tylko napomknie się o krwawych zdarzeniach.

Życie powraca

ALPHONSE: Wieczorami starcy pytali po cichu: „Dlaczego nie zadowolisz się zabijaniem krów, które tratują pola, nie zabrać żyznych parcel i nie pozostawić większości Tutsi przy życiu?”. Dowódca odpowiadał: „Nie. Ich tradycje są zbyt stare. Tutsi zbyt długo włączają się ze swoimi krowami, znowu zaczęliby gromadzić stada. Zabijcie krowy i Tutsi, to wasze zadanie”.

Nie wiem, czy po wyjściu z więzienia nauczę się spoglądać na krowy dobrym okiem. Hutu nie są obcy z krowami, czują się nieswojo, mijając stada nad wodą czy w buszu. Ale gdy chodzi o wyrządzone kopytami szkody, dogadamy się łatwiej niż kiedyś, będziemy godzić się na odszkodowanie: na przykład worek ziarna czy skrzynkę primusa. I ogrodzimy plantacje krzewami wilczomlecza. Ubój i zemsta to, jeśli o mnie chodzi, sprawa na zawsze skończona.

ÉLIE: Dopiero w obozach wielu poczuło wstyd z powodu tego, co zrobili, a wielu innych w więzieniu, jak ja. Napisałem parę słów przeprosin do znanych mi rodzin ofiar i poprosiłem odwiedzających, żeby je przekazali. Przyznałem się i opowiedziałem o mych przewinach rodzinom osób, które zabiłem. Kiedy stąd wyjdę, zaniosę im prezenty, trunki i jedzenie; na pojednawczych spotkaniach będę stawiał primusa i szaszłyki, ile będzie trzeba.

Potem wrócę do normalnego życia, tym razem okazując wszystkim dobre serce. Już od rana będę z zyczliwością patrzył na sąsiadów. Chcę obsiać swoją parcelę, zbijać albo piłować drewno, murować, z chęcią przyjmę nawet dorywcze prace. A w sytuacji zagrożenia okażę patriotyzm i jeśli to konieczne, wstąpię do armii, jednak nigdy nie będę celował i strzelał z karabinu. Teraz nie chciałbym już zabić nawet przydrożnego zbójcy.

PIO: Myślę, że jeśli opatrność pomoże mi wyjść z więzienia, nie będę marnował życia jak teraz. Wrócę na wzgórze, poszukam dobrej żony, ponieważ los sprawił, że znów jestem wolny. Nie widzę żadnych przeszkód, bym nie mógł wieść normalnego życia. W każdym razie to lepsze niż podróż do innego regionu i ukrywanie się przed pełnymi wyrzutów spojrzeniami ludzi. Życie z piętnem jest lepsze niż egzystencja, która nie byłaby moja.

Jeżeli przyjdzie kiedyś zapomnienie, podziękuję losowi. Jeśli nadarzy się okazja, okażę żal, jeśli okazja się powtórzy, jeszcze raz to uczynię. Nauczę się być cierpliwym i skromnym. Skończyłem z bufonadą. Jeśli życie w gronie sąsiadów było kiedyś możliwe, musi

być możliwe i teraz, mimo całego tego głupiego zabijania.

Tak czy owak, wszyscy muszą się przyzwyczaić do zła, które przeżyli, nawet jeśli to zło znaczyło co innego dla jednych, a co innego dla drugich, gdyż wszyscy musieli znosić je na swój sposób.

JOSEPH-DÉSIRÉ: Ponieważ zostałem skazany na śmierć, mam czas, by rozmyślać nad życiem, nad którym zawisł nagły i nienaturalny koniec. W naszym korytarzu siedzi trzydziestu mężczyzn, których los zmusił do czekania, grania w *igisoro*, nadstawiania ucha na wieści ze świata nadawane przez radio.

To życie różni się od życia, które kiedyś wiodłem, w niczym nie przypomina tego, które sam wybrałem. Ale to jednak życie, moje własne, i jeśli go nie przyjmę, nikt nie zaproponuje mi w zamian innego.

FULGENCE: Myślę, że skutki były bardzo przykre dla nas wszystkich. Niektórzy mieli na koncie bardzo wielu zabitych. Ale my cierpieliśmy też ciężką dolę w obozach i straszne życie w więzieniu. Na wygnaniu choroby zabrały mi dwójkę dzieci, matkę, wielu rodaków, a ja siedzę za kratami.

Czas ukarał mnie za złe uczynki i może teraz, gdy wyjdę z więzienia, pozwoli mi zacząć zwyczajne życie. Po tych rzeziach i tylu ciężkich doświadczeniach nie patrzę już na Zło jak kiedyś, stałem się normalnym człowiekiem.

Nie wiem, jak przyjmą mnie sąsiedzi, bo nie miałem dotąd okazji, by z nimi porozmawiać. Myślę, że zdołam ich przekonać, by odnosili się do nas jak przedtem, przynajmniej gdy chodzi o pozory. Bardzo tęsknię do żywych, tak chciałbym już ich spotkać.

PANCRACE: Teraz martwych i żywych dzieli czas wielkiego chaosu. Ale żywi muszą przecież trwać w tym świecie. Po powrocie na wzgórze poproszę sąsiadów, by zechcieli znów żyć ze mną w zgodzie. Poproszę czas o wsparcie, by moja parcela zaczęła dawać plony, bym znalazł dobrą żonę. Na początku zaproponuję sąsiadom Tutsi pomoc przy pracy w polu. Nie wiem, czy zgodzą się jak kiedyś, ale zaproponuję to, nie stawiając żadnych warunków, by pokazać, że mam dobre zamiary.

Nie licząc ciężkich lat spędzonych w więzieniu, nie wydaje mi się, by moje życie mocno ucierpiało z powodu wszystkich tych godnych pożałowania zdarzeń. Dobre i złe chwile wcale mnie nie zmieniły, ale gdy chodzi o innych, to bardzo delikatna sprawa.

JEAN-BAPTISTE: Jestem spokojniejszy, od kiedy zacząłem mówić. Odsiedzę karę, ale nie widzę żadnych przeszkód, bym nie miał wrócić potem do żony, odnaleźć miejsca wśród ludzi, zobaczyć znów sześciorga moich dzieci, nawet jeśli wzrastały beze mnie i mnie nie rozpoznają. Muszą jednak zwrócić uwagę na jedno: w moim życiu powstała głęboka

szczelina. Nie wiem, jak to wygląda u innych. Nie wiem, czy to dlatego, że moja żona jest Tutsi. Ale zdaję sobie sprawę, że ani łagodny wyrok, ani przebaczenie ze strony poszkodowanych rodzin nigdy jej nie wypełnią. Nie wypełniłoby jej pewnie nawet zmartwychwstanie ofiar. Nawet moja śmierć chyba jej nie wypełni.

IGNACE: Jestem dobrym rolnikiem, a nie mam już nawet najprostszyc narzędzi. Moje dzieci rozproszyły się po kraju i nie słyzałem z ich strony ani słowa otuchy. Nie wiem nic o stanie mojego domu. Od czasu rzezi nie chodzę po wzgórzu. Mam wiele obaw. Czasem przeraża mnie myśl o spojrzeniu tych, którzy przeżyli i tam na mnie czekają. Żałuję wszystkiego, co straciłem.

Myślę, że kiedy stąd wyjdę, będę miał co jeść. Ale gdy chodzi o życiowe powodzenie i uznanie jak kiedyś, już teraz wiem, że to przegrana sprawa. W więzieniu moje życie tylko błądzi bez celu, stale natrafia na przeszkody, nie mogę nadać mu żadnego kierunku, co najwyżej myślę o powrocie na parcelę. Tak chciałbym chwycić oburącz motykę, zginać grzbiet i o niczym nie słyszeć, jedynie o zbiorach.

FULGENCE: Zbyt trudno jest nas sądzić, gdyż to, co zrobiliśmy, przekracza możliwości ludzkiej wyobraźni. W każdym razie zbyt trudno jest nas sądzić tym, którzy nie brali w tym wszystkim udziału. Dlatego myślę, że powinniśmy uprawiać pola jak dawniej, jednak odrzucając złe myśli; przy każdej okazji musimy okazywać skruchę; rozdawać drobne datki osobom poszkodowanym. I zostawić Bogu zbyt ciężkie dla ludzi zadanie, by nas później ukarał.

LÉOPORD: Jeśli ktoś odczuwa skruchę z powodu przelanej krwi, może liczyć na to, że szczęście poda mu rękę i będzie mógł zacząć od nowa na swym rodzinnym wzgórzu. Podobnie ten, kto godzi się mówić, choćby narażając się na cięższą karę, a także ktoś, kto opowie sąsiadom, co robił maczetą.

Ale jeśli powtarza, że nie pamięta niczego albo tylko jakieś nieistotne szczegóły, jeśli mówi, że go tam nie było, i wygłasza tego rodzaju brednie, jeśli ugina się pod ciężarem kłamstwa w nadziei, że uniknie kary i ludzkich wyrzutów, nie może liczyć na to, że kiedyś wróci do domu. Takich kłamców jest bardzo wielu.

W więzieniu wielu zabójców myśli, że prawdziwym powodem ich obecnych kłopotów jest to, że ponieśli klęskę. Na wzgórzach także. Mówią, że zbyt daleko już zaszli bez Tutsi, żeby się teraz cofać. Myślą, że nie znajdą już sobie miejsca wśród Tutsi, których nie udało im się zgładzić do końca. Mówią, że w obecnej sytuacji zostaną zepchnięci na margines.

Są zbyt owładnięci myślami o zemście, by liczyć na to, że się stąd wydostaną i będą mogli patrzeć, jak zmienia się ich wzgórze. Nie są w stanie pogodzić się z normalnym życiem

pod spojrzeniami Tutsi. Zawsze będą rzucali obelżywe słowa.

ADALBERT: Gdy wrócę na Kibungo, zajmę się moimi polami i rodziną. Podczas rzezi i w więzieniu postarzałem się, nabrałem umiaru. Nie jestem już takim zapaleńcem jak kiedyś. Straciłem chęć do bijatyk i zabawy.

Nie wiem, jak będzie z ludźmi, którzy to przeżyli. Niektórzy z Kibungo będą mnie mogli zrozumieć, ale tylko ci, którzy machali maczetą jak ja albo jeszcze bardziej. Ale gdy chodzi o Tutsi, nie chcą o niczym słyszeć i niczego zrozumieć. Nie można ich prosić, by podzielili nasz punkt widzenia. Myślę, że ból każe im odrzucać wszelkie wyjaśnienia. To, czego się dopuściliśmy, jest dla nich niehumanitarne. Może cierpliwość i zapomnienie w końcu przeważą szalę, a może i nie.

Targi o przebaczenie

Czy należy przebaczać? Czemu miałyby służyć przebaczenie? Miałyby zachęcać do ujawniania prawdy? Umożliwić ocalałym spokojniejsze przeżywanie żałoby? Sprzyjać pojednaniu niezbędnemu przyszłym pokoleniom?

Kto może przebaczyć? Czy można przebaczyć w imieniu kogoś innego, krewnego, przyjaciela, zwłaszcza gdy ta osoba zginęła? Czy można przebaczyć komuś, kto nie prosi o przebaczenie albo nie jest w tym szczery czy wcale tego nie chce? Czy istnieje wiele sposobów przebaczenia? Różne stopnie przebaczenia? Jego różne etapy? Czy można prosić kogoś innego, Boga czy istotę ludzką, by przebaczyli w naszym imieniu, jeśli sami czujemy się do tego niezdolni? Jakie zobowiązanie bierze na siebie osoba prosząca o przebaczenie? A jakie ten, kto przebacza? Oto szereg kwestii równie starych jak ludzkość.

Filozof Paul Ricœur w książce *Pamięć, historia, zapomnienie* pisze: „»Czy można wybaczyć komuś, kto nie wyznał swojej winy?«; »czy ten, kto wypowiada przebaczenie, osobiście musiał zostać obrażony?«; »czy można wybaczyć samemu sobie?«. Nawet jeśli dany autor rozstrzyga tak, a nie inaczej - jak nie miałby zrobić tego filozof, skoro przynajmniej jego zadanie nie ogranicza się do rejestrowania dylematów? - zawsze pozostaje miejsce na zastrzeżenia”².

*

Od pół wieku współczesne konflikty, które dotyczą zwłaszcza ludności cywilnej, rodzą nowe pytania na temat przebaczenia: czy można udzielić go sprawcom wszystkich masowych zbrodni? Ludziom decydującym o zbrodniach popełnianych przez państwo, dopuszczającym się zbrodni przeciwko ludzkości? Czy można udzielić zbiorowego przebaczenia grupie, która popełniła czy popierała tego rodzaju czyny, narodowi, który w większości się z tym solidaryzował, państwu odpowiedzialnemu za zbrodnie na wielką skalę? Tym, którzy o to proszą, ale nie chcą wziąć na siebie odpowiedzialności?

*

Czy można, po ludobójstwie, przebaczyć tym, którzy próbowali nas zgładzić?

*

Na to ostatnie pytanie ocalali z dystryktu Bugesera w wiele lat po tych wydarzeniach

² Paul Ricœur, *Pamięć, historia, zapomnienie*, przeł. Janusz Margański, Towarzystwo Autorów i

niemal jednogłośnie odpowiadają „nie” choć nie umieją przewidzieć, czy ich stanowisko nie zmieni się wraz z upływem czasu.

*

Żeby zrozumieć tę odmowę, skupmy się na trzech wypowiedziach ocalałych z bagien Nyamaty, które dobrze odzwierciedlają sposób myślenia innych.

Francine, chłopka i sklepikarka z Kibungo, a więc sąsiadka bandy, mówi: „Czasem, gdy siedzę sama na krześle na werandzie, wyobrażam sobie coś takiego - gdyby kiedyś w przyszłości ktoś z sąsiedztwa podszedł wolnym krokiem i powiedział: »Dzień dobry, Francine, pozdrowienia dla twojej rodziny. Przyszedłem porozmawiać. Tak, to ja ściałem twoją mamę i młodsze siostry« albo »To ja próbowałem zabić cię na bagnach, chciałbym prosić o wybaczenie« - takiej osobie nie mogłabym powiedzieć niczego dobrego. Mężczyzna, który wypił o jednego primusa za dużo i bije swoją żonę, może prosić o wybaczenie. Ale jeśli przez cały miesiąc trzymał się, zabijając, nawet w niedzielę, jaką może mieć nadzieję na przebaczenie?

Musimy jedynie powrócić do życia, ponieważ ono tak zdecydowało... Znowu zaczniemy razem czerpać wodę, rozmawiać po sąsiedzku, sprzedawać sobie ziarno. Może za jakieś dwadzieścia, pięćdziesiąt lat młodzi chłopcy i dziewczęta będą się uczyć o ludobójstwie z książek. Jednak dla nas przebaczenie jest rzeczą niemożliwą”.

Sylvie, pracownica socjalna na wzgórzach i właścicielka piekarni w Nyamacie, podkreśla: „W głębi duszy myślę, że nie chodzi o przebaczenie ani o zapomnienie, lecz o pojednanie. Białemu, który pozwolił pracować zabójcom, nie ma czego wybaczać. Hutu, który masakrował, nie ma czego wybaczać. Temu, który patrzył, jak jego sąsiad otwiera brzuchy dziewczętom, żeby na ich oczach zabijać dzieci, nie ma czego wybaczać. Nie warto tracić czasu na rozmowę z kimś takim. Tylko sprawiedliwość może wybaczyć... Sprawiedliwość, która zrobi miejsce dla prawdy, by wyparował strach... Być może któregoś dnia rodziny tych, którzy zabijali, i tych, którzy zostali zabici, zaczną współżyć i pomagać sobie nawzajem, jak kiedyś.

Ale gdy chodzi o nas, jest za późno, bo straciliśmy zbyt wiele i powstała pustka. Szliśmy ku życiu, ścinano nas i musieliśmy się cofnąć. To bardzo ciężkie dla istoty ludzkiej cofnąć się za linię, z której patrzyła na świat”.

Wreszcie Édith, szkolna księgowa, jedyna osoba, która bierze pod uwagę możliwość przebaczenia, nadając mu wszakże wymiar mistycznego odpuszczenia grzechów. Jest żarliwą

katoliczką, odwiedzającą wszystkie kościoły na wzgórzach, i tak to usprawiedliwia: „Wiem, że Hutu, którzy zabijali z takim spokojem, nie mogą być szczerzy, gdy proszą o wybaczenie, nawet Pana Boga. Ale ja jestem gotowa przebaczyć. Nie dlatego, by zanegować zło, które czynili, nie chcę też zdradzać Tutsi ani niczego upraszczać. Jednak nie chcę cierpieć przez całe życie, pytając, dlaczego chcieli mnie ścigać. Nie chcę żyć z poczuciem winy i w lęku, że jestem Tutsi. Jeśli im nie przebaczę, tylko ja będę cierpieć, nie spać i złorzeczyć. Pragnę spokoju ducha, naprawdę muszę się opanować, muszę odrzucić strach, nawet jeśli nie wierzę w ich pojednawcze słowa”.

*

Warto przywołać we wprowadzeniu do tego rozdziału owe wypowiedzi, gdyż ilustrują one brak zrozumienia między ludźmi ocalałymi oraz zabójcami w kwestii przebaczenia, brak zrozumienia, który być może czyni je niemożliwym.

Z wszystkich protagonistów, aktywnych czy biernych, rwandyjskiego ludobójstwa - ocalałych, zabójców, repatriantów, świadków z kręgów politycznych, z organizacji humanitarnych i instytucji religijnych - ocalałych najmniej zajmuje kwestia przebaczenia. Można powiedzieć, że mówią o nim tylko wtedy, gdy sami poruszymy ten temat, nawet jeśli perspektywa pojednania budzi ich wielki lęk.

Zabójcy, przeciwnie, najczęściej wspominają o przebaczeniu, tyle że z naiwnością, która może budzić konsternację, jak pokażą to kolejne strony. W istocie rzeczy te dwie koncepcje przebaczenia wyrażają dwie wizje przyszłości i dalszych wzajemnych relacji obu grup etnicznych.

*

Zwróćmy tu uwagę, że istnieje zasadnicza różnica między zbrodniarzami z czasów ludobójstwa i zbrodniarzami z czasów zwykłych wojen. Ci ostatni, także odpowiedzialni za barbarzyńskie czyny, za gwałty, tortury, ogrom zniszczeń, z upływem czasu często zaczynają poczuwać się do winy, stawiać sobie pytania o wysiłek, dar siebie, niezbędny, by doszło do aktu przebaczenia, co dotyczy zarówno poszkodowanych, jak ich samych.

Inaczej jest z zabójcami tworzącymi paczkę z Kibungo, którzy wiele mówią o przebaczeniu, liczą na nie, ale w ich języku nie ma miejsca na znaki zapytania. Przebaczenie, zbiorowe czy indywidualne, użyteczne czy zbędne, bolesne lub nie, wydaje im się czymś niemal oczywistym, gdy tylko o nie poproszą.

Co ciekawe, są w stanie wyobrazić sobie, co w przypadku ocalałego oznacza żal, gniew czy nieufność, pragnienie albo akt zemsty; rozumieją te gwałtowne reakcje w stosunku do siebie samych, ale nie mają pojęcia, co dla ocalałego znaczy akt przebaczenia. Jednym

wyduje się, że jest to coś w rodzaju obowiązku, dla innych jest to jakiś tajemniczy gest, który zależy od życzliwości czy charakteru rozmówcy, w każdym razie sprowadza się to do zaniechania myśli o odwecie.

Może to być także swego rodzaju targ, coś za coś: przyznaję się do pewnych rzeczy i tyleż zostaje mi wybaczone. Albo formalność: skoro zostałem ukarany, to znaczy, że zostało mi odpuszczone, bo nałożona kara zakłada określony stopień przebaczenia. W grę może też wchodzić szczególny rodzaj konformizmu: przebaczyć znaczy zapomnieć i dla wszystkich jest to najlepszy sposób, by wrócić do dawnych dobrych czasów, zacząć od nowa, jakby nic się nie stało.

Podstawowy warunek dla kogoś, kto chce prosić o przebaczenie: wyznanie prawdy bez żadnych kalkulacji, by uwolnić pamięć i pozwolić ofiarom przeżywać żalobę, nie wydaje się zabójcy czymś oczywistym.

Nie wyobraża sobie, co musi przeżywać ofiara, gdy godzi się przebaczyć. Przebaczenie nie tylko otwiera dawne rany, ale odbiera wszelką możliwość szukania ulgi w akcie zemsty. Zabójca nie rozumie, że prosząc o przebaczenie, domaga się nadludzkiego wysiłku od osoby, do której się zwraca. Nie pojmuje jej dylematów, wewnętrznego wzburzenia, odwagi, której wymaga tego rodzaju wspaniałomyślny gest.

Nie zdaje sobie sprawy, że jeśli prosi o przebaczenie jak o zwykłą formalność, taka postawa potęguje ból, ponieważ go lekceważy.

Zabójca nie dostrzega związku między prawdą, szczerym wyznaniem oraz przebaczeniem. Mówi jakąś część prawdy, bo doradzono mu, że w ten sposób w mniejszym czy większym stopniu zatrze swoją winę, złagodzi karę, a nawet wyrzuty sumienia. Prośba o przebaczenie jest też aktem interesownym w dalszej perspektywie, ułatwia bowiem spotkania z ludźmi, powrót do wspólnoty i pomaga nawiązać znowu relacje z sąsiadami.

W poprzednim rozdziale cytowaliśmy słowa Éliego: „Napisałem parę słów przeprosin do znanych mi rodzin ofiar i poprosiłem odwiedzających, by je przekazali” Prośbę o przebaczenie przekazuje się na piśmie lub przed sądem, czy też za pośrednictwem któregoś ze znajomych. Toteż przy okazji naszych wizyt w Rilimie więźniowie wielokrotnie zwracają się do Innocenta, by w ich imieniu prosił o wybaczenie ocalałych z Kibungo.

Élie i większość innych nie proszą o przebaczenie, tylko ciszej lub głośniejszym głosem mówią „przepraszam” ofiarom, a te decydują, czy zechcą ich wysłuchać, przyjmując te przeprosiny albo je odrzucić. Trochę tak, jak przepraszamy osobę, którą potrąciliśmy na ulicy. Lub proszą o to z przeświadczeniem, iż ów akt, upokarzający i budzący litość, sam w sobie zasługuje na pozytywną odpowiedź, trochę jak niemiecki żołnierz z dziwnej alegorii opowiedzianej przez

Szymona Wiesenthala w *Słoneczniku*.

*

Te uwagi rodzą szereg kolejnych pytań, które czytelnik mógł sobie zadawać, zapoznając się z refleksjami tych ludzi na temat ich wspomnień i snów. Zabójcy twierdzą, że te są w większości przesycone scenami z ich dawnego życia: rodzina, prace w polu, pejzaże, kabarety. To zrozumiałe, gdy przypomnimy sobie, w jakim pośpiechu porzucili ten dobrze znany świat, by dać się porwać szaleństwu rzezi, a potem rzucić się do panicznej ucieczki. Jednak opowieści o ich koszmarach wprawiają w zakłopotanie.

Większość utrzymuje, że nie ma koszmarnych snów, w przeciwieństwie do ofiar prześladowanych nocami przez bolesne, przerażające, obsesyjne, rodzące poczucie winy wizje. Co więcej, nieliczne koszmary zabójców wiążą się raczej z udrękami życia w obozach w Kongu czy w więzieniu niż z czasem, kiedy byli zabójcami na bagnach.

Czy to możliwe? Spośród wszystkich zbrodniarzy wojennych zabójca biorący udział w ludobójstwie miałby być tym, który wychodzi z tego najmniej zaburzony? Mamy wierzyć, że jego sny do tego stopnia przesłaniają wręcz niewiarygodne czyny i uczucia? Czy ofiary są w nich naprawdę niemal nieobecne? Jeśli tak, jak to się dzieje, że podczas snu unikają wyrzutów sumienia, choć nie chroni ich wtedy kłamstwo? Czemu zawdzięczają tę pobłażliwość ze strony podświadomości, zadziwiającą łatwość, z jaką zatrząskują drzwi celi przed poczuciem winy?

Jeśli to niemożliwe, dlaczego zaprzeczają koszmarom - które mogliby przedstawić jako oczywisty dowód wyrzutów sumienia i sposób na spłacenie długu - albo je bagatelizują, zwłaszcza że równocześnie, w ciągu dnia, opowiadają w szczegółach o swych zbrodniach? Czy boją się, że opisy snów ich przerosną? Że będą przeczyć ich opowieściom albo podawać je w wątpliwość? Że staną się one niewiarygodne i będą bardziej ich obciążać? Czy boją się, by opis scen z koszmarnego snu nie ujawnił im samym rzeczy, które wolą ukryć? Czy w ten sposób przygotowują swój powrót do społeczeństwa? Czy jest to po prostu odmowa patrzenia wstecz, szeroko otwartymi oczami, ze strachu przed samym sobą?

Czy istnieje związek między ich niezrozumieniem istoty przebaczenia i niechęcią do mówienia o koszmarnych snach? Czy jest to sposób na skanalizowanie wspomnień, oddalenie ryzyka, że mogliby utracić panowanie nad swoimi słowami? Sposób, by psychicznie poradzić sobie z własnymi uczynkami i móc dalej żyć?

Akty przebaczenia

ÉLIE: Masakry nas przerosły, przebaczenie przerasta nas w taki sam sposób. Nigdy nie rozmawialiśmy tak naprawdę o rzeziach w czasach pracy na bagnach, nie wiem, czy możemy mówić o przebaczeniu teraz, gdy wszystko się już skończyło.

Oto co o tym myślę: gdyby ktoś okazał choć trochę skruchy przed zakończeniem masakr i z własnej woli opuścił bagna, zostawiając za sobą rozbabraną robotę, albo gdyby z tego powodu stracił korzyści płynące z grabieży i szacunek kolegów, komuś takiemu można by z serca wybaczyć.

Ale my możemy wyrazić skruchę tylko przez pobyt w więzieniu i otrzymamy jedynie przebaczenie z rozsądku. To też rodzaj przebaczenia, ale ostatniej kategorii. Namiastka przebaczenia, że się tak wyrażę. Może być nic niewarte, jeśli sytuacja się zmieni. Może okazać się nietrwale w przyszłości, gdy pojawi się groźba nowych krwawych starć.

FULGENCE: Przebaczyć znaczy wymazać krzywdę, którą ktoś ci wyrządził.

Ale przebaczyć można tylko wtedy, gdy usłyszymy całą prawdę, bez wykrętów. Podczas procesu prosiłem o wybaczenie pokrzywdzonej rodziny i przyznałem się do zła, które wyrządziłem. Myślę więc, że mi wybaczą. Jeśli nie, trudno, będę się modlił.

Przebaczenie to prawdziwe szczęście, może złagodzić karę i dać ulgę sumieniu, ułatwia zapomnienie. Ten, kto je zyskuje, wygrywa. Nie wiem, co powiedzieć o kimś, kto przebaczenia udziela, bo dotąd nie poznałem nikogo takiego. Myślę, że kiedy ktoś przebacza, należy mu się odwdzińczyć stosowną rekompensatą.

ADALBERT: Prosić o wybaczenie, to po pierwsze powiedzieć całą prawdę poszkodowanej osobie. Po drugie, prosić, by zapomniała zło, które wyrządziłeś jej czy komuś z rodziny. Po trzecie, zapewnić, że będziesz ją szanował jak wcześniej bez żadnych skrytych myśli.

Jeśli taka osoba zgodzi się od razu, to masz wielkie szczęście. Jeśli nie, musisz zaczynać od nowa. Nie trzeba się zniechęcać po tym wszystkim, co dotąd musieliśmy znieść. Im częściej wchodzi się na ścieżkę przebaczenia, tym szybciej się je uzyskuje. Zwłaszcza kiedy władze mówią o narodowym pojednaniu, by zachęcić do tego ludzi, którzy przeżyli.

JEAN-BAPTISTE: W więzieniu wielu odrzuca przebaczenie. Mówią: „Prosiłem o przebaczenie i wciąż siedzę w więzieniu. Czemu to służy prócz przypodobania się

władzom?”. Albo powtarzają: „Spójrzcie na niego, podczas procesu prosił wszystkich, by mu wybaczyli, i wcale nie uniknął surowej kary. Starania o przebaczenie to dla nas próżny trud”. Dlatego wolą zostać przy swoich dawnych przekonaniach.

Ale ja bardzo często myślę o przebaczeniu. I jestem pewien, że będzie mi wybaczone, bo się przyznałem, bo jestem przekonany o swojej winie i postanowiłem żyć tak samo jak przedtem. Jeśli za pierwszym razem skrzywdzona osoba nie może mi wybaczyć, czas jej dopomoże i zrobi to przy jakiejś lepszej okazji. Przebaczenie pomoże nam razem zapomnieć.

Nawet jeśli w obu obozach są ludzie, których pamięć może kryć w tajemnicy bardzo przykre wspomnienia.

IGNACE: Przebaczenie to łaska Boga, która pozwala zapomnieć komuś, kto był ścigany i bity.

Jeśli ktoś stracił żonę, dzieci, dom oraz wszystkie sprzęty, stado, jeśli wyznaje swój ból wszechmocnemu Bogu, takiej osobie przebaczenie pozwala pokonać złe doświadczenia i strach.

Jeśli ocalały jest głęboko wierzący, to dobrze, gorzej gdy jest inaczej. Ja wiem, że gdybym był w ich sytuacji, potrafiłbym przebaczyć swemu winowajcy, gdyż zawsze zachowywałem wielką wiarę w Boga.

ADALBERT: Jeśli przebaczą mi władze, jeśli przebaczy mi Bóg, przebaczą mi też sąsiedzi. Przyjdzie nam długo czekać, trzeba się będzie natrudzić, ale to przebaczenie jest rzeczą konieczną. Bez przebaczenia znów będzie mogło dojść do straszliwych rzezi. Taką decyzję podjęły nowe władze w Kigali. Pokrzywdzonym sąsiadom trudno będzie sprzeciwić się wymiarowi sprawiedliwości i religii.

PANCRACE: Powiedzieć poszkodowanemu prawdę to niełatwe, ale też nie boli. Wysłuchanie prawdy z ust zabójcy może boleć, za to jest łatwe. Dla obu stron to może być korzystne, ale i nieprzyjemne. Dlatego prosić o przebaczenie jest równie ciężko, jak przebaczać.

Z tego powodu wielu więźniów woli prosić o wybaczenie Boga niż swoich sąsiadów i przepycha się do pierwszego rzędu podczas wspólnych modlitw i chóralnych śpiewów. Gdy chodzi o przebaczenie, liczą tylko na Boga, nigdy na sąsiadów. Rozmowy z Bogiem są mniej ryzykowne i mogą przynieść ulgę.

ALPHONSE: Przebaczenie to łaska osoby, która doświadczyła zła. Jeśli ofiara słyszy z ust winowajcy prawdę, szczerą prośbę, może osądzić, czy chce o tym zapomnieć. Ja otrzymałem przebaczenie od władz i jeśli wyjdę z więzienia po odsiedzeniu kary, będę mógł ujawnić na wzgórzu jeszcze więcej prawdy niż podczas procesu. Dodam kolejne fakty,

przywołałam wspomnienia, które zachowałem tylko dla sąsiadów. Gdy będę wolny, opowiem w szczegółach, co działo się na bagnach. Będę odwiedzał domy i mówił, jak to było w przypadku tego czy owego, by zaspokoić ich potrzebę wiedzy i zyskać ich przebaczenie.

Ale jeśli dostanę ciężki wyrok i będę musiał zbyt długo pozostać w więzieniu, nadal będę żył tutaj jak zabójca. Bez przebaczenia, bez okazji, bym mógł zdobyć się na odwagę, bez prawdy. To znaczy jak osoba, która wszystko straciła, nie tylko materialnie.

IGNACE: Powiem tak: jeśli mi w pełni przebaczą, odzyskam zwykły stan ducha, dawną mentalność. Jeśli mi nie przebaczą, zachowam mentalność złoczyńcy. Ale to ocalali mogą powiedzieć dobre słowo, nie ja. Dlatego się niecierpliwię. Przebaczenie jest zawsze korzystne dla osoby, która je otrzymuje.

JOSEPH-DÉSIRÉ: Ludzie zwracali większą uwagę na to, co robiłem, bo miałem ważną funkcję. Jeśli odmawia mi się przebaczenia, to nie dlatego, bym był bardziej winny, ale dlatego, że ta wina była bardziej widoczna.

LÉOPORD: Na bagnach wielu Tutsi prosiło o przebaczenie, nim otrzymali śmiertelny cios maczetą. Prosił o litość lub łaskę. Prosił, by darować im życie albo oszczędzić męczarni. Strach i cierpienie podsuwały im takie słowa.

Błagali z całych sił, bo nie mogli niczego już ofiarować, ale my drwiliśmy sobie z tego rodzaju próśb. Przeciwnie, czasem to nas wręcz zachęcało. To byli tylko Tutsi zasługujący na śmierć, a my byliśmy ludźmi pozbawionymi litości.

Dlatego to kłopotliwa sprawa, mówić o przebaczeniu w więzieniu. Kiedy stąd wyjdę i zamiast przebaczenia spotkam się z furią ludzi, nie okażę złości. Będę to znosił i cierpliwie czekał. Powiem im tylko: „Cóż, teraz to wy dysponujecie przebaczeniem, jest po waszej stronie, zasłużyliście na to, możecie postępować wedle własnego uznania. Ja będę czekał na odpowiedni moment. Wrócę do życia, które na mnie czeka, nie będę wam złorzeczył”

ÉLIE: Niektórzy zazdroszczą ludziom, którzy nie musieli prosić o przebaczenie i wrócili na swoje parcele, nie przekraczając bramy więzienia w Rilimie. Inni mówią, że tym, którzy o nie prosili, nie odpłacono jak trzeba i oni też siedzą w zakładzie. Twierdzą, że nie warto starać się o przebaczenie, kiedy jest się więźniem.

PIO: Prosić o przebaczenie to rzecz naturalna. Udzielić przebaczenia to całkiem inna sprawa. Ale kto może dziś decydować o przebaczeniu? Ci, którzy nic nie zrobili, jak chociażby biali? Ci, którzy przybyli zbyt późno za oddziałami FPR, ze swymi oszczędnościami i myślami o zemście? Ci, którzy szczęściem uniknęli śmierci, przemykając się pod papierusami? Nawet gdy jest to matka, której dziecko ścięto, jak może wybaczyć w imieniu swojego maleństwa, skoro go już nie ma i nie można go o to spytać?

Wiem, że nie będzie łatwo o przebaczenie na wzgórzach. Ponieważ na pięknych słowach wyrosnie zbyt wiele złych wspomnień, jak chwasty na plantacji. Jeśli ktoś ci przebaczy w dniu, gdy będzie łaskawy, skąd wiesz, że kiedy indziej tego nie odwoła, kiedy poczuje złość z powodu sprzeczki w barze?

Myślę, że żadne przebaczenie nie jest w stanie osuszyć całej przelanej krwi. Wiem, że tylko Bóg może mi wybaczyć, dlatego co dzień go o to proszę. Całkowicie szczerze, nie kryjąc przed nim żadnego z moich złych uczynków. Nie wiem, czy mówi tak, czy nie, ale wiem, że proszę z całego serca.

Wyniosła postawa

Często odwoływałem się do ludobójstwa Żydów, nie zaś do ludobójstwa Ormian, Cyganów czy mieszkańców Kambodży, ponieważ to pierwsze znam lepiej dzięki licznym świadectwom, książkom i filmowi *Shoah*, a także dlatego, że podczas pobytów w Rwandzie dostrzegłem wiele analogii między ludobójstwem Żydów i ludobójstwem Tutsi, również gdy chodzi o to, jak wprowadzano je w życie.

Toteż wróćmy w tym miejscu do pytania, które stawia się często z mniej lub bardziej naiwną intencją: czy w pewien sposób Tutsi nie są Żydami regionu Wielkich Jezior, zwłaszcza w Rwandzie? Czy nie są dalekimi krewnymi Falaszów, jakąś boczną linią? Jeśli nie, czy losy obu tych ludów są porównywalne?

Odpowiedź, która nasuwa się w spontaniczny sposób, brzmi: oczywiście nie, Żydzi i Tutsi wcale nie dzielą podobnej historii, niemniej...

Tutsi nie wyznają jakiegś odrębnej religii, nie powołują się na żaden stary tekst, nie mają własnego języka czy dialektu. Żadne zwyczaje ani ideały, oprócz tradycji hodowania bydła, nie odróżniają ich stylu życia od stylu życia ich rodaków. Ponadto Tutsi, w przeciwieństwie do Żydów z Europy, sprawowali pełną władzę w Rwandzie. W istocie na niemal osiem stuleci, aż do uzyskania niepodległości, zaprowadzili monarchię tak wyrafinowaną i wewnętrznie złożoną, że do dziś stanowi zagadkę dla historyków, zaś jej wspomnienie na zawsze utkwilo w zbiorowej pamięci Hutu.

Niemniej... uderzają nas pewne podobieństwa, nie tyle między sposobem bycia Żydów i Tutsi czy mitologią żydowską i mitologią Tutsi, ile w sposobach przejawiania się antysemityzmu w Europie przed ludobójstwem Żydów i sposobach przejawiania się antytutsizmu w Rwandzie przed ludobójstwem Tutsi. Elementy składowe skierowanej przeciwko Tutsi propagandy dziwnie przypominają komponenty propagandy antysemickiej - gdy chodzi o klasyfikację ze względu na cechy fizyczne: na przykład wysokie czoła, proste albo zakrzywione nosy, palce krogulcze w przypadku jednych i długie u innych, ale także jeśli chodzi o klasyfikację ze względu na cechy psychiczne, które miałyby skłaniać jednych i drugich do tchórzostwa, perfidii czy zdrady. Wreszcie tu i tam odnajdujemy te same aluzje do aroganckiego sposobu bycia czy wielkiej chciwości. Ta analogia dwóch wyobrażeń znajduje echo w używanych w obu przypadkach określeniach: pasożyty lub karaluchy.

*

Nie będąc ani etnologiem, ani afrykanistą, nie chcę się mieszać w aktualną dyskusję na temat tej grupy etnicznej, jej genezy, jej specyfiki na tle całego kontynentu, eksploatacji przez kolonizatorów, co najwyżej podzielę się pewną obserwacją podróżnika: w czarnej Afryce wszyscy spontanicznie i bez skrępowania określają się poprzez przynależność do jakiejś grupy etnicznej. Na przykład popijacie z przyjaciółmi na jakimś tarasie w Bamako, a później pytacie znajomą: „Kim była ta dziewczyna, która siedziała obok ciebie?”. Odpowie: „Ach, ta? To koleżanka z pracy, bardzo sympatyczna, Soninke z Kayes”. Oglądacie mecz na stadionie w stolicy Kamerunu i pytacie sąsiada: „Kto gra z siódmką w drużynie Canon Jaunde?”. Odpowie: „Taki a taki, jest Hausa. Trochę za wolny, ale ma świetną lewą nogę”.

Czarna Afryka to nieprawdopodobna mieszanka odrębnych grup etnicznych, niezwykle różnorodnych i żyjących z sobą w duchu tolerancji, który wszystko to równoważy. Zresztą kiedy wybucha na pozór etniczny konflikt, na ogół stwierdzamy, że tak naprawdę jest raczej regionalny: północ przeciwko południu, równiny przeciwko górcom, lub religijny: chrześcijanie przeciwko muzułmanom, ekonomiczny: chodzi o przejęcie kopalni, albo społeczny: przedmieścia przeciwko centrum miasta... Przynależność etniczna bowiem nie jest źródłem nieporozumień i przemocy, lecz jedynie wspólnotowym odruchem obronnym.

Ta dygresja podróżnego ma zwrócić uwagę na fakt, że w Rwandzie określanie się jako Hutu czy Tutsi jest czymś naturalnym, zaś anomalią i naruszeniem reguł była skierowana przeciwko Tutsi propaganda z czasów rządów prezydenta Habyarimany.

*

Jeśli tak, kto zainicjował ową propagandę? Kolonizatorzy? Taka odpowiedź byłaby zbyt prostym uproszczeniem. Owszem, przez stulecie kolonialna administracja i kler robili wszystko, by przeciwstawić jedną grupę etniczną drugiej, sprowadzili tu całe zastępy antropologów, których pełne uprzedzeń rozprawy o Afrykanach są tak odrażające i głupie, że wypadają czytelnikowi z rąk. Po pierwsze jednak, ta kolonialna inteligencja grasowała nie tylko tutaj, ale wszędzie w Afryce, starając się opóźnić chwilę przyznania niepodległości. Po drugie, jeśli nawet owe teorie na temat rwandyjskich tubylców miały rasistowski charakter, nie były w jakiś szczególny sposób skierowane przeciwko Tutsi.

Czyżby więc Hutu utożsamili Tutsi z Żydami, czy też to sami Tutsi uznali się za Żydów poprzez niezrozumienie historii, czego podczas wojny w byłej Jugosławii próbowali też niektórzy serbscy ideolodzy podejmujący ideę martyrologii narodu? Lud wędrowny staje się narodem wybranym...? Odpowiedź nadal jest przecząca: nigdy nie doszło do takiej identyfikacji, w każdym razie nie na wzgórzach regionu Bugesera.

Jak wyjaśnia Jeannette: „Historia Hutu i Tutsi przypomina historię Kaina i Abla, braci, między którymi o byle głupstwo dochodzi do nieporozumień. Ale nie sądzę, by lud Tutsi przypominał lud żydowski, nawet jeśli oba te ludy dotknęło ludobójstwo. Lud Tutsi nigdy nie był narodem wybranym, by usłyszeć głos Boga, jak lud hebrajski w czasach pogańskich. Nie jest ludem ukaranym za śmierć Jezusa Chrystusa. Lud Tutsi to po prostu lud żyjący na wzgórzach, nieszczęśliwy z powodu swej wyniosłej postawy”.

Zwróćmy uwagę, że do czasów ludobójstwa Rwandyjczycy mieszkający na wsi mieli wyłącznie biblijne wyobrażenie o ludzie żydowskim. Wiedzieli o przejściu przez Morze Czerwone i ucieczce z Egiptu pod wodzą Mojżesza, o Salomonowym sądzie, arce Noego, zdradzie na Górze Oliwnej; ale nic o Treblince, a tym bardziej o wcześniejszych exodusach i pogromach. Z tego zresztą powodu, kiedy Jeannette, Claudine, Angélique, Innocent i inni ocalali dowiedzieli się podczas naszych rozmów, że nie są pierwszymi, którzy przeżyli doświadczenie eksterminacji, byli tym wstrząśnięci.

*

Pozostaje kwestia owej „wyniosłej postawy”, o której wspomniała Jeannette i którą Francine tak stara się opisać: „Hutu zawsze cierpieli z powodu swych wyobrażeń o Tutsi. To nasz wygląd leży u źródeł zła, oto cała prawda. Nasze mięśnie są dłuższe, rysy delikatniejsze, trzymamy się bardziej prosto. To nasza naturalna postawa, nie widzę niczego innego”

Claudine dodaje: „Prawdą jest, że bardzo wielu Hutu nie znosiło już Tutsi. Dlaczego? To wciąż aktualne pytanie, które nie milknie pośród bananowców. Dostrzegam różnice między Tutsi i Hutu, które sprawiają, że ci ostatni są zbyt podejrzliwi. Niektórzy Tutsi mają dłuższe szyje i prostsze nosy. Są z natury bardziej powściągliwi i bardziej zadbani... Ale gdy chodzi o bogactwa czy inteligencję, nie ma żadnej różnicy. Wielu Hutu obawia się rzekomej przebiegłości w charakterze czy umysłach Tutsi, choć nic takiego nie istnieje”.

Sylvie, nie tak pewna, stawia sobie pytanie: „Od tego czasu szukam jakiejś wskazówki i nie mogę jej znaleźć. Wiem, że Hutu nie czuli się swobodnie w obecności Tutsi. Postanowili, że nie chcą ich już więcej oglądać, by poczuć się dobrze w swoim własnym gronie. Ale dlaczego? Nie potrafię powiedzieć. Nie wiem, czy noszę na twarzy lub na ciele jakieś szczególne znaki, których oni nie cierpią. Czasami mówię: nie, to nie może być to, wysoka, szczupła sylwetka, delikatne rysy, wszystkie te idiotyzmy. Czasem mówię: tak, właśnie to leżało się w ich głowach. To skrajne szaleństwo i nawet ci, którzy zabijali, nie są dziś w stanie tego pojąć. Ci, którzy mieli zostać zabici, tym bardziej”.

*

Skąd ta obsesja w związku z różnicami w wyglądzie i kulturze, tak rażąca w Afryce,

skąd ten powracający motyw o wyniosłej czy sztywnej postawie, o prostych rysach i przewrotnym charakterze na rwandyjskiej wsi? Niczego podobnego nie ma w regionach Kenii, Senegalu, Czadu, zaludnionych przez Masajów, Fulan i Tubu. Czy to echa kastowego podziału i rytuałów z czasów panowania królów *mwami*?

Nie sposób na to odpowiedzieć, co sprawia, że tajemnica ludobójstwa jest jeszcze bardziej nieprzenikniona. Nie ma żadnego przekonującego wyjaśnienia źródeł wrogości do Tutsi, które, moim zdaniem, są tak samo niezrozumiałe i niepokojące jak źródła antysemityzmu.

Ilustruje to zdanie wypowiedziane przez Éliego: „W miarę upływu czasu ogólna atmosfera sprawiła, że zacząłem patrzeć podejrzliwie na Tutsi. Nawet gdy wydawali się mili, musiałem mieć się przed nimi na baczności z powodu mrocznych pogłosek”

W 1992 roku amerykański badacz Christopher Browning opublikował zajmującą książkę zatytułowaną *Zwykli ludzie. 101. Policyjny Batalion Rezerwy i „ostateczne rozwiązanie” w Polsce*. Jest to historia batalionu działającego od lipca 1942 do listopada 1943 roku na Lubelszczyźnie, gdzie wymordował on około 40 tysięcy Żydów i doprowadził do deportacji około 45 tysięcy.

Autor, specjalista od Holocaustu, opierał się na dokumentach, głównie na protokołach z przesłuchań 210 z tych ludzi; przesłuchania przeprowadzili między 1962 a 1967 rokiem niemieccy sędziowie, by odtworzyć i przeanalizować działania rezerwistów z Hamburga, wplątanych w obłądną machinę rzezi. W jednym z rozdziałów książki Christopher Browning zwraca uwagę, że wszyscy ci policjanci bardzo niechętnie przyznają, że w tym czasie powodował nimi antysemityzm, toteż stawia sobie kolejne pytania. Dlaczego negują oczywistość, skoro antysemityzmem były przesiąknięte wszystkie instytucje Rzeszy, określał on sposób myślenia nazistowskich dygnitarzy, co *a priori* mogłoby być wykorzystane przez rezerwistów jako okoliczność łagodząca?

Autor wysuwa kilka hipotez, wśród nich następującą: „Przyznanie się do antysemickich przekonań oznaczałoby dla każdego z członków batalionu osłabienie szans na własną obronę, wspomnianie o antysemityzmie innych byłoby obciążaniem kompanów”. Nieco dalej pisze: „Ale ta niechęć do mówienia o antysemityzmie wynika również ze swego rodzaju odrzucenia tego, co polityczne. [...] Przyznanie się, że ich postawa miała wymiar wyraźnie polityczny i ideologiczny, że nazistowska etyka owej epoki wcale nie była w ich oczach czymś niedorzecznym, znaczyłoby, że są jak chorągiewki na wietrze, które obracają się przy każdym podmuchu, przy każdej zmianie reżimu. To prawda, którą niewielu z nich chce i może przyjąć”.

Okoliczności, w jakich wypowiadają się niemieccy i rwandyjscy zabójcy, są różne. Pierwsi zeznają w ponad dwadzieścia lat po wydarzeniach, indywidualnie, z wolnej stopy, ale przed obliczem prokuratorów, którzy mogą postawić im zarzuty. W dodatku ich świadectwa są zapisywane przez protokolantów.

Jednak przywołuję ten fragment książki, gdyż członkowie paczki z Kibungo również z oporami przyznają się do antytutsizmu, który powodował nimi na bagnach. Przecież ktoś, kto jak Adalbert mówi: „Noworodka Hutu owijano w nienawiść do Tutsi, nim zdążył po raz pierwszy popatrzeć na świat”, mógłby w mniejszym czy większym stopniu oczyścić się z winy, gdyby stwierdził, że padł ofiarą prania mózgu.

Ale nie, o wiele trudniej jest im podjąć temat antytutsizmu, niż opowiadać o pierwszym zabójstwie. Potrzeba wielu godzin dyskusji, by zgodzili się o tym mówić. Ten opór sprawia, że rodzą się we mnie pytania podobne do stawianych przez Christophera Browninga, którego książkę odkrywam dopiero później, oraz inne pytania, bardziej pragmatyczne.

Czy obawiają się, że mówienie o niechęci do Tutsi utrudni im powrót na wzgórze, rozbudzając nieufność sąsiadów? Sąsiedzi ci pomyślą, że skoro przyznają, iż byli zdeklarowanymi przeciwnikami Tutsi, nie ma powodu, by nie byli nimi nadal, zatem wciąż są groźni. Obawa naiwna, by nie rzecz absurdalna, gdyż wielki zapał zabójców na bagnach, dobrze znany ludziom ocalałym, i tak jest wystarczającym powodem, by spotkali się z chłodnym przyjęciem *ad vitam aeternam*.

Czy dyskutują o tym między sobą, czy mówią o tym dzisiaj? Właściwie nigdy nie udzielają odpowiedzi na to pytanie. Czy wszyscy byli wrogami Tutsi w takim samym stopniu? Z rozmów wynika, że nie, wręcz przeciwnie. Ale te różnice, paradoksalnie, wzmagają ich opory, gdyż podkreślanie tego mogłoby narazić na szwank solidarność grupy.

Na przykład Jean-Baptiste, szczęśliwy mąż kobiety Tutsi, który żył na zboczu zaludnionym przez rodziny Tutsi, na początku ludobójstwa nie żywił żadnych tego rodzaju uczuć, powodowały nim tylko szalona ambicja i strach. Pio, chłopak pasjonujący się bardziej futbolem niż polityką, nie zastanawiał się wcale nad tymi sprawami, jeśli tylko dostawał dobre podanie i mógł strzelić gola. Nawet Joseph-Désiré Bitero, komendant *interahamwe* i, jeśli wierzyć faktom, budzący grozę zbrodniarz, nie był zajadłym przeciwnikiem Tutsi, w każdym razie do ostatnich miesięcy poprzedzających masakry... Przypadki Pancrace'a, Éliego, Fulgence'a czy Adalberta nie są już tak proste.

Te różne sposoby traktowania Tutsi nie przeszkadzały jednym i drugim zabijać ich w ten sam sposób. A inni, zwolnieni z więzienia, rzucają dziś na polach czy w kabarecie pod

adresem Tutsi uwagi, od których jeżą się włosy na głowie.

Mogłoby to dowodzić, że choć antytutsizm był jednym z motorów ludobójstwa, pomagał przekroczyć próg zbrodni, to nie był jedynym czynnikiem sprawczym i nie mógł sam motywować działań i postaw każdego z uczestników. Dla przykładu, Ignace, jeden z najbardziej zacieklej, pałających największą nienawiścią, a w każdym razie najbardziej zadeklarowany przeciwnik Tutsi z całej paczki, jest także jednym z tych, którzy najrzadziej używali maczety.

*

Można na koniec wspomnieć o pewnej intuicji tych ludzi, wyczuwalnej bardziej w ich milczeniu niż słowach, która sprawia, że niechętnie przyznają się do swej ówczesnej niechęci do Tutsi.

Może nie są wstrząśnięci swoimi zbrodniami, ale często dają do zrozumienia, że te ich przerosły. Stwierdzają, że zostali wplątani w ten chaos, to często używane słowo. Boją się ujrzeć jego zewnętrzne skutki, nigdy nie stawiają pytań na ten temat. Co więcej, wolą nie uświadamiać sobie jego przyczyn, motywów, nie widzą żadnego sensu, żeby to roztrząsać.

Wydaje się, że intuicja ostrzeża ich zwłaszcza przed jednym niebezpieczeństwem, które Pio próbuje opisać w ten sposób: „Po latach może da się znów postawić stopę na bagnach, gdzie tak czy owak zostawiliśmy nasze ślady, jeśli tylko zachowa się ostrożność. Ale sięganie pamięcią do naszych głęboko skrywanych myśli i zgubnych medytacji z dzieciństwa może być ryzykowne. Zwłaszcza dla dusz, które zboczyły, jak nasze”.

Nienawiść, Tutsi

ADALBERT: W gruncie rzeczy Hutu i Tutsi byli zwaśnieni od 1959 roku. Za sprawą ludzi starszych. Wieczorem, wokół primusa, w zwykłej rozmowie chętnie powtarzali, że Tutsi to słabeusze i aroganci. Więc dzieci Hutu wzrastały w tej atmosferze, nie zadając pytań, słuchając wiecznego wyrzekania na Tutsi.

Od 1959 roku starzy w kabarecie gderali, że trzeba wyeliminować wszystkich Tutsi i stada ich krów zdeptujących pola. Ten temat często powracał, gdy pili, dla nich to było coś całkiem zwyczajnego, jak zasiewanie pola czy handel. My, młodzi, śmialiśmy się ze zrzędzenia starych, choć nam się to podobało.

Później Hutu mógł znaleźć sobie przyjaciela Tutsi i przez całą młodość włączyć się z nim, dzielić trunki, jednak nie wolno było mu się zwierzać. Przy byle okazji Tutsi mógł okazać się nielojalny. Wydawał się miły i uczynny z natury, ale w gruncie rzeczy był przewrotny i skryty. Musiał być naturalnym źródłem nieufności.

JEAN-BAPTISTE: Hutu zawsze zarzucali Tutsi, że są wysokiego wzrostu i próbują to wykorzystać, żeby nimi rządzić. Czas nigdy nie zatarł tej odwiecznej obawy. Jak już wspomniałem, w powiecie ludzie mówili, że kobiety Tutsi mają zbyt szczupłe sylwetki, by móc pozostać na naszych wzgórzach, że mają gładką skórę, bo piją po kryjomu mleko, że ich palce są zbyt smukłe, by mogły chwycić motykę, i inne tego rodzaju bzdury.

Tak naprawdę Hutu nie widzieli żadnego potwierdzenia plotek o sylwetkach sąsiadek Tutsi, gdyż schylały kark tuż obok ich żon i tak samo ugiwały się pod ciężarem kanistrów pełnych wody. Ale lubili to powtarzać. Opowiadali też sobie, że tacy Hutu jak ja, którzy poślubili kobiety Tutsi, chcą się wywyższyć.

Lubili rozgłaszać te nieprawdopodobne brednie, by wykopać rów niezgody między dwiema grupami. Chodziło o to, by przez cały czas utrzymywać między nimi dystans, w oczekiwaniu na chwilę, gdy konflikt się zaogni. Na przykład w pierwszym dniu szkoły nauczyciel ustalał przynależność etniczną każdego ucznia, by Tutsi poczuli, że są w klasie Hutu i wolno im tylko nieśmiało zająć miejsca.

IGNACE: Kiedy młody chłopak Hutu pragnął się ożenić z dziewczyną Tutsi, rodzina nie chciała mu wydzielić części plantacji bananowców, by mógł sam zbierać i wyżywić rodzinę. Kiedy młody chłopak Tutsi chciał się ożenić z dziewczyną Hutu, rodzina odmawiała

mu nawet prawa do jednej czy dwóch krów ze stada, by mógł założyć hodowlę. W ten sposób dla młodych ludzi z obu grup spotkanie się z sobą wcale nie było korzystne.

Oprócz plonów parcele rodziły nienawiść, gdyż nie było dość ziemi dla dwóch grup etnicznych.

FULGENCE: W gruncie rzeczy Hutu wcale tak bardzo nie nienawidzili Tutsi. W każdym razie nie do tego stopnia, żeby zabijać ich co do jednego. W tę etniczną rywalizację wmieszała się jakaś straszliwa klątwa, gorsza niż zapiekła nienawiść, i pchnęła nas na bagna. Na przykład brak parcel, wszyscy stale o tym mówili. Widzieliśmy, że żyznych ziem już wkrótce zabraknie. Mówiliśmy sobie, że nasze dzieci powinny jak najszybciej stąd odejść, poszukać sobie pola gdzieś wokół Gitaramy lub jeszcze dalej, w Tanzanii, inaczej będą służyć Tutsi na swoim własnym wzgórzu. Mogliby kiedyś skonfiskować nam zbiory, chociaż to my obsialiśmy pola.

Wiedzieliśmy od starszych ludzi, że mogą nawet zmusić nas do karczowania buszu, pilnowania krów czy murarki, jak w czasach *mwami*. Myśl o tej darmowej harówce mogła spędzać sen z powiek rolnika.

PIO: Może nie nienawidziliśmy wszystkich Tutsi, zwłaszcza naszych sąsiadów, może i nie patrzyliśmy na nich jak na wrogów i złoczyńców. Ale mówiliśmy między sobą, że nie chcemy już mieć z nimi do czynienia. Niektórzy mówili nawet, że nie chcą ich tu widzieć, że trzeba by ich wyplewić. Padały takie słowa i już wskazywały maczetę.

Sam nie wiem, dlaczego zacząłem nienawidzić Tutsi. Byłem młody, lubiłem zwłaszcza futbol, grałem w drużynie z Kibungo z rówieśnikami Tutsi, podawaliśmy sobie piłkę i nigdy nie było między nami sporów. Nie dochodziło do żadnych zatargów. Nienawiść zjawiała się ni stąd, ni zowąd, kiedy zaczęły się rzezie, wtedy zacząłem naśladować innych, wszyscy tak robili.

LÉOPORD: To delikatna sprawa, mówić o nienawiści między Hutu a Tutsi, ponieważ po masakrach słowa zmieniły znaczenie. Wcześniej mogliśmy żartować między sobą i mówić, że wszystkich ich zabijemy, a w chwilę potem pracowaliśmy razem albo dzieliliśmy trunki. Żarty i groźby mieszały się z sobą. Nikt nie zważał już na to, co powiedział. Można było rzucać straszliwe słowa bez nieprzyjaznych myśli. Tutsi nawet zbytnio to nie przeszkadzało. To znaczy, nie oddalali się od nas z powodu tego typu nieprzyjemnych dyskusji. Potem ujrzeliśmy to na własne oczy: te słowa ściągnęły ciężkie konsekwencje.

ALPHONSE: Hutu już od dzieciństwa słyszy, jak w porach suszy starsi powtarzają, że Tutsi przywłaszczyli sobie zbyt wiele parcel, że jest ich za dużo, byśmy mogli uporać się z biedą. Potem zapomina się o tych słowach, kiedy pola wydadzą plony. Ale dziecko przywyka

do tego narzekania.

Dziecko Hutu, nawet gdy siedzi obok umorusanego dziecka Tutsi, odczuwa naturalną zazdrość, uważa je za pyszałka, zaczyna myśleć jak jego rodzice. Później, gdy w jego życiu pojawią się kłopoty, nie stara się z nimi zmierzyć, woli spojrzeć na Tutsi, który przechodzi obok.

PANCRACE: Niektóre stacje radiowe już od 1992 roku powtarzały nam w kółko, byśmy zabili wszystkich Tutsi. Była też złość po śmierci prezydenta i strach, że zdominują nas *inkotanyi*. Ale nie widzę w tym wszystkim żadnej nienawiści.

Hutu zawsze obawia się, że Tutsi ma złe zamiary i skrywa to w sobie od czasów królestwa. Widzi zagrożenie nawet ze strony najsłabszego czy najbardziej życzliwego z nich. Ale to tylko podejrzliwość, nie nienawiść. Nienawiść pojawiła się nagle, po upadku samolotu naszego prezydenta. Inspiratorzy krzykali: „Popatrzcie na te karaluchy, tak, to właśnie oni!”. A my krzyčeliśmy: „Tak, ruszamy na ekspedycję!” Wcale nie byliśmy na nich aż tak bardzo źli, czuliśmy zwłaszcza ulgę.

IGNACE: Nie wiem, czy zabijanie Tutsi różni się od zabijania kogoś, kto nie jest Tutsi, gdyż nie mamy tego typu doświadczeń. W Rwandzie spotyka się tylko braci Hutu albo Tutsi, gdyż Twa siedzą pochowani w lasach, a biali są biali. Nie mamy okazji spotykać zwykłych, podobnych do nas ludzi, którzy nie byłiby Tutsi, bez względu na okoliczności. Chcę powiedzieć, że w rzeziach na małą czy na wielką skalę potrafimy zabijać tylko i wyłącznie Tutsi.

ÉLIE: W miastach wielu Hutu pragnęło kobiet Tutsi, których nie mogli mieć. Z powodu ich sylwetki, gładkich rysów, sposobu, w jaki podają posiłek rodzinie czy pokazują się na uroczystościach. Jednak Hutu na wzgórzach doskonale widzieli, że kobiety trzdzą się tak samo podczas pracy w polu. Nie znam rolnika, który poszedłby prosić sąsiada Tutsi o wysoką dziewczynę dla swojego syna, toteż żaden tego nie odmówił.

Krowy i parcele były ważniejsze niż zazdrość o wygląd. Zwłaszcza krowy, bo Tutsi mieli zwyczaj gromadzić je w stada, tak by nie dało się odróżnić jednych od drugich. Nigdy nie chcieli przyznać, ile ich mają, ani swym żonom, ani synom, ani władzom. My widzieliśmy stada ukrywane w zaroślach, pilnowane przez pasterzy w lachmanach, i to nas dręczyło. Na wzgórzach wiedza o czyichś dobrach może być zagrożeniem.

ADALBERT: Są ludzie jak ja, którzy zawsze mówili źle o Tutsi. Powtarzaliśmy to, co słyszeliśmy już od dawna. Mówiliśmy, że są zarozumiali, sztuczni, a nawet że plują jadem. Ale nie widzieliśmy żadnej arogancji czy wywyższania się, gdy spotykaliśmy się w kościelnym chórze czy na targu. A nawet w kabarecie lub na plantacji bananowców, gdy

czasem pomagaliśmy sobie nawzajem.

Starsi zrobili wszystko, by namieszać nam w głowach, ale robili to w dobrej wierze, jak mi się wydaje. Później stacje radiowe rozgrzały umysły do przesady. To one nauczyły nas takich słów jak „karaluchy” i „węże”. To, co słyszeliśmy w radiu, było zbyt dobrze przemyślane, byśmy to mogli odrzucić.

ALPHONSE: Myślę, że w gruncie rzeczy w pełni oswoiliśmy się z ogładą Tutsi. Te historie o długich palcach czy ich innych cechach były nam obojętne. Nie sądzę, by krowy stanowiły jakiś poważny problem. Gdyby było inaczej, wybilibyśmy tylko stada. Nie sądzę, by nasze serca nienawidziły Tutsi. Ale musieliśmy tak myśleć, gdyż dowódcy podjęli decyzję, by ich wszystkich zabić.

By zabić bez wahania tak wielką liczbę ludzi, trzeba było nienawidzić bez granic. Nienawiść była jedynym dozwolonym uczuciem względem Tutsi. Plan masakry zbyt dobrze przygotowano, byśmy mogli zadawać sobie jakieś sentymentalne pytania.

Nadnaturalna rzeź

Współczesna Afryka stała się sceną ludobójstwa. Bardzo wielu Afrykanów z trudem uświadamia sobie czy przyjmuje do wiadomości ten fakt. Będą potrzebowali dużo czasu, by się z tym pogodzić, tak jak Europejczycy i Amerykanie długo nie mogli się uporać z rzeczywistością Holokaustu.

Jeszcze większa liczba Afrykanów odrzuca myśl o afrykańskich źródłach tego ludobójstwa, mówi o tragedii inspirowanej z zewnątrz, przytaczając różne argumenty, na przykład takie, jakie wysuwa Berthe: „Przypadek Rwandy wykracza poza afrykańskie zwyczaje. Afrykanin zabija ze złości lub dokuczliwego głodu. Albo zabija tyle, ile trzeba, by skonfiskować diamenty i tego typu rzeczy. Nie zabija z pełnym brzuchem i spokojnym sercem na wzgórzach z polami fasoli, tak jak *interahamwe*. Myślę, że źle zrozumieli lekcję, która przyszła z zewnątrz, spoza Afryki. Nie wiem, kto zasiał ideę ludobójstwa. Nie, nie mówię, że to kolonizatorzy. Naprawdę nie wiem kto, lecz nie był to Afrykanin”

Logika tych słów, które są wprawdzie pozbawione sądów *a priori* i uprzedzeń, lecz którym brakuje historycznego dystansu, nie wytrzymuje konfrontacji z rzeczywistością. Wszystkie ludobójstwa wykraczają poza normy obyczajowe, bez względu na to, czy dochodzi do nich w Europie, Ameryce, Azji czy Afryce. A ci, którzy myśleli, że bogactwo kultur, mądrość przodków, tradycje tolerancji, apetyt na życie - co ilustruje słynne powiedzenie „Afryka to świat magiczny!” - ocalał ten kontynent, pomylili się.

*

Nie posłużę się tą uwagą o uniwersalnym charakterze ludobójstwa, by stawiać nieuniknione, odwieczne pytania: co my zrobilibyśmy na miejscu Pio, Fulgence’a, Pancrace’a i innych członków paczki? Co odważylibyśmy się zrobić lub czego byśmy odmówili? Kim byśmy się stali? Te pytania nie mają żadnego sensu, nie dlatego, że nie możemy wejść w skórę rolników uprawiających fasolę na wzgórzach w regionie Wielkich Jezior, tylko raczej dlatego, że nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić, iż urodziliśmy się i wzrastaliśmy pod rządami tego rodzaju despotycznego i opartego na podziale etnicznym reżimu, oraz z tego powodu, że większość nas, poza paroma jednostkami, które są pewne swego solidnego morale i odwagi, wymamrotałaby mniej więcej coś takiego: „Ociągalibyśmy się, szli z tyłu za grupą, nie plamiąc maczety”, mając w głębi duszy nadzieję na coś więcej, ale nie usuwając

bynajmniej wątpliwości.

Wolę zastąpić te pytania kilkoma obserwacjami. W powojennych Niemczech, podczas czterdziestu lat procesów wytaczanych nazistowskim zbrodniarzom, żaden z ich adwokatów nie potrafił wskazać ani jednego przypadku Niemca, którego skazano by za to, że odmówił zabicia jakiegoś bezbronnego Żyda czy Cygana. Tak na przykład, wyjaśnia Christopher Browning, podczas licznych ekspedycji 101. batalionu rezerwy żaden policjant nie został ukarany za odmowę strzelania. A przecież, wedle jego szacunków, z pięciuset członków batalionu od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu procent musiało strzelać.

W Rwandzie czas masakr był zbyt krótki, by administracja decydująca o przebiegu ludobójstwa mogła wytaczać procesy i skazywać opornych. Słowem, choć prawdą jest, że dziesiątki tysięcy Hutu zostało zabitych, gdyż opowiedziało się po stronie wartości, nie znamy przypadków osób aresztowanych za to, że odmówili zabijania, prócz bardzo szczególnych sytuacji: członków mieszanych małżeństw czy osób oskarżonych o ukrywanie Tutsi.

W Kibungu, N'taramie, Kanzenze i w powiecie Nyamata ten, kto publicznie przeciwstawiał się ludobójstwu, słowem bądź czynem, narażał się na egzekucję lub na to, że natychmiast zostanie zmuszony do popełnienia morderstwa. Wszyscy musieli jakoś w tym uczestniczyć, być zamieszani w rzezi, dewastacje i grabieże albo dobrze zapłacić. Jednak, powtórzmy, żadnemu z mieszkańców nie groziły poważne szykany za to, że oszczędzał maczetę. Lektura rozdziału o karach jest w tym względzie pouczająca.

Choć istniała możliwość wykonywania zadań pomocniczych, uzyskania zwolnienia i uchylania się od uczestnictwa w rzezi, szacunki co do liczby zabójców w powiecie Nyamata są porażające.

Christine, córka Tutsi i Hutu, świadek ze wzgórze, tak próbuje ich usprawiedliwić: „Myślę, że ten, kogo zmuszono do zabijania, chciał, żeby nazajutrz zmuszono też jego sąsiada, tak by patrzono na nich w ten sam sposób. Kiedy twój sąsiad codziennie zabijał, ty mogłeś się ociągać, mieć opory i z nim nie konkurować, ale przynajmniej raz musiałeś się wykazać i splamić ręce krwią”

*

By wyjaśnić dobrowolny udział ludzi w zbrodniach III Rzeszy, często bardziej widoczny poza granicami Niemiec, historycy i filozofowie wskazują na niezwykle dyscyplinę, jaką totalitarne państwo może narzucić swoim obywatelom, na skuteczność wszechobecnej, natrętnej propagandy, o czym była już mowa, a zwłaszcza na siłę społecznego konformizmu w sytuacji zagrożenia i kryzysu. Czego nie należy mylić z

rzeczywistością wojny, która, przeciwnie, może niekiedy rozbijać ten konformizm.

Te argumenty nie wystarczą, by wyjaśnić opisane przez Christine działanie maszyny śmierci. Rosjanie, Hiszpanie, Argentyńcy, Rumuni, Irakijczycy i wiele innych narodów w pewnym momencie swych dziejów poznało skuteczność działania maszyn do miażdżenia umysłów, będących dziełem Stalina, Franco, Videli, Ceaușescu czy Husajna, dyktatorów, którzy zdołali podporządkować sobie masy, skłonić je do uległości, ogłupić i przyzwycząić do składania donosów, lecz nie porwali entuzjastycznych rzesz, które z pieśnią na ustach zabijały ludzi co dzień w godzinach pracy.

Gdyby ci historycy i filozofowie chcieli pominąć irracjonalny i wyjątkowy charakter ludobójstwa, ich wyjaśnienia mogłyby okazać się dwuznaczne, wręcz niebezpieczne w tym sensie, że mogłyby stanowić pochwałę pesymizmu albo konformizmu, lub, co byłoby jeszcze bardziej przygnębiające, podsycać najgorszą z plag naszych społeczeństw: cynizm.

Najprostszą definicję wyjątkowego charakteru ludobójstwa podaje Jean-Baptiste Munyankore, od czterdziestu trzech lat nauczyciel w N'taramie: „To, co stało się w Nyamacie, w kościołach, na bagnach i wzgórzach, to były nieprawdopodobne wyczyny bardzo zwykłych ludzi”.

Albo Sylvie, która mówi: „Bo kiedy zbyt długo zatrzymujemy się nad strachem przed ludobójstwem, tracimy nadzieję. Tracimy to, co zdołaliśmy ocalić z życia. Możemy się w ten sposób zarazić innym szaleństwem. Gdy w jakiejś spokojnej chwili myślę o ludobójstwie, zastanawiam się, gdzie umiejscowić je w egzystencji, lecz nie widzę takiego miejsca. Chcę po prostu powiedzieć, że to już coś nieludzkiego”.

Słowa, by tego nie powiedzieć

FULGENCE: Im więcej widzieliśmy umierających ludzi, tym mniej myśleliśmy o ich życiu, tym mniej mówiliśmy o ich śmierci. Tym większej nabieraliśmy chęci do zabijania. Tym częściej mówiliśmy sobie w duchu, że skoro potrafimy to robić, musimy z nimi skończyć, i to do ostatniego. To było jedyne wyjście, całkiem oczywiste, w wielkiej wrzawie krzyków, ale bez obelżywych słów.

ALPHONSE: Szliśmy na bagna zabijać tłumy ludzi. W błocie do kostek, czasami do kolan. Słońce paliło nam czaszki. Papirusy rozdzierały koszule i skórę. Koledzy patrzyli na nas. Jeżeli zadrzałeś, kpili i nazywali cię tchórzem. Jeśli się wahałeś, denerwowali się i zarzucali ci zdradę. Jeśli okazywałeś szlachetność, wymyślali ci i wyzywali od słabowitych kobiet. Bardzo szybko narażałeś się na złe traktowanie.

W tej sytuacji drwiny kolegów bardzo trudno jest znieść, gdy wszyscy wkoło je słyszą. Tak samo jest w szkole albo w kabarecie, ale na bagnach to poważniejsza sprawa. Zatrzuwa ci to życie. Naturalnie każdy próbuje się jakoś bronić. Więc zbliża się do grupy, która wygłasza drwiące słowa. Gdy zaczynają się rzezie, łatwiej jest machać maczetą, niż słuchać kpin i wyrzutów. Tej prawdy nie zrozumie ktoś, kto nie stał wtedy u naszego boku.

Chodzi mi o to, że w zamęcie rzezi nikt nie jest w stanie wytrzymać odsunięcia na bok, bo taki ktoś może rozmawiać o codziennych sprawach najwyżej z plecami sąsiadów. U nas samotne życie jest zbyt niebezpieczne. Więc taki ktoś rusza na znak i dołącza do reszty, nawet jeśli oznacza to udział w krwawym dziele, wie pan, o czym mówię.

ÉLIE: Od czasu uzyskania niepodległości inspiratorzy ciągle wspominali o konieczności masakry, nie nazywając tego nigdy wprost. Na przykład kiedy ogłaszali: „Nie ma dość ziemi dla dwóch grup etnicznych w tym kraju i żadna stąd nie odejdzie, więc Hutu muszą coś z tym zrobić”, to oznaczało coś, czego się nie mówiło.

Inspiratorzy nie chcieli żadnych kłopotów, a zwłaszcza zbędnych komentarzy o tym, cośmy robili. My mówiliśmy sobie, że kiedy wszystko się skończy, nie będzie czego komentować. W głębi duszy godziliśmy się to robić i o tym nie mówić. To, co się działo, było bardziej normalne, gdy nie musieliśmy o tym rozmawiać. Jeszcze teraz są słowa, których nie chcemy wypowiadać, nawet w gronie kolegów.

PANCRAE: Tego rodzaju rzezie są złąknione śmierci. Nie są spragnione życia jak

dzikie zwierzęta. Żywią się wszystkimi, których widzą wokół, nigdy nie są syte. Póki są tacy, co żyją, będą ich ścigać aż do ostatniego. Dlatego obywają się bez słów. Chyba że są to jakieś głupie słowa. W radiu słyszeliśmy, że *inkotanyi* mają ogony albo spiczaste uszy, i mimo że nikt w to nie wierzył, lubiliśmy tego słuchać. To nie były stosowne żarty, ale dla nas jednak tylko żarty. To było lepsze niż nie słyszeć niczego.

ÉLIE: Nikt nie może wyznać całej przykrej prawdy, ani teraz, ani nigdy później. Nikt nie może opowiedzieć dokładnie o swoich przewinach, nie narażając się na potępienie innych. A to zbyt poważna sprawa. Ale niektórzy zaczynają zdradzać straszne szczegóły, aby odpokutować za przelaną krew, choć może ich to narazić na jeszcze cięższą karę. Ci ludzie karczą ścieżkę prawdy. To naprawdę coś.

Na wzgórzach czy w więzieniu prawda objawia się po części wszystkim uczestnikom. Ocalali dysponują największą, bo najwięcej wycierpieli, to normalne. Żony Tutsi, które przeżyły, zagraniczni reporterzy, żołnierze mają swoją część. Ale jeśli zabraknie części prawdy ze strony winowajców, różne wieści o rzeziach będą krążyć bez końca. Winowajcy wiedzą więcej, niż wynika z ich ujawnionych wspomnień, więcej, niż powiedzieli o przebiegu zdarzeń, kryją wiele sekretów w duszy.

JEAN-BAPTISTE: Nigdy nie słyszałem słowa „ludobójstwo”, kiedy trwały rzezie. Usłyszeliśmy je dopiero z ust zagranicznych dziennikarzy i członków organizacji humanitarnych. Najpierw w drodze na wygnanie, ale tego słowa nikt jeszcze nie rozumiał, potem w obozach w Kongu.

To prawda: między sobą nigdy go nie wymawialiśmy. Wielu nie znało nawet znaczenia słowa „ludobójstwo”. Nie było to do niczego potrzebne. Jednak jeśli wstawaliśmy co rano, by iść na polowanie, nawet gdy byliśmy zmęczeni czy mieliśmy inne rzeczy do roboty, to dlatego, że myśleliśmy, iż należy ich wszystkich zabić. Ludzie wiedzieli, co mają do roboty, i nie było potrzeby, żeby to nazywać.

ADALBERT: Ludobójstwo nie wiąże się z każdą wojną czy bitwą. Jest to pomysł władz, żeby pozbyć się na zawsze jakiegoś zagrożenia. To zwykła myśl, której nie ma potrzeby nazywać ani rozgłaszać, wystarczy jak zwykle rzucić parę złośliwości. To nic nadzwyczajnego, gdy ludzie o tym mówią, a czasem żartują. Niezwykle staje się wtedy, kiedy podchwycą to ostrza maczet.

Ten pomysł nie umiera razem z masakrami, ani po zwycięstwie, ani po porażce. Może być podjęty przez przyszłe władze w jakimś innym celu. Ale jak zabić myśl, i to nadzwyczajną, jeśli nie wiemy, jak zabić samą nazwę, która może ją wskrzesić? Zabić wrogów, zabić winowajców, zabić sąsiadów, to można zrozumieć... Zabić myśli i słowa, to

przerasta inteligencję, w każdym razie inteligencję rolnika.

PIO: Na początku ludobójstwa jest jakiś powód i ludzie, którzy go rozumieją. Ten powód nie pojawia się przez przypadek, inspiratorzy ciągle o tym mówią: chodzi o to, żeby wygrać partię do końca. Ale ludzie, którzy dają się skusić, żyją tu przez przypadek. Ja już tu byłem, u siebie w domu, kiedy zjawiła się ta pokusa. Nie mówię, że zmusił mnie Szatan czy coś w tym rodzaju. Uznałem, że to ważny powód, z zachłanności i posłuszeństwa, więc ruszyłem na bagna. Ale gdybym urodził się w Tanzanii czy we Francji, byłbym daleko od tego chaosu i krwi.

Prości ludzie nie mogą oprzeć się takiej pokusie bez boskiej pomocy, w każdym razie nie tu, na wzgórzach. Dlaczego? Bo słyszą piękne słowa o ostatecznym sukcesie. To przeważa szalę. Później nie można zamknąć pokusy w więzieniu i zamyka się ludzi, a przecież kiedyś ta pokusa może okazać się tak samo straszna.

Gdy ktoś widzi w czymś swój prawdziwy interes, tak jak jego koledzy, nie waha się zbyt długo ani nie zwleka, nie zważa już na uczucia, nie myśli o zmiłowaniu. Widzi, jak Zło podszywa się pod Dobro, i nawet go to cieszy. Myśli, co zyska dla siebie i rodziny do końca swoich dni. Idzie za swoją życiową szansą na bagna.

Później oczyszcza się z błota i krwi, jakby pił primusa. Tak właśnie uczyniłem. Nie mówię, że jestem bez winy. Ale zostałem ukarany nie tylko za swoje występki, ale za cały mój nieszczęsny los.

IGNACE: Trzeba było zabijać albo samemu zginąć. Każdego ranka jedni musieli umierać, a inni zabijać. Jeśli ktoś powiedział coś przeciwko rzeziom, ginął, nawet gdy tylko szepnął. Jeśli ktoś się uchylał, opóźniał pracę kolegów i musiał się kryć, aż w końcu przez plotki narażał się na karę. W gruncie rzeczy to, co nazywacie ludobójstwem, to masakry, podczas których jest tylko jedno wyjście.

ADALBERT: Gdy chodzi o rolnictwo, niczego nie da się przyspieszyć, rządzą nim pory roku. Masakry, przeciwnie, zależą od naszych kaprysów. Chcesz więcej zyskać, więcej machasz maczetą, im więcej ścinasz, tym więcej korzystasz. Jeśli w dodatku jest to ludobójstwo, wiesz, że w końcu będziesz miał wszystko, tyle że już bez waśni, wyzwisk i wszystkich złych słów, które zostawisz za sobą w objęciach śmierci.

LÉOPORD: Mogę podać panu niezliczone szczegóły masakry. Ale nie potrafię opowiedzieć o swoich myślach w tych nieprzyjemnych chwilach, choć pan o to pyta.

To były dobrze zaplanowane rzezie, myśleliśmy, że są dla nas korzystne. Byliśmy posłuszni i chętni, bo sytuacja zdawała się nam sprzyjać. Zaczęliśmy, przywykliśmy do tego, wszyscy byli zadowoleni. Kiedy rolnik schodzi na pole, zastanawia się, czy lepiej zebrać

fasolę, czy kukurydzę. Kiedy nauczyciel wchodzi do szkoły, myśli, jak przeprowadzi lekcję. Mechanik wybiera, którą część silnika najpierw wypoleruje. Ale zabójca z bagien nie musi stawiać sobie takich pytań. Uwija się przy pracy. Idzie za kolegami i ściga swe ofiary, liczy bogactwa. Większość naszych myśli była pusta i takie są nasze wspomnienia.

IGNACE: Mówiliśmy na nich „karaluchy”, to owady, które niszczą ubrania i nigdy nie chcą z nich wyjść, które trzeba rozgnieść i wreszcie się ich pozbyć. My nie chcieliśmy już widzieć żadnych Tutsi na parcelach. Wyobrażaliśmy sobie życie bez nich. Na początku byliśmy skłonni pozbyć się ich, wcale ich nie zabijając. Gdyby zgodzili się odejść do Burundi czy gdzie indziej, mogliby ocalić życie. A my nie ściągnęlibyśmy sobie na głowy masakry. Ale nie wyobrażali sobie życia na obczyźnie, bez ich starych tradycji i wielkich stad krów. To sprawiło, że chwyciliśmy maczety.

Tutsi tak łatwo godzili się na te rzezie, nigdy nie protestując, tak często czekali na śmierć czy ciosy, nie podnosząc głosu, że w głębi duszy myśleliśmy, że to ich przeznaczenie, że mają umrzeć tu i teraz, wszyscy razem. Uważaliśmy, że skoro ta robota nie napotyka przeszkód, to znaczy, że musi być wykonana. Ta myśl pomagała nam nie zastanawiać się nad samą pracą. Później dowiedzieliśmy się, jaką to ma nazwę. Ale między sobą w więzieniu używamy tego słowa.

JEAN-BAPTISTE: Po upadku samolotu ludzie zaczęli dyskutować w grupach o likwidacji wszystkich Tutsi. Ale nie brałem tych słów na poważnie, myślałem, że tylko tu i ówdzie dojdzie do masakry. W dniu rzezi w kościele zrozumiałem, że to poważna sprawa, że słowa i czyny zaczęły znaczyć jedno. Wyglądało na to, że czyny będą ostateczne, a słowa niepotrzebne.

Mogłeś się czuć nieswojo w robocie, która czekała cię na bagnach. Ale szeptałeś: ta praca zostanie doprowadzona do końca; jeśli się nie przyłożę, w przyszłości uznają mnie za defetystę, trudno będzie to znieść. Więc szedłeś za kolegami, robiłeś to bez słowa, a potem przywykałeś do tego i żartowałeś jak wcześniej. Ale powiedzieć prawdę o tej sytuacji, to jednak zbyt ryzykowne.

Jean: „Dla chłopca, który zaplątał się w krwawe polowania, mówienie o tym jest zawsze wyjątkowo trudne. Kiedy powie, co zrobił, zaszkodzi mu to w oczach innych lub on sam sobie tym zaszkodzi. Im młodszy był w chwili rzezi, im cieńszy miał wtedy głos, tym groźniej brzmią jego słowa. Powiedzą o nim: ten chłopak zobaczył wielkie zło, oskarży winowajców, włożył palce tam, gdzie nie powinien, jego opowieść zaszkodzi otoczeniu, nie będzie normalnym dorosłym; teraz powinien się trzymać z boku.

Dlatego tylko cisza może mu pomóc”

FULGENCE: Wcześniej nie mówiliśmy o tej masakrze, bo była sprawą inspiratorów, szykowano to z dala od naszych uszu. W trakcie nie mówiło się o niej, bo były inne rzeczy do roboty, a teraz słyszymy, że musimy wszystko opowiedzieć. Co powiedzieć, skoro byliśmy ostatnimi, którzy mieli prawo o tym mówić? Powiedzieć, cośmy widzieli? Dlaczego my, skoro wszyscy widzieli to samo? Dlaczego nie spytać tych rodaków, którzy w spokoju patrzą sobie na bananowce? Powiedzieć w szczegółach, cośmy zrobili? Czemu to miałyby służyć, prócz tego, że poniesiemy jeszcze większą karę? Dlaczego mamy mówić? Po co, skoro nie wiedzieliśmy przecież, co planuje się po kryjomu?

Najdziwniejsze jest to, że nikt nawet nie pomyślał, by wcześniej dokładnie nam wyjaśnić, po co są te rzezie, i teraz też nikt tego nie zrobi. Może najwyżej trzymać nas dłużej w więzieniu.

Clémentine: „Żony zabójców nigdy nie mówią o ludobójstwie, nigdy nie wymawiają tego słowa między sobą. Jest nieobecne tak samo jak słowa żalu, które są z nim związane. Mówią, że czują żal z powodu nieobecności mężów, biedy, która je czeka o świcie, złych słów, które szerzą się w okolicy, jakby to były jakieś klęski żywiołowe.

Modlą się, śpiewają, zaprzeczają wszystkiemu. Nie tylko dlatego, że się boją. Czują się raczej wściekłe niż godne potępienia. Czują się nieszczęśliwe bardziej z powodu niedotrzymanych obietnic ich mężów niż z powodu skarg i oskarżeń ludzi ocalałych. Milczą, osaczone ze wszystkich stron”.

PIO: Kiedy żyliśmy w dobrych stosunkach z sąsiadami, nie myślałem o tym, żeby zabijać Tutsi. Nawet bójkki czy wyzwiska wydawały mi się czymś niestosownym. Ale gdy wszyscy naraz zaczęli wyciągać maczety, zrobiłem to samo, nie czekając ani chwili. Trzeba było tylko naśladować kolegów i myśleć o zyskach. Zwłaszcza że wiedzieliśmy, iż Tutsi opuszczą świat żywych na dobre.

Kiedy dostajesz kategoryczne rozkazy, obietnice zysków, I to na długie lata, gdy czujesz wsparcie kolegów, zło jest ci obojętne i zabijasz, ilu tylko zdołasz. Chcę powiedzieć, że wszystkie tego rodzaju uczucia i słowa zachęty popychają cię do tego w naturalny sposób.

Ludobójstwo może wydawać się czymś nadzwyczajnym, kiedy ktoś zjawia się później, jak pan, ale jeśli ktoś uległ hasłom inspiratorów i posłuchał radosnych okrzyków kolegów, ta praca wydawała mu się całkiem zwyczajna.

LÉOPORD: Kiedy Tutsi dawali się złapać, wielu umierało bez słowa. W Rwandzie mówi się „umrzeć jak baranek w Biblii”. Trzeba dodać, że w Rwandzie nie ma ani jednego baranka i nie wiemy, jaki odgłos wydają.

Czasem strasznie nas to dziwiło, że czekają na śmierć bez krzyku. Wieczorem

zastanawialiśmy się nad tym, powtarzaliśmy: dlaczego ci ludzie, którzy odchodzą, nie protestują, dlaczego nie proszą o łaskę?

Dowódcy twierdzili, że Tutsi czują się winni, ponieważ są Tutsi. *Interahamwe* powtarzali, że czują się odpowiedzialni za nieszczęścia, których nam przysporzyli.

Wiedziałem, że to nieprawda. Tutsi nie prosili o nic, bo w tych fatalnych chwilach nie wierzyli już w słowa. Nie wierzyli już w krzyki, jak choćby przerażone zwierzęta, które nie milkną, mimo że zadajesz im śmiertelne ciosy, chcą, by ktoś je usłyszał. Ich zabierał bezbrzeżny smutek. Czuli się opuszczeni przez wszystko, nawet przez to, co mogliby powiedzieć.

Śmierć w oczach

Jedziemy przez las Nyungwe w zachodniej części Rwandy, ogromny i bardzo gęsty. Jest sierpniowy poranek 1994 roku; jedyną drogą przecinającą las sunie nieprzerwana kolumna Hutu, którzy uciekają z miast Butare i Gikongoro, by zgromadzić się w przygranicznym mieście Cyangugu i przebyć rzekę dzielącą ich od obozów w Kongu.

Kilka kilometrów dalej leśni strażnicy mówią nam, że dziesiątki tysięcy uciekinierów rozproszyły się w głębi lasu, stawiają szałas z gałęzi i wolą żyć jak kiedyś z polowania i zbieractwa, niż udać się na obczyznę. Z ciekawości opuszczamy asfaltową drogę i wjeżdżamy na poprzeczny trakt, ginący w mrocznej gęstwinie, której ciszę zakłócają tylko gardłowe krzyki kukali o żółtych dziobach i dźwięczne wołania gajówek.

Na końcu ubitego szlaku, na polanie, natykamy się na grupkę dziesięciu mężczyzn, siedzących w kucki wokół ogniska, a obłoki dymu mieszają się z wilgotnymi oparami lasu. Sabou, tłumacz, z którym podróżuję już od tygodni, od razu ostrzega: „Uwaga, *interahamwe*”. Nie od razu rozumiem to ostrzeżenie, sądząc, że ma na myśli „Hutu”, co wydaje się oczywiste, podczas gdy on myśli o „zabójcach”.

Mężczyźni, w większości z nagimi torsami, mają na sobie szorty lub podarte spodnie. Niektórzy sporządzili sobie okrycia z liści, by mniej rzucać się w oczy i chronić się przed deszczem. Doglądają kijów, na których pieką mięso gerez, a obok walają się czarno-białe futra tych zwierząt. Mają łuki i maczety, które leżą tuż obok; żadnej broni palnej, żadnego bagażu.

Sabou nie jest Hutu ani Tutsi, tylko młodym człowiekiem z Konga, z sąsiedniego miasta Bukavu, który doskonale mówi językiem kinyarwanda. Mężczyźni uprzejmie witają się z nami, proszą, byśmy usiedli i zczekali na pieczone mięso. Wypytują nas o sytuację na granicy. Nawiązuje się pogawędka o ich wędrowności z rodzinnego regionu, o życiu myśliwych, ani przez chwilę, rzecz jasna, nie ma mowy o tym, co robili wcześniej. Sabou, zwykle bardzo żywiołowy, zachowuje dyskretne milczenie.

Nagle kilku z nich podnosi się z ziemi z maczetami w dłoniach i otacza nas kręgiem. Nastrój zupełnie się zmienił, nie wiem, w którym momencie. Szósty zmysł i zimna krew Sabou, który przewidział to nagłe natarcie i wciąż coś do nich mówi, sprawiają, że udaje nam się wycofać, nie wykonując zbyt gwałtownych ruchów, i w końcu zamknąć się w

samochodzie, nim padną pierwsze ciosy. Ruszamy na wstecznym biegu, z piskiem opon, podczas gdy mężczyźni walą maczetami w karoserię, wściekli, że zdobycz, czyli nasz samochód, pieniądze, ubrania, worek bananów, wymyka im się z rąk.

Ta scena trwa dość długo, toczy się jakby w zwolnionym tempie, tak iż możemy obserwować w szczegółach przejawy tej szalonej wściekłości. Toteż dokładnie zapamiętamy ich zacięte, zionące nienawiścią twarze, ich krzyki, spojrzenia, w których furia mieszała się z żądzą mordy.

(Ci, którzy jeżdżą na wojny, mówią, że spojrzenie osoby zadającej śmierć głębiej zapada w pamięć niż sam widok śmierci albo że bardziej wstrząsnęły nimi pozorowane egzekucje niż widok ofiar podczas natarcia czy bombardowania).

Ci ludzie na polanie nie byli z Bugesery, choć mogli stamtąd pochodzić. Jednak podczas wizyt w więzieniu w Rilimie nigdy nie dostrzegłem na twarzach członków paczki z Kibungo niczego, co przypominałoby mi tę dramatyczną scenę. Wspominam ją dziś tylko dlatego, że po czasie rozważam, nieświadomie, czy nie udałem się do tego zakładu między innymi po to, by odnaleźć w rysach zabójców jakiś ślad tej niezrozumiałej nienawiści, skonfrontować więźniów z moim wspomnieniem i jakoś połączyć z sobą te historie.

Bez względu na to, jaki jest powód tego zaciekawienia, sądzę, że pojechałem tam przede wszystkim po to, by ujrzeć zabójców, o których opowiadają ocalali, ojców i braci tych milczących i nieufnych Hutu, nieopuszczających już swoich parcel, oraz, jeśli to możliwe, nawiązać z nimi dyskusję, nawet gdyby miało to budzić wątpliwości czytelników książki. Na przykład: czy jest rzeczą moralną rozmawiać z tego rodzaju zabójcami, a zwłaszcza zachęcać ich, by zechcieli się wypowiedzieć?

Lub jeszcze inaczej: czy jest rzeczą moralną publikować wywiady z ludźmi uwięzionymi, pozbawionymi wolności, również wolności słowa?

Wcześniej, w innych krajach, zdarzyło mi się spotykać osoby uwięzione na skutek wojny: ludzi z wrogiego obozu, ludzi podejrzewanych o zdradę, kolaborację, o zbrodnię albo gwałt czy osoby urodzone w niewłaściwej grupie etnicznej lub pod złym nazwiskiem... Słyszałem bardzo wiele tego rodzaju świadectw czy wyznań nie do końca godnych zaufania. Zawsze odmawiałem publikacji wypowiedzi tych więźniów, czasem nawet, gdy presja ze strony strażników była zbyt silna, nie chciałem także słuchać, by nie być świadkiem ich upokorzenia.

Po co więc robić wyjątek w Nyamacie? Spośród wielu powodów mogę wymienić na chybił trafił: zupełną obojętność administracji więzienia w Rilimie na moje wizyty, a więc i jej dyskrecję podczas rozmów i później; silną więź, czasem przyjaźń, która łączy mnie z

ocalały; nieznośne milczenie napotykanym Hutu i ciężką atmosferę na wzgórzach; specyficzny charakter ludobójstwa, które na każdym etapie mnoży sprzeczne z sobą przykłady; siłę książki Hannah Arendt *Eichmann w Jerozolimie*, napisanej po wysłuchaniu słów pewnego więźnia, w dodatku w chwili gdy zbliżała się jego egzekucja.

Najbardziej uczciwie byłoby tu dodać, że to pytanie rozwiało się w naturalny sposób w trakcie wywiadów, że być może wciągnął mnie ten projekt i po powrocie do Paryża przestało mnie nurtować i zaraz zastąpiły je inne, bardziej natarczywe kwestie.

*

Adalbert, dowodzący rzeziami w Kibungu, potem szef w obozie w Kongu, wreszcie przewodnik chóru i osoba odpowiedzialna za bezpieczeństwo w więzieniu, jest tym, od którego muszę zacząć te rozmowy. Pierwszego dnia siada na ławce, chętny i gotowy, słucha pytania i zaczyna opowiadać o bitwie. Tutsi kontra Hutu, niezliczone ataki, natarcia i odwroty, ruchy uzbrojonych w maczety oddziałów na wzgórzach, wsparcie ze strony mężczyzn wyposażonych w karabiny, którzy nacierają na przeciwległym zboczach, bohaterskie wyczyny, by utrzymać położone w strategicznym punkcie domostwo i porzucone parcele...

Słuchamy z niedowierzaniem, Innocent robi się coraz bardziej nerwowy, ja staram się odgadnąć, co Adalbert tak naprawdę myśli. Gdy zwracam mu uwagę, że od czasów ludobójstwa wiele razy odwiedziłem już Rwandę, więc proponowana przez niego wersja jest bezużyteczna, nie wydaje się wcale zawiedziony ani rozdrażniony, ale po kolejnym pytaniu podejmuje swą epopeję w miejscu, w którym skończył.

Czy chce zaznaczyć, że nie podoba mu się zamysł napisania tej książki? Czy sobie z nas kpi? Z pewnością nie. Czy opowiada to, co chciałby, by było prawdą, drwiąc sobie z naszej opinii? Być może, ale nie tylko. Kiedy nachodzą go wątpliwości, być może tworzy sobie pewien wymyślony obraz, w którym znika sam lub razem z kolegami. Trzeba czekać dwa tygodnie, by zaczął mówić w sposób bardziej rzeczowy.

Alphonse, który pod gałęziami akacji powtarza podobne słowa, zaczyna bez oporów opisywać swoje pierwsze krwawe doświadczenie. Jest dokładny, gdy chodzi o czyny, dialogi i fakty. Ale opowiada o tym dniu ze swadą myśliwego, który wrócił właśnie z polowania na kaczki. Jowialność i nadmiar szczegółów, które nam podaje, są równie intrygujące jak absurdalne wywody Adalberta.

Natomiast Fulgence stale się płacze w swoich opowieściach, przerywa w środku zdania, spogląda na prawo i lewo, jakby po każdym pytaniu stawał na rozdrożu i nie miał żadnej wskazówki, w którą stronę pójść.

Zresztą każdy zachowuje się dosyć dziwnie, gdy ma zacząć opowieść, jakby

wyłaniał się z jakiejś magicznej kuli.

A priori, zdarzenia, które wstrząsnęły ich życiem, mogłyby wyjaśniać fakt, iż kryją się w takiej kuli. W istocie rzeczy żyli wiejskim życiem i nic nie wskazywało na to, by los miał im przynieść coś więcej niż wybór żony, dwuznaczne sąsiedztwo na wzgórzu w małym kraju w samym sercu Afryki, bez łączności z szerokim światem poprzez telewizję czy napływ imigrantów. Z dnia na dzień wpadają w wir nieprawdopodobnych rzezi, ich pierwsza podróż to paniczna ucieczka dwóch milionów rodaków udających się na wygnanie, ich pierwszy pobyt za granicą to pobyt w obozach, gdzie pozostają przez ponad dwa lata bez żadnej perspektywy jutra. Po powrocie niektórzy, nawet nie zaglądając do domów, trafili do więzienia wraz z siedmiu tysiącami swoich pobratymców, gdzie prócz radia nie mają żadnej więzi z otaczającym światem.

Jednak swego rodzaju pogoda ducha, której dają wyraz, sprawia, że zdają się przebywać w jakimś nierzeczywistym i dziwacznym świecie, który kłóci się z ich pełnym zgiełku i przemocy prawdziwym żywotem. Nie mogą tego zawdzięczać murom, które ich chronią przed oskarżycielskimi spojrzeniami ludzi, przed atmosferą strachu i podejrzliwości, przed alkoholizmem, który króluje na trzech wzgórzach. Co ciekawe, żaden z członków paczki nie wykazuje jakichkolwiek objawów zaburzeń psychicznych. Żaden nie jest w głębokim szoku i, jak oświadczają, tylko dziesięciu mężczyzn w więzieniu cierpi na takie zaburzenia. Są żale, tęsknota, skargi, przygnębienie, niedogodności związane z życiem w więzieniu, ale nikt nie popada w depresję z powodu tego, co robił maczetą.

Innocent, który spotyka ich w zakładzie karnym sześć lat po wydarzeniach w Kibungu, ujmuje to tak: „Myślałem, że będą zgorzkniali, wynędzniali, zdziczali, i ze zdziwieniem widzę, że są czasami uśmiechnięci i pełni entuzjazmu. Wyglądają bardziej na pensjonariuszy niż więźniów, a w dodatku mówią o ludobójstwie jak o jakimś bardzo odległym barbarzyńskim akcie, który wykonywali po prostu na zlecenie władz”. Jeszcze jedna oznaka: mówią głosem spokojnym, tonem poufałym, który za każdym razem wskazuje na ich zadziwiającą bezdusność.

Czy przerwalibyśmy te wywiady, gdybym w którymś momencie ujrzał na czyjejs twarzy ślad tego okrucieństwa, które dostrzegłem w lesie Nyungwe? Nie potrafię na to odpowiedzieć.

Ale jest rzeczą pewną, że ich niewzruszona pogoda ducha decydowała o przebiegu tych rozmów, pozwalała bowiem pokonać znudzenie i odrazę, a przede wszystkim stale podsuwała następujące pytania: dlaczego ci ludzie wzięli udział w realizacji tego rodzaju planu? Dlaczego godzą się opowiadać, czasem niezwykle szczerze, a nieraz nawet w sposób

naiwny i prostoduszny?

Czy raczej: dlaczego godzą się snuć te opowieści, nie okraszając ich słowami żalu ani mniej lub bardziej szczerymi *mea culpa* i nie czekając na naszą reakcję? Te pytania bez odpowiedzi sprawiają, że zachowujemy czujność, i pomagają nam pokonać trudne chwile. Gdybym miał jednak wskazać najbardziej niezwykły rys ich osobowości, ujawniony podczas wywiadów, nie skupiałbym się na ich spokoju ducha ani rozluźnieniu, tylko na ich egocentryzmie. Jest prawie tak samo silny u wszystkich i chwilami wręcz nieprawdopodobny. W istocie rzeczy, kiedy opowiadają o ludobójstwie, nie opisują zdarzenia, w którym brali aktywny udział, lecz sytuują siebie w centrum wydarzenia, wokół którego krążyli inni ludzie, ofiary, ocalali, radcy gminy, księża, *interahamwe*, biali i tak dalej.

Paradoks polega na tym, że z jednej strony pomniejszają swój udział i zrzucają odpowiedzialność na innych, administrację, *interahamwe*, w domyśle także *muzungu* i Tutsi, z drugiej zaś - widzą tylko siebie w całej tej historii, zarówno wczoraj, jak i dziś.

W swoim gronie nie oceniają masakr w ten sam sposób, Élie, Alphonse, Léopold chcieliby je lepiej zrozumieć; Pio i Pancrace przyznają, że to ich przerosło; Jean-Baptiste wskazuje na potworność czynów i ich wpływ na świat. Joseph-Désiré, Ignace, Adalbert, przeciwnie, wciąż próbują niezdarnie podawać wszystko w wątpliwość, nie widząc, że to droga donikąd.

Pomimo tych różnic, które nigdy nie prowadzą do zwady, gdyż nie dyskutują o tym między sobą, wszyscy myślą wyłącznie o swoim własnym losie i obdarzają współczuciem wyłącznie siebie samych. Gdy któryś z nich sporządza tragiczny bilans owych krwawych wydarzeń, wylicza ich konsekwencje dla swej własnej przyszłości. Kiedy podejmujemy temat wyrzutów sumienia, żaden spontanicznie nie mówi o ofiarach. Myślą o nich, ale dopiero w drugiej kolejności. Przede wszystkim żałują własnych strat i skarżą się na swoje ciężkie doświadczenia. Fulgence mówi któregoś dnia: „Dostrześliśmy pierwsze przykre konsekwencje masakr, zmierzając do Konga, gdy burczało nam w wygłodniałych brzuchach, a za plecami słyszeliśmy straszliwe pogródki” Naturalność, z którą obnażają przed nami swe cierpienia, jest zdumiewająca. W odróżnieniu od zbrodniarzy wojennych - z wyjątkiem niektórych psychopatów - którzy po fakcie próbują pomniejszyć swoją rolę, skryć się za kulisami, oni mają skłonność stawać na środku sceny.

By wyjaśnić tę osobliwość, wysunę ostrożnie tylko jedną hipotezę. To absolutny wymiar całego planu pozwalał im wypełniać go wczoraj ze swoistym spokojem; to jego absolutny wymiar pozwala im dziś nie przyjmować tego do wiadomości i odczuwać z tego powodu pewnego rodzaju niepokój. To potworność eksterminacji obarcza poczuciem winy

ocalałych, w każdym razie ich prześladowuje, a równocześnie zrzuca poczucie winy z zabójców i ich uspokaja, być może chroniąc ich w ten sposób przed szaleństwem.

*

Co rano spotykamy się na głównej ulicy. Innocent, wstający znacznie wcześniej, czeka na ławce pod ścianą sklepiku Marie-Louise, z którą gawędzi, czasem trzymając już butelkę primusa między kolanami. Choć nie przepada za słodyczami, prowadzę go często na drugą stronę ulicy, na werandę piekarni Sylvie. Zaczynamy dzień od herbaty z mlekiem i paczków, żartując na temat zmiennego humoru szefowej. Potem robię obchód aptek z plikiem recept podpisanych przez więziennego pielęgniarza. Życzliwość aptekarek, rytuał tych zakupów dla członków paczki sprawiają, iż są to przyjemne chwile, tak jak myśl, że znowu ich spotkam, gdy jesteśmy już w drodze.

*

Na początku czułem do nich jedynie naturalny wstręt czy niechęć; w najlepszym przypadku, przy paru okazjach, niejaką pobłażliwość. Ani bardzo aktywna obecność Innocenta, ani codzienne spotkania z kręgiem Marie-Louise, Sylvie i ich klientów, z Édith i jej dziećmi, z Claudine i wszystkimi przyjaciółmi na wzgórzach nie są konieczne, by chronić mnie przed syndromem współczucia. Lecz w miarę upływu czasu w te relacje wkrada się swego rodzaju niepokój; paczka z Kibungo nie staje się wprawdzie w moich oczach bardziej sympatyczna, ale łatwiej jest mi z nią obcować, w każdym razie pod cienistą akacją. Trudno to przyznać, ale ciekawość bierze górę nad wrogością.

Ich grupowa solidarność, odcięcie od świata, który zbrukali krwią, ich niezrozumienie nowej sytuacji, niezdolność, by wyobrazić sobie, jak na nich patrzymy, sprawiają, że łatwiej się nam do nich zbliżyć. Ich spokój i cierpliwość, czasami naiwność, w końcu rozluźniają napiętą atmosferę, a przede wszystkim pozwalają nam lepiej zrozumieć, dlaczego właściwie zgodzili się mówić. Nie zależy im na tym, by świadczyć dla historii. Nie czują potrzeby, by coś z siebie wyrzucić, nie spodziewają się wcale złagodzenia kary. Prawdopodobnie decydują się opowiadać, gdyż po raz pierwszy mają taką okazję, nie czując zagrożenia. Ale to nie wszystko.

Niektórym zdarza się mówić, że nie rozpoznają się już w tych osobach, które szły ze śpiewem na bagna; inni wydają się bać tych, którymi się tam stali. Może ich egocentryzm nie jest tak silny, jak się wydawało. Może wątpią w siebie samych bardziej, niż wskazywałyby ich opowieści. Może czują potrzebę, by widzieć się takimi, jakimi byli kiedyś, nawet z perspektywy czasu, w historii, którą opowiadają. Może opowiadają to, by nas przekonać, że są zwykłymi ludźmi, jak opisywali to Primo Levi oraz Hannah Arendt. Niewątpliwie w

niejasny dla siebie samych sposób chcą odsłonić przed nami, którzy stoimy na skraju wiru zagłady, jakąś budzącą lęk prawdę.

*

ALPHONSE: Winowajcy opowiadają, że zmieniliśmy się w dzikie bestie, że zaślepilo nas okrucieństwo, że pogrzebaliśmy naszą cywilizację pod gałęziami papirusów; dlatego nie potrafimy znaleźć właściwych słów, żeby o tym mówić.

To tylko żarty, by oddalić prawdę. Mogę powiedzieć jedno: z dala od bagien nasze życie wyglądało całkiem zwyczajnie. Śpiewaliśmy, idąc ścieżką, piliśmy primusa albo *urwagwę*, co kto wolał. Mówiliśmy, że los nam sprzyja, zmywaliśmy mydłem krew z rąk nad miednicą, delektowaliśmy się zapachami z garnków. Cieszyło nas nowe życie, które wkrótce się zacznie, i przeżuwaliliśmy mięso z krowich udźców. Nocą grzaliśmy się na żonach i napominaliśmy rozbrykane dzieci. Nawet jeśli nie wystarczało nam już okazywanie czułości jak wcześniej, byliśmy bardzo łasi na te miłe chwile.

To były bardzo podobne do siebie dni, jak już panu mówiłem. Wkładaliśmy robocze ubrania. Plotkowaliśmy w kabarecie, zakładaliśmy się o liczbę zabitych, żartowaliśmy na temat świętych dziewcząt, spieraliśmy się o głupstwa. Ostrzyliśmy narzędzia. Robiliśmy sobie kawały, drwiliśmy z „łaski” o którą prosili ścigani; liczyliśmy i gromadzili dobra.

Spokojnie oddawaliśmy się wszelkim zwyczajnym zajęciom, rzecz jasna pod warunkiem, że w ciągu dnia braliśmy udział w rzezi.

Pod koniec tego sezonu na bagnach byliśmy tak zawiedzeni, że nam się nie udało. Było nam przykro, że wszystko stracimy, bardzo baliśmy się złego losu i zemsty, które już wyciągały ku nam ramiona. Ale w gruncie rzeczy nie czuliśmy się zmęczeni.

marzec 2003

Biografie i wyroki

Fulgence Bunani

Urodził się w prefekturze Gitarama w rodzinie rolników, jak wszyscy jego kumple z paczki. W roku rzezi miał trzydzieści siedem lat, a kiedy zaczynają się nasze wywiady, ma trzydzieści dziewięć. Po szkole podstawowej uprawiał rolę w osadzie Kiganwa na wzgórzu Kibungu. Żarliwy katolik, był pomocnikiem proboszcza i czasem odprawiał mszę w kościele w Kibungu, zastępując księdza, który dzielił swój czas między kilka parafii. Jego żona i dwoje dzieci, w wieku dwunastu i siedmiu lat, mieszkają na ich parceli.

Został osądzony przez trybunał pierwszej instancji w powiecie Nyamata, który mieści się w budynku nieopodal więzienia, z dala od miasteczka i wzgórz, podczas zbiorowego procesu czterdziestu więźniów. Oskarżony o zbrodnie ludobójstwa i zbrodnie przeciwko ludzkości, przyznał się do współudziału w zabójstwach. Sąd przyjął jego zeznania i 29 marca 2002 roku skazał go na dwanaście lat więzienia w zakładzie w Rilimie. Nie złożył odwołania do Trybunału w Kigali. Wyszedł z więzienia 21 stycznia 2003 roku - po sześciu latach - i trafił na cztery miesiące do obozu reedukacyjnego w Bicumbi, w północno-wschodniej części powiatu. Stamtąd 5 maja 2003 roku został warunkowo zwolniony i wrócił na swoje wzgórze, do Kiganwy.

Pancrace Hakizamungili

Urodził się w Ruhengeri, na wzgórzu Kibungu, w roku, w którym jego rodzice przybyli z Gitaramy do Bugesery. Podczas rzezi miał dwadzieścia pięć lat. Mówi o sobie, że ma większy dar do dyskusji z przyjaciółmi w kabarecie niż do religii. Jest rolnikiem, kawalerem, ma czwórkę rodzeństwa. Jego matka uprawia rodzinną parcelę.

Został osądzony podczas tego samego procesu co Fulgence. Przyznał się do niektórych zabójstw. Jego zeznania zostały przyjęte przez sąd. Został skazany tego samego dnia na identyczną karę: dwanaście lat pozbawienia wolności. Nie odwołał się do sądu wyższej instancji w Kigali. On też wyszedł z więzienia w styczniu 2003 roku, po siedmiu latach, i został umieszczony na cztery miesiące w obozie w Bicumbi, po ogłoszeniu dekretu prezydenckiego, którego celem było drastyczne zmniejszenie liczby więźniów w zakładach

karnych. Jest wolny od 5 maja 2003 roku.

Élie Mizinge

Urodził się w Gisenyi, mieście na zachodzie kraju, blisko granicy z Koniem. Podczas masakr miał pięćdziesiąt lat. Pamiętał zatem dobrze czasy kolonizacji, miał bowiem czternaście lat w chwili śmierci ostatniego króla Tutsi tuż przed uzyskaniem niepodległości. Był wojskowym, przybył do Bugesery w 1974 roku, poszukując parceli, w którą mógłby zainwestować oszczędności z żołdu. Znalazł ją w Karambo, na wzgórzu Muyenzi. Opuścił armię, by zostać policjantem w powiecie, później, w 1992 roku, rozstał się z mundurem, prawdopodobnie zwolniony ze służby za udział w morderstwie, i całkowicie poświęcił się rolnictwu. Jest żonaty. Z trójki jego dzieci dwoje nie żyje. Śledztwo w jego sprawie jest zamknięte, ale nie był sądzony z innymi, zapewne z powodu wojskowej przeszłości i pracy w policji. Prawdopodobnie stanie przed ludowym trybunałem *gaçça* i zapewne zostanie skazany na karę dwóch, trzech lat robót publicznych, w każdym razie nie więcej. To znaczy: zostanie warunkowo zwolniony i będzie musiał przez trzy dni w tygodniu pracować w jakimś przedsiębiorstwie lub administracji państwowej, nie pobierając wynagrodzenia. Obecnie znajduje się w obozie w Bicumbi, gdzie wraz z kolegami poddawany jest resocjalizacji, później będzie czekał na proces w swoim domu, nie w więzieniu.

Adalbert Munzigura

Urodził się w Ruhengeri na wzgórzu Kibungu. Podczas masakr miał dwadzieścia trzy lata. Jego rodzice, rolnicy pochodzący z Gitaramy, przybyli do Bugesery w 1970 roku, by osiedlić się w Ruhengeri na wzgórzu Kibungu. Jest kawalerem. Z jego jedenaściorga rodzeństwa siedmioro na pewno żyje. Skończył szkołę podstawową i odtąd pracował na rodzinnej parceli. Prowadził chór w Kibungu, był członkiem MDR, nacjonalistycznej partii Hutu, która rywalizowała ze sprawującą władzę partią MNRD.

Sądzony podczas tego samego procesu co Fulgence i Pancrace, przyznał się do niektórych zabójstw. Jego lakoniczne zeznania zostały przyjęte przez sąd, mimo zdecydowanych protestów prokuratorów i niektórych sędziów. Został skazany na karę dwunastu lat więzienia. Nie złożył odwołania.

Jednak w dniu ogłoszenia wyroku sąd w Nyamacie zaznaczył, że zamierza złożyć odwołanie *a minima*, uznając, że jego kara jest zbyt niska, biorąc pod uwagę fakt, iż był

dowódcą, oraz jego aktywność przed rzezią i w jej trakcie. Później trybunał zrezygnował z tego, nie podając wyjaśnień.

Adalbert wyszedł więc z więzienia pod koniec stycznia 2003 roku, by trafić do obozu w Bicumbi. Jego matka, Rose Kubwimana, niecierpliwie czeka na syna na ich parceli w Ruhengeri od chwili jego zwolnienia, 5 maja 2003 roku.

Jean-Baptiste Murangira

Urodził się niedaleko miasta Gikongoro, w centralnej części kraju. Podczas masakr miał trzydzieści osiem lat. Ukończył liceum, potem podjął pracę w administracji jako szef wydziału handlu i powiatowy poborca. Ale został zwolniony i zajął się uprawą ziemi. Ożenił się z kobietą Tutsi, Spéciose Mukandahungą, którą oszczędzono podczas ludobójstwa. To małżeństwo nie jest przejawem tolerancji - wielu notabli i oficerów poślubiło Tutsi przez snobizm. Jego żona wciąż mieszka w ich domu i uprawia parcelę w Rugundze, osadzie zamieszkaną przez Tutsi, na wzgórzu N'tarama. Jean-Baptiste ma sześcioro dzieci, o których nie otrzymuje żadnych wiadomości.

Został osądzony jako pierwszy z paczki, za ledwie kilka miesięcy po powrocie uchodźców z Konga, jeszcze przed wprowadzeniem polityki narodowego pojednania. Stąd zapewne większa surowość sędziów, którzy 30 marca 1997 roku skazali go na piętnaście lat pozbawienia wolności. Przyznał się do niektórych zabójstw i nie odwołał się do sądu apelacyjnego w Kigali.

Wyszedł z zakładu w Rilimie w styczniu 2003 roku, po ośmiu latach więzienia, i został umieszczony w obozie reedukacyjnym w Bicumbi, a 5 maja 2003 roku wrócił na parcelę, do swej żony Tutsi, i czeka na podjęcie pracy w urzędzie publicznym w N'taramie, Nyamacie lub gdzie indziej.

Ignace Rukiramacumu

Urodził się w regionie Gitarama. W czasie rzezi miał sześćdziesiąt dwa lata. Podobnie jak Élie, żył pod rządami królów Tutsi, a w chwili uzyskania niepodległości i ogłoszenia Republiki miał prawie trzydzieści lat. Przybył do Bugesery w 1973 roku. Ukończył cztery klasy szkoły podstawowej, potem pracował jako murarz, nim nabył parcelę w osadzie Nganwa, na wzgórzu Kibungo. Jego żona nie żyje. Wiele jego dzieci zostało zabitych po ludobójstwie, lecz o żadnym z nich nie ma dokładnych wiadomości. Śledztwo w jego sprawie

zostało zamknięte, ale nie będzie sądzony. Został zwolniony 21 stycznia 2003 roku na mocy prezydenckiego dekretu łaski, obejmującego więźniów powyżej siedemdziesiątego roku życia. Bez wydawania wyroku i bezwarunkowo.

Jest więc pierwszym z paczki, który wyszedł na wolność. Znowu uprawia swoją parcelę w Ganwa, już destyluje *urwagwę*, w soboty chodzi na targ i zagląda do nowego kabaretu, gdyż ten, w którym przesiadywał przed masakrami, został zburzony. Ale niechętnie mówi o tych ostatnich latach.

Pio Mutungirehe

Urodził się w Nyarunazi, na wzgórzu Kibungo. W roku rzezi miał dwadzieścia lat. Jest kawalerem, ma troje rodzeństwa. Grał w drużynie piłkarskiej z Kibungo, złożonej z członków obu grup etnicznych, był kibicem klubu Bugesera Sport i pilnie uczestniczył w próbach chóru w Kibungo. Ukończył szkołę podstawową, później uprawiał rodzinną parcelę, położoną między Nyarunazi a Kiganwą. Został osądzony podczas tego samego procesu co Fulgence, Pancrace i Adalbert. Przyznał się do niektórych zabójstw i 29 marca 2002 roku został skazany na taką samą karę, dwanaście lat pozbawienia wolności. Nie odwoływał się. On także trafił na kilka miesięcy do obozu reedukacyjnego w Bicumbi. Tak jak inni wyszedł stamtąd 5 maja 2003 roku, zwolniony z prac publicznych, jak wszyscy z paczki, oprócz Éliego i Alphonse'a.

Jest w dobrej formie i nie może się doczekać chwili, gdy znów będzie mógł grać w piłkę.

Alphonse Hitiyaremye

Urodził się w regionie Kibuye. W 1977 roku przybył do Bugesery, gdzie pewien bogaty rolnik Tutsi zatrudnił go do pracy na swych parcelach. Później kupił ziemię w Nyamafauye, między wzgórzami Kanzenze i Kibungo. Ma głowę do interesów, prowadził także sklep w Kanzenze, który zaczynał dobrze prosperować. W roku rzezi miał trzydzieści dziewięć lat. Jest żonaty i jest ojcem czwórki dzieci. Był dobrym piłkarzem i dobrym katolikiem. Jego żona żyje i uprawia ich parcelę.

Jego sytuacja prawna jest szczególna. Śledztwo w jego sprawie zostało zakończone, ale z nieznanых powodów nie był sądzony podczas tego samego procesu co Fulgence, Adalbert, Pio oraz inni. Został zwolniony 5 maja 2003 roku, ale zapewne będzie sądzony

przez trybunał *gaçaçà*. Tak jak Éliemu grozi mu więc kilka lat robót publicznych. Te prace mogą być bardzo różne, może sprawować funkcję pielęgniarza w przychodni lub pracować przy utrzymaniu dróg.

Joseph-Désiré Bitero

Urodził się na wzgórzu Kanazi w rodzinie rolników. W roku masakr miał trzydzieści jeden lat. Jest żonaty i jest ojcem dwójki dzieci, które żyją na parceli. Ukończył szkołę pedagogiczną, był nauczycielem i mieszkał w Nyamacie. Był kuzynem burmistrza i jako młody chłopak przystąpił do MNRD, partii prezydenckiej sprawującej władzę. Kierował młodzieżówką tej partii, w 1993 roku został mianowany powiatowym szefem *interahamwe*, najliczniejszych w kraju ekstremistycznych bojówek Hutu.

Z tego powodu jako jedyny z paczki był zamieszany w przygotowania do ludobójstwa na wiele miesięcy przed jego rozpoczęciem. Jego dom w dzielnicy Gatare w Nyamacie został skonfiskowany na mocy wyroku, skazującego go na wypłacenie odszkodowań. Jego żona nie była ścigana, ale nie wróciła do pracy na oddziale położniczym Świętej Marty. Wraz z dwiema córkami wyjechała do swojego rodzinnego domu w Kanazi, by uprawiać parcelę.

Joseph-Désiré, oskarżony o zbrodnie ludobójstwa i zbrodnie przeciwko ludzkości, których dopuścił się z premedytacją, był sądzony oddzielnie podczas długiego procesu w Nyamacie. Jego powierzchowne i sprzeczne zeznania zostały odrzucone przez trybunał jako nieszczerze. Został skazany na karę śmierci przez sąd pierwszej instancji 3 lipca 1998 roku w Nyamacie. Jego odwołanie zostało odrzucone przez sąd apelacyjny w Kigali. Spóźniony werdykt sprawił, że uniknął publicznej egzekucji 24 kwietnia 1998 roku i najprawdopodobniej czeka go dożywotnie więzienie, w każdym razie pod aktualnymi rządami prezydenta Kagame.

Léopold Twagirayezu

Urodził się w Muyange, na wzgórzu Maranyundo. W roku rzezi miał dwadzieścia dwa lata. Jest synem rolnika, jak wszyscy inni, ma cztery siostry. Ukończył szkołę podstawową, potem uprawiał rodzinną parcelę. Był członkiem rządzącej partii MNRD, tak jak Joseph-Désiré Bitero, ale tylko przez dwa lata i nie sprawując żadnych funkcji. Od dzieciństwa jest praktykującym, żarliwym katolikiem.

Oskarżony o zbrodnie ludobójstwa i zbrodnie przeciwko ludzkości, przyznał się do

wielu zabójstw i do pełnienia funkcji dowódcy. W 2001 roku został skazany przez sąd pierwszej instancji w Nyamacie na karę siedmiu lat pozbawienia wolności. Współpraca z policją i prokuraturą podczas śledztwa oraz waga jego zeznań mogą tłumaczyć fakt, że otrzymał łagodniejszy wyrok niż inni. Nie złożył odwołania.

Został zwolniony w grudniu 2002 roku, po odbyciu niemal całej kary, i nie musiał przechodzić reedukacji w obozie. Jednak podczas oficjalnej ceremonii publicznego pojednania, zorganizowanej, gdy siedział jeszcze w więzieniu, na jego widok sąsiedzi zaczęli obrzucać go wyzwiskami i grozić, toteż nie wrócił jak dotąd na swoje rodzinne wzgórze Maranyundo.

Słownik

Ankole. Krowa średniej wielkości, szczupła i dobrze umięśniona, którą wyróżniają wspaniałe rogi w kształcie liry i niewielki garb na grzbiecie, upodabniający ją do krów indyjskich. Jej umaszczenie jest często beżowe lub w szare, czarne i białe plamy. Jej hodowlą zajmują się Tutsi, bardziej dla samego posiadania niż w celu spożycia. Choć krowy te zostały zdziesiątkowane podczas ludobójstwa, wskutek uboju lub uprowadzania całych stad do Konga, ich pogłowie osiągnęło już poziom sprzed 1994 roku, co świadczy o sile tradycji.

Dzierzbik. Ptak o szkarłatnoczerwonym upierzeniu, na grzbiecie smolistoczarным, z żółtym czubem na głowie. Bardzo często spotykany na wzgórzach, podobnie jak nektarnik o długim ogonie i słowik rdzawy.

Einsatzgruppe. Jednostka zmotoryzowana, utworzona wiosną 1941 roku z członków gestapo lub Waffen-SS, by przyspieszyć masakry i deportacje Żydów na terenie Rzeszy.

FPR. Front Patriotyczny Rwandy. Partyzancki ruch Tutsi, który powstał w 1988 roku na terenach Ugandy. W 1990 roku FPR rozpoczął operacje wojskowe przeciwko rwandyjskiej armii. Przeprowadził wielką ofensywę w pierwszym dniu ludobójstwa i ostatecznie pod dowództwem Paula Kagame, obecnego prezydenta Republiki, zajął kraj 4 lipca 1994 roku. FPR przekształcił się wówczas w regularną armię Rwandy, której głównym polem działania jest region Kiwu w Kongu.

Gaćaça. Niegdyś były to sądy, rodzinne lub plemienne, w których tradycyjnie wydawano wyroki pod drzewem posłuchań. Z powodu niewydolności instytucjonalnego sądownictwa po czasach ludobójstwa, a także z powodu śmierci, ucieczki lub kolaboracji zbyt wielkiej liczby sędziów rwandyjskie państwo postanowiło je reaktywować, by przyspieszyć procesy osób oskarżonych o udział w masakrach. Na wzgórzach, w gminach, w miastach oskarżeni stają przed zgromadzeniem złożonym z ludzi z sąsiedztwa, którzy składają świadectwa lub sądzą ich pod egidą mniej czy bardziej profesjonalnych kadr. Pierwsze tego rodzaju trybunały rozpoczęły działalność wiosną 2002 roku. Efekty działania tych jedynych w swoim rodzaju sądów są różnie oceniane. Oskarżonych o ludobójstwo dzieli się na cztery

kategorie w zależności od stopnia ich odpowiedzialności. Ci z pierwszej (ideolodzy, propagandziści, wysocy rangą dowódcy i głośni zabójcy) mogą być sądzeni wyłącznie przez sąd *gaçąça*.

Igisoro. Gra pionkami, tak popularna w Rwandzie, jak domino w Tunezji czy szachy w byłej Jugosławii. Nie przypomina żadnej znanej gry.

Inkotanyi. Dosłownie: „niezwyciężony”. Nazwa nadawana rebeliantom z FPR.

Interahamwe. Dosłownie: „jedność”. Nazwa bojówek złożonych z ekstremistów Hutu, które utworzono z inicjatywy klanu Habyarimany. Były szkolone przez rwandyjską armię; czasem także lokalnie przez żołnierzy francuskich. Część została zdziesiątkowana podczas ofensywy oddziałów FPR w Kongu jesienią 1996 roku, część wróciła z grupami uchodźców Hutu, by oddać się w ręce nowej administracji. Ale znaczna ich liczba wolała rozproszyć się po Kongu i żyje w bandach zajmujących się grabieżą lub jako najemnicy, głównie w regionie Kiwu, na granicy Konga i Rwandy.

Kimbazi. Krępe drzewo o jasnożółtych, bardzo wonnych kwiatach, które często rośnie na zboczach między bagnami a lasami eukaliptusowymi.

Minuar. Misja Organizacji Narodów Zjednoczonych, obserwująca sytuację w Rwandzie. Oddziały wysłane w listopadzie 1993 roku, by nadzorować realizację zawieszenia broni między rządem i FPR, początkowo liczyły 2500 żołnierzy pod dowództwem generała Roméo Dallaire’a, a 14 kwietnia 1994 roku, w tydzień po rozpoczęciu rzezi, zmniejszono liczebność oddziałów do 450. Ich zadanie polegało na ochronie i ewakuacji cudzoziemców. Później, w sierpniu 1994 roku, a zatem w trzy miesiące po zakończeniu ludobójstwa i po francuskiej operacji Turkus, której celem była ochrona uciekających Hutu, misję Minuar zastąpiła misja Minuar II.

Muzungu. Zgodnie z etymologią: „ten, kto zajął miejsce”. W języku potocznym określa się tak białego.

Mwami. Król Tutsi.

Primus. Najpopularniejsza w Rwandzie, belgijska marka piwa. Warzy się je w

Gisenyi, mieście na zachodzie Rwandy, niedaleko Gomy. Jest sprzedawane wyłącznie w butelkach o pojemności litra. Jest lekko gorzkie, o normalnej zawartości alkoholu, tanie, pije się je w letniej temperaturze, małymi łykami wprost z butelki. Dzieli świat rwandyjskich amatorów piwa na dwa rywalizujące obozy. Jego zwolennicy za nic nie zgodziliby się skosztować mutziga warzonego w Burundi czy amstela, jego dwóch marnych rywali.

MNRD. Rewolucyjny Narodowy Ruch dla Rozwoju.

Sitatunga. Antylopa żyjąca częściowo w środowisku wodnym, maści czekoladowej lub szarobrazowej, u samców występują dodatkowo białe pręgi; ma wydłużone i rozdzielone na końcu kopyta, co pozwala jej szybko przemieszczać się w mule, lecz sprawia, że jej krok na suchym terenie wygląda dość zabawnie. Wychodzi o świcie i o zmierzchu, by żywić się liśćmi papirusów, ale może godzinami kryć się w wodzie w razie niebezpieczeństwa.

Talapoin. Niewielka gwizdząca małpa z rodziny makaków. Prawdziwy akrobata, żyjący chętnie w wodnym środowisku, w grupach liczących dziesiątki osobników pośród trzciny na bagnach.

Turak. Gatunek dużej wielobarwnej papugi, której głowę zdobi czarny kokieteryjny czub, migdałowy u zielonych turaków z Rwandy. Licznie występuje w populacji ptaków zamieszkujących busz i lasy na skraju bagien.

Umunzenze. Potężne drzewa rosnące na skraju bagien.

Urwagwa. Wino z bananów, trzy razy tańsze od piwa i trzy razy mocniejsze - stąd jego wielka popularność na wzgórzach, pomijając fakt, że bywa wyśmienite. Wytwarza się je w następujący sposób: zakopuje się banany na trzy dni w ziemi, by przejrzały, a następnie wyciska sok, który miesza się z mąką z sorgo i pozostawia na trzy dni, by doszło do fermentacji. Może być słabsze lub mocniejsze, gorzkie czy kwaśne w zależności od pory roku i umiejętności producenta, i musi zostać spożyte w ciągu trzech dni. Pije się je z butelki, w której zanurza się trzcinę i podaje z rąk do rąk w gronie pijących. W czasie suszy, kiedy brak bananów, można je zastąpić *ikigage*, winem z sorgo, które również upija, ale nie jest tak smaczne.

Wikłacz. To więcej niż rzemieślnik, to prawdziwy artysta, a jego gniazdo, tworzące

harmonijną sferę delikatnie zawieszoną na drzewie i kołyszącą się przy najmniejszym podmuchu wiatru, jest prawdziwym cudem tkackich umiejętności. Żyje w koloniach, kilkadziesiąt gniazd sąsiaduje na jednym drzewie w istnej kakofonii przenikliwych krzyków. Kolonia licząca wiele tysięcy ptaków zawładnęła drzewami w pobliżu więzienia.

Chronologia

1921 Przyznanie Belgii mandatu nad Rwandą.

1931 Wprowadzenie dokumentu tożsamości ze wzmianką o przynależności etnicznej, co obowiązywało do 1994 roku.

1959 Śmierć ostatniego wielkiego króla Tutsi, Mutary Rudahigwy. Bunt chłopów Hutu, które doprowadzają do exodusu setek tysięcy Tutsi.

1961 Zwycięstwo partii Hutu w pierwszych wyborach parlamentarnych.

1962 Ogłoszenie niepodległości Rwandy.

1973 Wojskowy zamach stanu majora Juvénala Habyarimany.

1978 Juvénal Habyarimana zostaje prezydentem kraju.

1990 Pierwsze sukcesy militarne FPR w Rwandzie.

1993 Zawarcie pokoju w Arushy między rwandyjskim rządem i FPR.

1994 *6 kwietnia, godzina 20. 00*

Zamach na prezydenta Juvénala Habyarimanę nieopodal lotniska w Kigali.

7 kwietnia rano

Pierwsze zabójstwa osobistości sprzyjających demokracji, w tym premier Hutu, Agathe Uwilingiyimany. Natychmiastowe wkroczenie oddziałów FPR na terytorium Rwandy. Zajęcie stolicy przez bojówkarzy *interahamwe*. Początek ludobójstwa, które trwa sto dni.

4 lipca

Zajęcie centrum Kigali przez FPR.

15 lipca

500 tysięcy uchodźców Hutu przekracza granicę z Kongiem. Trzy razy tyle dołączy do nich w kolejnych tygodniach w obozach na wschodzie Konga.

3 października

Rada Bezpieczeństwa ONZ przyjmuje rezolucję, w której masakry dokonane w Rwandzie określa się mianem ludobójstwa.

1996 *Listopad*

Inwazja oddziałów FPR na wschodnie tereny Konga, co doprowadza do masowych rzezi dziesiątków tysięcy Hutu i do powrotu dwóch milionów uchodźców do Rwandy.

1997 *17 maja*

Oddziały rwandyjskiej armii kontynuują zwycięski pochód, pokonują 1500 kilometrów na terenie Konga, zmuszając do ucieczki Mobutu Sese Seko i wynosząc do władzy w Kinszasie Laurenta-Désiré Kabilę.

2002 *1 stycznia*

Proklamacja III Republiki Rwandy i umocnienie władzy prezydenta Paula Kagame, przywódcy FPR od czasów partyzanckich.

2003 *1 stycznia*

Prezydencki dekret w sprawie oskarżonych o zbrodnie ludobójstwa. Zezwala na warunkowe zwolnienie więźniów chorych i w podeszłym wieku; a także warunkowe zwolnienie skazanych z drugiej i trzeciej kategorii (zabójców i współników zabójców, jeśli nie sprawowali odpowiedzialnych funkcji), którzy złożyli wyczerpujące zeznania i odbyli połowę zasądzonej kary - pod warunkiem podjęcia pracy przy inwestycjach publicznych przez trzy dni w tygodniu.

W powiecie Nyamata

1963 Pierwsze zakrojone na dużą skalę masakry Tutsi dokonane przez żołnierzy.

1973 Przybycie pierwszych wielkich grup Hutu, uciekających masowo przed suszą i nędzą. Kolejne epizodyczne masakry.

1994 *7-8 kwietnia*

Dochodzi do gwałtownych starć. Ostatecznie podzielią one dwie społeczności na wzgórzach.

9 kwietnia

Oddziały *interahamwe* przeprowadzają pierwsze ekspedycje, dewastując i podpalając domy porzucone przez Tutsi i zabijając, z pomocą rolników, opornych Hutu, choć bez wyraźnych rozkazów.

11 kwietnia

Po czterech dniach oczekiwania na decyzję administracji żołnierze z obozu w Gako rozpoczynają systematyczne rzezie na ulicach Nyamaty. Na wzgórzach lokalne władze oraz *interahamwe* gromadzą rolników, by zaatakować zgrupowania Tutsi.

14 kwietnia

Trwająca dwa dni rzeź maczetami około pięciu tysięcy Tutsi w kościele w Nyamacie, potem na oddziale położniczym Świętej Marty.

15 kwietnia

Masakra około pięciu tysięcy uciekinierów w kościele w N'taramie, trzydzieści kilometrów od Nyamaty.

16 kwietnia

Początek zorganizowanych polowań na bagnach Nyamwiza i na wzgórzu Kayumba, gdzie schronili się ocaleni.

12 maja

Ucieczka dziesiątków tysięcy rodzin Hutu drogą do Gitaramy, w kierunku Konga. Koniec ludobójstwa w powiecie.

14 maja

FPR wkracza do miasteczka i zaczyna poszukiwać ocalonych na bagnach.

1998 24 kwietnia

Publiczna egzekucja sześciu skazanych na śmierć na wzgórzu Kayumba, to jedyne jak dotąd oficjalne egzekucje.

2002 Sierpień

Pierwsze trybunały *gaçaca* rozpoczynają działanie.